

DOROTA KANIA

GRY TAJNYCH SŁUŻB



GRY
TAJNYCH
SŁUŻB

Zdjęcia: Robert Krauz

Zdjęcie na okładce: Magdalena Piejko

© Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2015

ISBN 978-83-8043-034-1

Wydawnictwo M

31-002 Kraków, ul. Kanonicza 11

tel. 12 431-25-50; fax 12 431-25-75

e-mail: biuro@wydawnictwom.pl

www.wydawnictwom.pl

Dział handlowy: tel. 12 431-25-78; fax 12 431-25-75

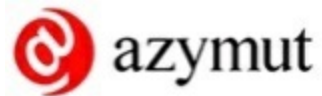
e-mail: handel@wydawnictwom.pl

Księgarnia wysyłkowa: tel. 12 259-00-03; 721-521-521

e-mail: bok@klubpdp.pl

www.klubpdp.pl

Publikacja elektroniczna:



ROZDZIAŁ 1
STEFAN NIEDZIELAK. STANISŁAW
SUCHOWOLEC. SYLWESTER ZYCH

Zabójstwa księży u progu III RP

Zabójstwa księży: Stefana Niedzielaka, Stanisława Suchowolca oraz Sylwestra Zycha, stały się symbolem przejścia systemu PRL do III RP. Każdy z trzech księży został zamordowany w nocy, gdy nie było żadnych świadków. Do dziś nie wykryto sprawców ich śmierci, jednak tropy wskazują, że za tymi zbrodniami stoją funkcjonariusze komunistycznej bezpieki.

6 lutego 1989 r., inauguracja obrad Okrągłego Stołu. Mec. Władysław Siła-Nowicki w swoim przemówieniu wzywa do uczczenia minutą ciszy zamordowanych kilka tygodni wcześniej księży: Stanisława Suchowolca i Stefana Niedzielaka. Uczestnicy obrad wstają, jednak zarówno tej sceny, jak i przemówienia mec. Władysława Siły-Nowickiego nie zobaczyli widzowie TVP — została wycięta. Usunięcie tej sceny z jedyne go kanału telewizyjnego, do jakiego wówczas mieli dostęp Polacy, jest swoistym symbolem — śledztwa były tak prowadzone, by wymazać z nich wszystko, co mogło się przyczynić do wyjaśnienia zabójstwa księży.

Trzydzieści lat później, 5 lutego 2002 r., Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie będąca w strukturach Instytutu Pamięci Narodowej wszczyna śledztwo w sprawie funkcjonowania od 28 listopada 1956 r. do 31 grudnia 1989 r. w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych związku, kierowanego przez osoby zajmujące najwyższe stanowiska państwowe, który miał na celu dokonywanie przestępstw, w tym zabójstw działaczy opozycji politycznej i duchowieństwa. Śledztwo objęło swoim zakresem 46 różnych wątków — w 2015 r. było kontynuowanych 11 z nich, w tym sprawy dotyczące ks. Stefana Niedzielaka, ks. Stanisława

Suchowolca oraz ks. Sylwestra Zycha.

Postępowanie zainicjował prokurator Andrzej Witkowski, który w maju 2001 r., w wyniku wcześniej podjętych rozmów z ówczesnym ministrem sprawiedliwości prof. Lechem Kaczyńskim oraz prok. Zbigniewem Wassermannem, przedłożył prokuratorowi krajowemu dziesięciostronicową notatkę urzędową z ustaleń śledztwa, jakie prowadził w latach 1990—1991.

Minister sprawiedliwości — prokurator generalny, po przeanalizowaniu treści wskazanego dokumentu polecił Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu prowadzenie postępowania przygotowawczego w sprawie kierowania wykonaniem zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki przez osoby, które w hierarchii partyjno-państwowej w 1984 r. zajmowały wyższe stanowiska od generałów Władysława Ciastonia i Zenona Płatka.

W październiku 2001 r. dyrektor Głównej Komisji prof. Witold Kulesza wydał zarządzenie o prowadzeniu tego postępowania przez prokuratora Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie.

5 lutego 2002 r. prokurator lubelskiej Oddziałowej Komisji wszczął śledztwo w sprawie funkcjonowania w resorcie spraw wewnętrznych PRL związku przestępczego od 28 listopada 1956 r. do 31 grudnia 1989 r., w Warszawie oraz innych miastach i miejscowościach na terenie całego kraju. Tak szerokim zakresem przedmiotowego postępowania objęto między innymi okoliczności śmierci ponad stu ofiar, które straciły życie w okresie stanu wojennego i w latach następnych — napisał prok. Andrzej Witkowski w numerze 1 Biuletynu IPN ze stycznia 2003 r.

W latach 90. sprawami zabójstwa księży zajmowała się Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW (tzw. komisja Rokity, ponieważ na jej czele stanął poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Jan Rokita). Komisja została powołana 17 sierpnia 1989 r. przez Sejm kontraktowy dla zbadania przestępczej działalności organów MSW w czasie stanu wojennego w Polsce. Przedmiotem jej czynności było zbadanie przedstawionych przez Komitet Helsiński w Polsce 93 wypadków zgonów, co do których istniało uzasadnione podejrzenie, że mogły nastąpić na skutek działań organów

bezpieczeństwa PRL. Komisja istniała do września 1991 r., a efektem jej prac był przedstawiony Sejmowi 26 września 1991 r. tzw. raport Rokity, w którym członkowie komisji uznali, że spośród 122 niewyjaśnionych przypadków zgonów działaczy opozycji aż 88 miało bezpośredni związek z działalnością funkcjonariuszy MSW. Ustaliła też nazwiska blisko 100 funkcjonariuszy MSW i urzędników prokuratury, podejrzanych o popełnienie przestępstw związanych z 91 przypadkami zgonów, z których żaden nie został pociągnięty do odpowiedzialności.

Przestępczą działalnością MSW PRL zajmowało się także Biuro Interwencji Kancelarii Senatu kierowane przez Zofię Romaszewską. Ona też była ofiarą działań bezpieki. Jeden z takich „przypadków” stanowiło dwukrotne podpalenie prawego ołtarza w parafii Dzieciątka Jezus na ul. Czarnieckiego na Żoliborzu 10 grudnia 1987 r., tuż przed uroczystością wręczenia Zofii i Zbigniewowi Romaszewskim Nagrody Praw Człowieka. Proboszczem parafii był wspierający opozycję ks. Roman Indrzejczyk, który 10 kwietnia 2010 r. zginął w katastrofie smoleńskiej.

* * *

Pisząc o zamordowanych księżach, nie sposób ominąć działalności Jerzego Urbana na początku III RP, który od kwietnia do września 1989 r. był przewodniczącym Komitetu ds. Radia i Telewizji, będąc jednocześnie ministrem bez teki w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Jako szef Radiokomiteu zlecił nakręcenie paszkwilanckiego reportażu na temat śmierci ks. Zycha, a po odejściu z telewizji publicznej 8 kwietnia 1991 r. Urban wspólnie z Aliną Marią Machnicką założył spółkę URMA wydającą brukowy tygodnik „Nie”. Jak czytamy w akcie notarialnym znajdującym się w Krajowym Rejestrze Sądowym, pełnomocnikiem Aliny Marii Machnickiej był Hipolit Starszak (zmarły w styczniu 2015 r.) — funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, absolwent szkoły KGB w Moskwie, szef Biura Śledczego MSW, a od kwietnia 1984 do maja 1990 r. zastępca prokuratora generalnego.



Alina Machnicka, współzałożycielka tygodnika „Nie” - zdjęcie z akt paszportowych
w 1952 r.

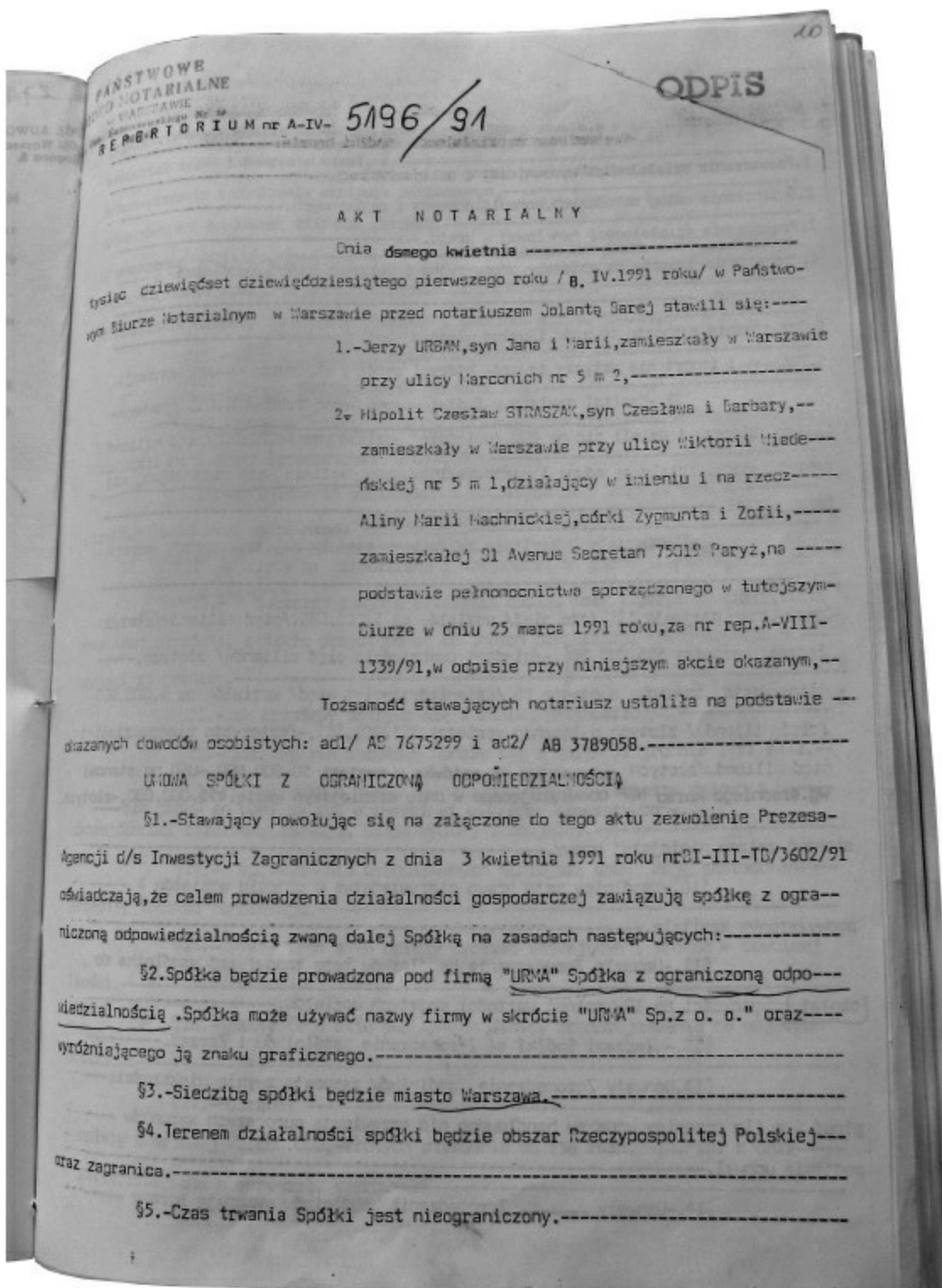
Alina Maria Machnicka (ur. 1923) była skoligaconą z Jerzym Urbanem — jej matka Zofia, po mężu Poznańska, była z domu Brodacz, tak jak matka Jerzego Urbana, Maria. Na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego wieku Machnicka pracowała w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, a następnie od 1954 r. jako dziennikarz w „Trybunie Wolności” oraz w Telewizji Polskiej. Machnicka jako jedna z pierwszych dziennikarzy trafiła do Doświadczalnego Ośrodka Telewizyjnego — program emitowano początkowo raz w tygodniu, a od 1 listopada 1955 r. — trzy razy w tygodniu.

Jej mąż Wiesław Konstanciak w czasie wojny był członkiem Armii Krajowej, po wojnie pracował w Ekspozyturze Centralnego Zarządu Rybołówstwa Morskiego; był również zarejestrowany jako agent-informator przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

W 1955 r. Machnicka bezskutecznie ubiegała się o wyjazd do matki i dalszej rodziny do Izraela. W 1968 r., będąc redaktorem w Telewizji Polskiej, wyjechała do Francji na stypendium i do Polski już nie wróciła. Ówczesne władze potraktowały opuszczenie kraju przez Machnicką jako zdradę, dopiero w grudniu 1976 r. uzyskała zgodę na zmianę obywatelstwa polskiego na francuskie.

Na wzór ukazującego się od 1970 r. lewackiego bulwarowego francuskiego tygodnika „Charlie Hebdo” powstał tygodnik „Nie”, którego redaktorem naczelnym został Jerzy Urban. W jego tygodniku, podobnie jak we francuskim

pierwowzorze, atakowano księży i Kościół katolicki; w prześmiewczy, brukowy sposób co pewien czas w knajackim stylu pisano o zabójstwie księży: Niedzielaka, Suchowolca i Zycha. Warto przy tym pamiętać, że w czasie gdy prowadzono śledztwo w sprawie zabójstwa księży, zastępcą prokuratora generalnego był Hipolit Starszak. Czy pozwoliliby na oskarżenie swoich kolegów z komunistycznej bezpieki o udział w tych zabójstwach?



Akt notarialny spółki URMA wydającej tygodnik „Nie” założonej przez Jerzego Urbana i Alinę Machnicką, której pełnomocnikiem był Hipolit Starszak, szkolony w Moskwie m.in. szef Biura Śledczego MSW PRL

5. Prowadzenie eksportu towarów i usług własnych Spółki.
6. Eksport i import nie dotyczy towarów, którymi obrót z zagranicą wymaga koncesji.



- IV. Czas trwania Spółki będzie nieograniczony.
- V. Spółka będzie mogła prowadzić działalność w zakładach gospodarczych na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, w tym w Warszawie.
Spółka jest zobowiązana do informowania Prezesa Agencji do Spraw Inwestycji Zagranicznych o planowanych zmianach adresu siedziby Spółki oraz adresów zakładów gospodarczych.
- VI. Proporcje udziałów stron w kapitale zakładowym Spółki będą wynosić:
1. Alina Machnicka - 47,5 %
 2. Jerzy Urban - 52,5 %
- VII. Strony wniosą do kapitału zakładowego następujące wkłady:
1. Alina Maria Machnicka
 - łącznie: 475.000.000 zł (czterysta siedemdziesiąt pięć milionów złotych) co stanowi równowartość 50.000 USD wg kursu 1 USD = 9.500 zł.
 - wkład pieniężny: 475.000.000 złotych
 - wkład niepieniężny: -
 2. Jerzy Urban
 - łącznie: 525.000.000 zł (pięćset dwadzieścia pięć milionów złotych)
 - wkład pieniężny: 525.000.000 złotych
 - wkład niepieniężny: -

Akt notarialny spółki URMA założonej przez Jerzego Urbana i Alinę Machnicką, której pełnomocnikiem był Hipolit Starszak, szkolony w Moskwie m.in. szef Biura

Śledczego MSW PRL

Repertorium : A nr VIII 1999 / 91

AKT NOTARIALNY

Dnia dwudziestego piątego marca roku tysiąc dziewięćset
dziewięćdziesiątego pierwszego/25.III.1991 r./w Państwowym Biurze
Notarialnym w Warszawie przed notariuszem Mariuszem Grelusem
stawiła się

Alina Maria Machnicka, używająca imienia "Alina", córka
Zygmunta i Zofii, obywatelka francuska, zamieszkała
81 Avenue Secretan 75019 Paryż, paszport nr 75586063,
wydany dnia 12 maja 1989 r., przez Prefekturę Policji
M-19 w Paryżu, ważny do dnia 19 maja 1994 r.

Tożsamość stawającej notariusz ustalił na podstawie powołanego
wyżej paszportu, a imiona rodziców i miejsce zamieszkania - na pods-
tawie oświadczenia.

PEŁNOMOCNICTWO

- §1. Alina Machnicka oświadcza, że swoim pełnomocnikiem -
ustanawia Hipolita Czesława Starszaka, syna Czesława i Barbary, -
zamieszkałego w Warszawie, przy ulicy Wiktorii Wiedeńskiej nr 5 m.1,
którego upoważnia do : -
a/. zawarcia z Jerzym Urbanem, zamieszkałym w Warszawie, przy ulicy -
Marconich nr 5 m.2 umowy spółki z ograniczoną odpowiedzialnością
pod firmą " URMA " - na zasadach określonych w zezwoleniu jakie -
zostanie wydane przez Prezesa Agencji do Spraw Inwestycji Zagra-
nicznych oraz według uznania pełnomocnika, -
b/. dokonywania wszelkich czynności związanych z zarejestrowaniem -
powyższej spółki, -
c/. reprezentowania jej na zgromadzeniu wspólników, -
d/. składania wszelkiego rodzaju oświadczeń nie wyłączając oświad-
czenia o wniesieniu wkładów, -
e/. powołania zarządu spółki, -
f/. dokonywania wszelkich innych czynności, jakie w związku z wykona-

Akt notarialny spółki URMA założonej przez Jerzego Urbana i Alinę Machnicką,
której pełnomocnikiem był Hipolit Starszak, szkolony w Moskwie m.in. szef Biura
Śledczego MSW PRL



PREZES
Agencji ds. Inwestycji
Zagranicznych



ZEZWOLENIE Nr BI-III-TB/3602/91
z dnia 03 kwietnia 1991 roku

w sprawie utworzenia Spółki z udziałem podmiotów zagranicznych pod firmą: "URMA" Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

BI-4026-91

W oparciu o wnioski stron z dnia 30 marca 1991 roku oraz na podstawie art. 5 ust. 1 i 4 w związku z art. 11 ust. 1 ustawy z dnia 23 grudnia 1988 r. o działalności gospodarczej z udziałem podmiotów zagranicznych (Dz.U. Nr 41, poz. 325; Dz.U. z 1989 Nr 74, poz. 442) zezwala się Stronom:

1. Alina Maria Machnicka, 81 Avenue Secretau 75019 Paryż, Francja
2. Jerzy Urban, ul. Marconich 5 m 2, Warszawa

na utworzenie na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, zwanej dalej "Spółką", na warunkach wyżej wymienionej ustawy, oraz ustala się co następuje:

- I. Firma Spółki będzie brzmiała: "URMA", Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.
- II. Siedzibą Spółki będzie Warszawa.
- III. Przedmiotem działalności Spółki będzie:
 1. Prowadzenie działalności wydawniczej i poligraficznej.
 2. Świadczenie usług doradczych, konsultingowych i reklamowych.
 3. Prowadzenie działalności handlowej w kraju.
 4. Prowadzenie importu na potrzeby produkcyjne i usługowe Spółki, wspólników i kooperantów.

Adres:
Biuro: 00-536 Warszawa Aleje Róż 2
Tel.: 21-64-27
Kl. Centrala: 28-50-61 wewn. 694

Fax/tel.: 218 427
Telex: 817 225
Konto: Okręgowy Oddział Warszawa
NBP Nr rachunku 1052-6464-22-3

Zezwolenie prezesa Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych z 3 kwietnia 1991 r. na utworzenie spółki URMA z udziałem podmiotu zagranicznego

Zabójstwo ks. Stefana Niedzielaka Strażnik

pamięci Katynia

Ks. Stefan Niedzielak, proboszcz parafii pod wezwaniem św. Karola Boromeusza na Powązkach, został zamordowany w nocy z 20 na 21 stycznia 1989 r. Martwego kapłana znalazł Henryk Różycki, kościelny, który zaniepokojony nieobecnością księdza na mszy o godz. 7 rano, jaką ten zwyczajowo odprawiał, poszedł na plebanię. Natychmiast zawiadomił pracowników administracji cementarza, którzy zadzwonili do oficera dyżurnego Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Oficer dyżurny WUSW powiadomił z kolei Dzielnicowy Urząd Spraw Wewnętrznych Warszawa-Wola oraz pogotowie, którego lekarz stwierdził zgon. Na plebanii widać było ślady plądrowania: m.in. została rozbita drewniana szafa, uszkodzono zamek w biurku, ale — co ciekawe — nie zostały skradzione pieniądze. W trakcie przeszukania znaleziono sporą ilość gotówki zarówno w złotych, jak i w obcych walutach. Wokół biurka leżały rozrzucone dokumenty, co wyglądało na pozorowane działania. Według policji zabójcy przeszli przez płot od ul. Powązkowskiej od strony Burakowskiej z przystanku autobusowego, następnie powrócili na ten sam przystanek i odjechali w kierunku Żoliborza — pies podjął ślad i zaprowadził milicyjnego przewodnika jedynie do przystanku. Już w trakcie wstępnych oględzin ustalono, że kapłan był brutalnie pobity; miał m.in. złamany nos i szczękę, co potwierdziła sekcja zwłok. Mimo że istniały dowody, iż zabójstwo ks. Niedzielaka miało motyw polityczny, funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którym kierował Czesław Kiszczak, z góry założyli, że motywem zbrodni była kradzież.



Grób ks. Stefana Niedzielaka na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie



Upamiętnienie ks. Stefana Niedzielaka na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie



Budynek plebanii św. Karola Boromeusza, gdzie zamordowano ks. Stefana

Niedzielaka

„Wstępne ustalenia na miejscu zdarzenia pozwalają przyjąć, że pokrzywdzony padł ofiarą zabójstwa na tle rabunkowym” — czytamy w informacji Biura Śledczego MSW z 21 stycznia 1989 r.

* * *

Zeznania osób, z którymi ks. Niedzielak miał kontakt, były jednoznaczne: wielokrotnie mu grożono, a on sam mówił, że zostanie zamordowany. Kapłan niemal przez całe dorosłe życie zajmował się sprawą zbrodni katyńskiej, o czym doskonale wiedziała komunistyczna bezpieka.

Ksiądz Niedzielak specjalizował się w tzw. problematyce katyńskiej. Uczestniczył we wszystkich imprezach na terenie Warszawy związanych z tą tematyką. Głosił kazania, wciąż wracając do konieczności wyjaśnienia okoliczności i rzeczywistych sprawców rozstrzelania m.in. polskich oficerów i żołnierzy w Katyniu — czytamy w dokumentach Służby Bezpieczeństwa znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej.

O tym, że ksiądz Niedzielak zginął w powodu przywracania pamięci o Katyniu, mówił Andrzej Melak, członek Konspiracyjnego Komitetu Katyńskiego, który powstał z inicjatywy ks. Wacława Karłowicza i Stefana Melaka (zginął w katastrofie smoleńskiej), brata Andrzeja. Stefan Melak kierował głośną konspiracyjną akcją ustawienia 31 lipca 1981 r. w tzw. Dolince Katyńskiej na cmentarzu na Powązkach w Warszawie pierwszego w Polsce Pomnika Katyńskiego, który został wykonany z granitu przez Arkadiusza Melaka i ważył kilka ton. Ustawienie pomnika było zainspirowane przez ks. Niedzielaka, który był inicjatorem całego przedsięwzięcia i aktywnie w nim uczestniczył. Pomnik stał na Powązkach zaledwie kilka godzin: został usunięty po interwencji ambasady ZSRS.

Przyjaciół księdza, nieżyjący już opozycjonista Wojciech Ziemiński (razem

z ks. Niedzielakiem tworzyli Sanktuarium „Poległym i Pomordowanym na Wschodzie” w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach), działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, 16 lutego 1989 r. podczas przesłuchania podkreślał, że księdzu grożono i że został on zamordowany:

O śmierci księdza dowiedziałem się 21 stycznia 1989 ok. 13 od mec. Grabińskiego [Andrzeja — red.], z którym byłem umówiony na Starym Mieście. Na spotkanie przybył Jan Olszewski. Wszyscy trzej udaliśmy się na plebanię parafii pw. św. K. Boromeusza. Zastaliśmy tam ekipę śledczą wraz z nadzorującym prokuratorem Warszawa-Wola oraz kanclerza kurii Zdzisława Króla. Ostatni raz na plebanii byłem 10 dni przed śmiercią księdza. Pierwszym moim spostrzeżeniem, które mnie zaskoczyło, były palące się światła we wszystkich pomieszczeniach przy odsłoniętych zasłonach i stan taki miał trwać, jak się dowiedziałem od ekipy śledczej lub innych osób jej towarzyszących, od godziny około 20 dnia 20.01.1989. Z całą odpowiedzialnością stwierdzam, iż nie było w zwyczaju proboszcza S. Niedzielaka palenie światła przy odsłoniętych zasłonach, a tym bardziej palenie światła we wszystkich pomieszczeniach jednocześnie. Ponadto stwierdzam, że drzwi wejściowe do mieszkania zmarłego księdza w porze wieczorowej były zamykane na zasuwę. Ksiądz Niedzielak nie miał w zwyczaju, aby w porze wieczorowo-nocnej pytać przybyłą osobę zwyczajowym „kto tam”.

Przypominam sobie, że w miesiącu grudniu 1988 r. zwróciłem księdzu uwagę, aby był ostrożniejszy, gdy przybyłem do niego w odwiedzin, nie zapowiedziawszy się telefonicznie, i otworzył mi drzwi bez pytania. Na co ksiądz odpowiedział mi, iż każdy wie, że mieszka tu kapłan, i bez wyraźnego powodu nie przybywa, a z kolei kapłan zawsze musi być gotowy do posługi religijnej, jak np. ostatnie namaszczenie. Moja uwaga poczyniona księdzu była związana z naszą rozmową z pierwszej połowy miesiąca listopada 1988 r. na temat pogroźek anonimowych telefonicznych, które otrzymywaliśmy wspólnie ze zmarłym księdzem. Ja m.in. otrzymałem kilka pogroźek przed uroczystościami związanymi z dniem 11 listopada [dopisek odręczny: dlaczego nie zawiadomił MO, z kim jeszcze o tym mówił]. Był to głos męski, chropowaty, a treść tych pogroźek cytuję z pamięci: „znowu podskakujesz, ty skurwysynu, długo nie pożyczysz”, po czym głos wyłączał się.

O tym fakcie powiedziałem ks. Niedzielakowi, żartując nawet, żeby szykował mi pogrzeb, na co on odpowiedział mi, że pełno ma takich telefonów i jeśli już o pogrzebie mowa, to najpierw będzie jego pogrzeb. Nie przywiązywaliśmy z księdzem wagi do tego typu pogrózek — miały one miejsce od wielu lat, szczególnie po 1984 r. po wmurowaniu krzyża z napisem „Poległym na Wschodzie”, umieszczonym na zewnętrznej ścianie kościoła pw. K. Boromeusza. Ksiądz był wyczulony na przypomnienie martyrologii narodu polskiego, a w szczególności tych rodaków, którzy zginęli na skutek wydarzeń z dnia 17 września 1939. O tej sprawie i życiorysie zmarłego księdza napisałem artykuł przeznaczony dla prasy katolickiej.

Wniosek, że ksiądz został zabity, wyciągam przede wszystkim z tego, co usłyszałem w dniu 21.01.1989 na terenie plebanii od prowadzących śledztwo i asystujących im osób, jak np. Piotr Niedzielak, brat księdza. Ks. Niedzielak poświęcał coraz więcej uwagi ofiarom terroru stalinowskiego i zajmował się rodakami na Wschodzie. Otrzymywał anonimy i pogróżki — zeznał Wojciech Ziemiński.

Na protokole jego przesłuchania widnieje odręczny dopisek:

Nie można wykluczyć prawdomówności świadka, ale zeznania mogą mieć charakter prowokacyjny i na jego zeznaniach nie należy opierać wersji śledczych.

Dlaczego bezpieka przyjęła, że Wojciech Ziemiński mówi prawdę, chociaż zazwyczaj w takich przypadkach chciała zdeprecjonować zeznania? Odpowiedzi należy szukać w wydarzeniach, które miały miejsce cztery lata wcześniej. W nocy z 14 na 15 sierpnia 1985 r. nieznanymi sprawcami podpalili drzwi do mieszkania. Opozycjonisty nie było wówczas w domu — pożar ugasili sąsiedzi. Podpalenie nastąpiło w przeddzień rocznicy „cudu nad Wisłą”, a Wojciech Ziemiński od kilku lat co roku uczestniczył w obchodach święta Wojska Polskiego.

Trzy miesiące później, przed zakazanym w PRL Świętem Niepodległości 11 listopada, Wojciech Ziemiński został „odwiedzony” przez bezpiekę w mieszkaniu. Powiedział wówczas funkcjonariuszowi SB, że złożył skargę na jego szefa za podpalenie mu mieszkania. W odpowiedzi usłyszał: „To już się więcej nie powtórzy”.

Na temat pogrózek wobec ks. Niedzielaka mówił także kanclerz kurii warszawskiej ks. Zdzisław Król, późniejszy postulator procesu beatyfikacyjnego ks. Jerzego Popiełuszki, były kapelan Warszawskiej Rodziny Katyńskiej. Ks. Zdzisław Król zginął 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie smoleńskiej.

Podczas przesłuchania 2 lutego 1989 r. opowiadał o swojej znajomości z ks. Niedzielakiem, którego znał od wielu lat.

Był bardzo gościnnie i chętnie w domu przyjmował szeroki krąg osób. Ksiądz w koleżeńskim rozmowie mówił o inwektywach i pogroźkach kierowanych pod jego adresem przez telefon. Ostatni raz widziałem go 20 stycznia, na zakończenie rozmowy powiedział: „Oni mnie zabiją”. W nawiązaniu do sprawy pogrózek chcę dodać, że po śmierci księdza Niedzielaka otrzymałem na mój telefon domowy [numer nie był w spisie abonentów — red.] dwa anonimowe telefony — najpierw nieznany mężczyzna poinformował mnie: „Niedzielak nie jest ostatni”, a drugi, bełkotliwy, zawierał inwektywy bez konkretnej treści — zeznał ks. Król.

* * *

Już w dniu zabójstwa księdza w MSW podjęto decyzję o powołaniu specjalnej grupy dochodzeniowo-śledczej. Znaleźli się w niej ludzie z Departamentu IV MSW, powołanego do walki z... Kościołem katolickim, m.in. Stanisław Luliński, który z ramienia MSW prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. W tej grupie byli także mjr Janusz Dydą, zastępca naczelnika Wydziału Kryminalnego, kpt. Andrzej Faust, kierownik sekcji Wydziału Śledczego SUSW, kpt. Andrzej Kędzia, st. insp. biura śledczego MSW, kpt. Ryszard Włodarczyk, st. insp. Wydziału IV SUSW, kpt. Ryszard Kaszuba, st. insp. Wydziału Kryminalnego SUW, st. chor. Ryszard Pora, p.o. kierownika sekcji Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego SUSW, kpt. Jacek Karczmarewicz, insp. Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego SUSW, ppłk Andrzej Radzikowski, naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego SUSW, a także Jan Pol. Ten ostatni w III RP zajmował kluczowe stanowiska w policji — był m.in. szefem stołecznego wydziału do zwalczania przestępczości zorganizowanej.

W postępowaniu pojawia się także nazwisko Wiktora Fonfary, funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa, który w czasie powołania specjalnej grupy śledczej był zastępcą dyrektora biura śledczego MSW. To stanowisko objął w lutym 1989 r., miesiąc po zabójstwie ks. Stefana Niedzielaka. W dokumentach IPN czytamy, że „faktycznie pełnił obowiązki dyrektora tej jednostki” — a to właśnie Biuro Śledcze MSW nieformalnie nadzorowało śledztwo w sprawie zabójstwa ks. Niedzielaka.

Przełożeni w opiniach służbowych podkreślali jego materialistyczny światopogląd i związki z partią.

Płk Fonfara jest aktywnym członkiem PZPR, m.in. pełni funkcję [szefa] grupy partyjnej, a także egzekutywy POP. Bezpośrednio po przyjściu do MSW utworzył w jednostce Koło ZSMP i był jego pierwszym przewodniczącym

— czytamy w opinii służbowej skierowanej 7 sierpnia 1989 r. przez wiceministra spraw wewnętrznych gen. Zbigniewa Pudysza do gen. Czesława Kiszczaka.

W III RP Wiktor Fonfara trafił po pozytywnej weryfikacji do Urzędu Ochrony Państwa — był dyrektorem Zarządu Śledczego UOP i nadzorował kluczowe śledztwa, m.in. w sprawie FOZZ.

Postępowanie w sprawie zabójstwa ks. Niedzielaka prowadził prok. Maciej Białek z grupy Wiesławy Bardonowej, która specjalizowała się w oskarżaniu opozycjonistów. W trakcie postępowania dotyczącego zabójstwa kapłana prok. Białek był całkowicie po stronie MSW.

Opinia sądowo-medyczna w obecnym kształcie nie daje jednoznacznych podstaw do przesądzenia, iż śmiertelny uraz u ks. Niedzielaka powstał w wyniku działania obcej osoby lub osób. Zupełnie dowolne są sugestie pełnomocników, iż ks. Niedzielakowi w chwili powstania u niego urazu unieruchomiono z tyłu kręgosłup i ręce — czytamy w piśmie prok. Białka.

W III RP Białek znalazł posadę w strukturze Prokuratury Krajowej, która

nadzorowała najpoważniejsze śledztwa.

* * *

Pełnomocnikami rodziny ks. Niedzielaka byli mec. Andrzej Grabiński oraz mec. Jan Olszewski. Niemal od początku wskazywali na fatalną pracę milicjantów oraz popełniane w śledztwie błędy i zaniechania. Stwierdzali, że nie udostępniono im opinii z sekcji zwłok, która jednoznacznie wskazywała, że przyczyną śmierci księdza było rozerwanie kręgosłupa szyjnego (mogło to nastąpić w wyniku silnego ciosu, np. karate). W swoich pismach podnosili również absurdalność hipotezy napadu rabunkowego — w mieszkaniu księdza pozostały cenne przedmioty oraz pieniądze.

Pełnomocnicy musieli się zmierzyć także z dezinformacją: propagandyści usiłowali sugerować m.in. liczne kontakty ks. Niedzielaka z kobietami oraz skłonności do alkoholu, co było nieprawdą. W mieszkaniu kapłana znaleziono także metalową kasetkę, którą otworzono w obecności mec. Olszewskiego oraz ks. Króla. Po jej otwarciu stwierdzono w niej m.in. kopertę z ziemią z Katynia, pucharek z orłem, medale, plik banknotów. To stało się powodem pomówień, że ks. Niedzielak mógł... handlować ziemią z Katynia.

Dziś już można stwierdzić, że śledztwo było celowo prowadzone w taki sposób, by nie wykryć sprawców — jeszcze w czerwcu 1989 r. przedstawiciele MSW brali pod uwagę hipotezę, że śmierć ks. Niedzielaka nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku: sprawcom kradzieży przebieg zdarzeń wymknął się spod kontroli. Milicja nawet nie wzięła pod uwagę tego, że ks. Stefan Niedzielak zginął w przeddzień zjazdu Komisji Krajowej Solidarności, w trakcie której miano opracować plan negocjacji z komunistyczną władzą podczas obrad Okrągłego Stołu, rozpoczętych 6 lutego 1989 r.

* * *

Sprawę śmierci kapłana umorzono 2 października 1990 r. Osoby zaangażowane w śledztwo w sprawie śmierci ks. Stefana Niedzielaka po 1989 r. zajmowały

wysokie stanowiska w służbach specjalnych, policji i w prokuraturze — m.in. Wiktor Fonfara, funkcjonariusz SB, a później szef Zarządu Śledczego UOP, milicjant Jan Pol, późniejszy szef stołecznego wydziału zwalczania przestępczości zorganizowanej, czy prok. Maciej Białek z owianego złą sławą zespołu Wiesławy Bardonowej, który w III RP trafił na wysokie stanowisko w Prokuraturze Krajowej. Postępowanie w sprawie zabójstwa ks. Niedzielaka było tak prowadzone, by nie wykryć winnych, a dowody, które mogłyby po latach wyjaśnić tę zbrodnię — zaginęły.

Rok po umorzeniu śledztwa w sprawie ks. Niedzielaka, po objęciu urzędu premiera przez Jana Olszewskiego, sprawa stała się przedmiotem ponownego badania. Ówczesny minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz powołał specjalną grupę, która miała się zająć zbadaniem zbrodni na kapłanie. Te prace przerwała nocna zmiana, czyli odwołanie rządu Jana Olszewskiego 4 czerwca 1992 r.

Do zabójstwa księdza powrócono w czasie rządów PiS, jednak po zbadaniu zawartości materiałów sprawy okazało się, że zginęły z nich (w III RP!) kluczowe dowody, m.in. zabezpieczone na miejscu zbrodni ślady linii papilarnych, co uniemożliwiło dotarcie do sprawców zbrodni.

W 2008 r. „za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej” ks. Stefan Niedzielak został odznaczony pośmiertnie przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Zabójstwo ks. Stanisława Suchowolca Podążał śladami kapłana męczennika

Białystok, 31 stycznia 1989. Plebania parafii Niepokalanego Serca Maryi na osiedlu Dojlidy. Przez ponad pięć godzin milicyjna ekipa dochodzeniowa prowadzi oględziny miejsca, gdzie znaleziono ciało wikarego Stanisława Suchowolca. Na nagraniu zrobionym milicyjną kamerą widać, że filmowane są miejsca pokryte sadzą, co podkreślają robiący oględziny funkcjonariusze. Na miejscu jest także pełnomocnik kurii. Gdy ogląda się nagranie, nasuwa się

myśl, że milicjanci chcą wyrobić w postronnych osobach przekonanie, że przyczyną śmierci księdza było zeznawanie.



Grób ks. Stanisława Suchowolca w Białymstoku obok kościoła Niepokalanego Serca Maryi



Zdjęcie z wystawy IPN – uroczystości pogrzebowe ks. Suchowolca



Plebania przy kościele Niepokalanego Serca Maryi, gdzie 30 stycznia 1980 r.
zamordowano ks. Suchowolca



Zdjęcie z wystawy Instytutu Pamięci Narodowej na temat ks. Suchowolca otwartej
przy kościele Niepokalanego Serca Maryi w 2014 r.

Ks. Stanisław Suchowolec zginął dziesięć dni po zabójstwie ks. Stefana Niedzielaka. Dziś już wiadomo, że został zamordowany, a komunistyczne służby zacierają ślady, zamiast prowadzić rzetelne śledztwo.

Nie ma żadnych podstaw, aby przypuszczać, że ktokolwiek kursuje po Polsce i sieje śmierć wobec księży, że istnieje jakaś konspiracja przeciw księżom. Oba te dramatyczne zgony są przedmiotem osobnych śledztw. Nie ma żadnych poszlak, aby zakładać prowokację polityczną — mówił Jerzy Urban.

Dziś, gdy wiemy o zbrodniczej działalności Departamentu IV MSW, słowa Urbana brzmią jak ponury żart. Ks. Stanisław Suchowolec nieprzypadkowo stał się ofiarą funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. W chwili śmierci miał 31 lat, ale mimo młodego wielu dał się we znaki komunistycznej bezpiece.

Po ukończeniu seminarium duchownego ks. Suchowolec został wikariuszem w Suchowoli, rodzinnej wsi bł. Jerzego Popiełuszki, z którym się zaprzyjaźnił. O tym, jaki stosunek ks. Jerzy miał do ks. Suchowolca, świadczą słowa, które powiedział podczas ostatniego spotkania z matką, Marianną Popiełuszką: „Mamo, nie martw się, bo gdyby, nie daj Boże, coś mi się stało, to przecież Staszek mnie zastąpi”.

Ks. Jerzy został zamordowany 19 października 1984 r. przez funkcjonariuszy Grupy D Departamentu IV (Grzegorza Piotrowskiego, Leszka Pękale, Waldemara Chmielewskiego).

Po tym zabójstwie ks. Stanisław Suchowolec opiekował się rodziną ks. Jerzego.

Po zamordowaniu ks. Jerzego w Suchowoli zorganizowano symboliczny pogrzeb szat liturgicznych — uroczystość odbyła się z inicjatywy i z udziałem ks. Suchowolca. Nie uszło to uwadze funkcjonariuszy SB, także tym, którzy byli oskarżeni o zabójstwo ks. Popiełuszki, nazywających działanie jego przyjaciela m.in. „histerią”.

Wymagającemu potępienia zdarzeniu, jakim było to zabójstwo, towarzyszyła histeria propagandowa, co skrzętnie wykorzystwała część kleru do krańcowej ekscytacji osób sfanatyzowanych. W tak powstałym klimacie zaczęto tworzyć „miejsca pamięci Popiełuszki” będące przyczynkami do siania prymitywnego fanatyzmu, dewocji oraz nietolerancji wobec osób niewierzących. Zrealizowanie powyższego postanowienia sądu ponownie ożywi kwestię, poprzez dostarczenie w wydanych rzeczach swego

rodzaju relikwii, które z pewnością będą publicznie eksponowane i ulegną też metafizycznemu rozmnożeniu, aby „dekorować” określone miejsca. Do takiego stwierdzenia upoważniają mnie fakty aroganckiej symboliki związanej z Popiełuszką, mające miejsce nawet w takich obiektach pamięci narodowej jak groby wybitnych Polaków znajdujące się w Krakowie na Skałce. (...) Skoro zdaniem Sądu „obecnie wymienione dowody są zbędne”, wydaje się rzeczą najtrafniejszą ich zniszczenie, by nie zagrażały archiwum sądowego

— pisał 5 marca 1986 r. z warszawskiego aresztu śledczego do Sądu Najwyższego Adam Pietruszka, płk Służby Bezpieczeństwa, zastępca dyrektora IV Departamentu MSW, za udział w zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki skazany na 25 lat więzienia (wyszedł na wolność w 1995 r.). Już będąc w areszcie, skutecznie na kilka lat zablokował wydanie rodzinie m.in. sutanny ks. Jerzego, o co zabiegał ks. Suchowolec.

* * *

W drugą niedzielę listopada 1984 r. w Suchowoli ks. Jerzy Popiełuszko i ks. Stanisław Suchowolec mieli odprawić mszę za Ojczyznę. W tym dniu (11 listopada 1984) ks. Stanisław odprawił mszę żałobną za ks. Jerzego. Od tego czasu w każdą drugą niedzielę miesiąca odprawiał mszę za Ojczyznę. Służba Bezpieczeństwa w ramach sprawy operacyjnej opatrzonej kryptonimem „Suchowola” prowadziła operacyjne działania wobec ks. Suchowolca. Dostawał anonimy, w których grożono mu, że umrze jak ks. Popiełuszko; szykany nasiliły się, gdy został w 1986 r. wikarym parafii Niepokalanego Serca Maryi na osiedlu Dojlidy w Białymstoku. Do samochodu przyczepiono kartkę z rysunkiem mężczyzny wiszącego na szubienicy i podpisem „Stanisław”; „nieznani sprawcy” uszkodzali mu samochód, przebijano w nim opony — doszło nawet do poważnego wypadku samochodowego, w którym omal nie zginął ks. Suchowolec. W drugiej połowie 1988 r. kapłan został kilkakrotnie dotkliwie pobity. Przychodziły listy z pogrózkami, groźby były też przekazywane telefonicznie. Nie były to puste słowa: ks. Suchowolec został kilka razy poważnie pobity przez „nieznanych sprawców”. Oprócz działań legalnych

(częste wzywanie na komendę milicji) komunistyczna bezpieka prowadziła też akcje mające na celu kompromitację księdza, rozpuszczając pogłoski o jego rzekomym romansie i o tym, że ma dziecko.

W sierpniu 1988 r. ktoś podpalił dach domu rodziców ks. Suchowolca — jako oficjalną przyczynę pożaru podano zapalenie się sadzy w kominie. Tymczasem było to wręcz niemożliwe — w tym dniu nikt nie korzystał z pieca, jednak milicja nie podjęła wątku podpalenia.

Nieustanne nękanie kapłana przez SB sprawiło, że 9 września 1988 r. do Ewy Łętowskiej, ówczesnego rzecznika praw obywatelskich, oficjalnie pismo wysłali działacze Solidarności i KPN, prosząc ją o interwencję — jedyną reakcją była lakoniczna odpowiedź, że ataki na księdza są chuligańskimi wybrykami, więc nie ma podstaw do interwencji.

Z zachowanych w IPN dokumentów wynika, że od 1985 r. w białostockiej SB działała kilkuosobowa grupa funkcjonariuszy zajmująca się nękaniami ks. Stanisława Suchowolca, w której był m.in. kpt. Włodzimierz Wasiluk — do listopada 2005 r. radny Białegostoku z ramienia SLD.

* * *

31 stycznia 1989 około 5 rano pani Marianna, posługująca na plebanii gosposia, poczuła swąd spalenizny. Zaczęła krzyczeć — pod drzwiami mieszkania ks. Suchowolca przybiegli inni księża i sąsiedzi. Nie mogąc wejść do środka, wyważyli zamknięte drzwi: na podłodze obok łóżka leżał ks. Stanisław; w oknach wisiały resztki spalonych firanek, ogień zniszczył częściowo stół i fotele. Nieopodal łóżka leżała martwa suczka księdza — Nika, wyszkolona dobermanka. Wezwany na miejsce lekarz stwierdził, że ksiądz nie żyje. Według SB i prokuratury śmierć była wynikiem zatrucia tlenkiem węgla podczas snu. Pożar w pokoju powstał w wyniku zapalenia się grzejnika elektrycznego typu farelka, od którego zajęły się firanki, a później reszta sprzętów. Prokuratura nie znalazła dowodów, że zaplanowano zamach, że śmierć księdza była zbrodnią. Śledczy stwierdzili, że ksiądz zatrął się czadem podczas snu.

Pogrzeb ks. Suchowolca, który odbył się 3 lutego 1989 r., cztery dni przed

rozpoczęciem obrad Okrągłego Stołu, był jedną wielką manifestacją patriotyczną. W uroczystościach żałobnych uczestniczyło 2 biskupów, 160 księży katolickich (w tym ks. Sylwester Zych, zamordowany pięć miesięcy później przez komunistyczną bezpiekę), 2 duchownych prawosławnych, 23 poczty sztandarowe Solidarności, z Warszawy przyjechali czołowi przedstawiciele opozycji, m.in. Zbigniew Romaszewski.

Pół roku po śmierci ks. Stanisława Suchowolca, w czerwcu 1989 r., umorzono śledztwo — prokuratura nie dopatrzyła się działania osób trzecich, chociaż na ciele księdza znaleziono krwawe pręgi: na klatce piersiowej i szyi. Białostoccy prokuratorzy uznali, że zostały one spowodowane tym, że... ksiądz sam się uderzył.

Działacze opozycji i przyjaciel księdza nie pozostawili jednak tej sprawy — 5 października 1989 r. Senacka Komisja Praw Człowieka i Praworządności ogłosiła przyjęte jednogłośnie stanowisko w sprawie zabójstw księży: Stefana Niedzielaka, Stanisława Suchowolca i Sylwestra Zycha.

W roku bieżącym miały miejsce trzy przypadki śmierci nagłej księży katolickich znanych ze swej konsekwentnej i aktywnej postawy opozycyjnej.

Stan dochodzenia prowadzonego w sprawach śmierci jest bardzo różny i o ile w przypadku ks. S. Niedzielaka i ks. S. Zycha śledztwo jest kontynuowane, o tyle w sprawie śmierci ks. Stanisława Suchowolca postępowanie zostało umorzone w oparciu o ustalenie, iż śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Zdarzenia te wstrząsnęły opinią publiczną i domagają się szczególnie precyzyjnego i wielostronnego zbadania.

W związku z tym Komisja Praw Człowieka i Praworządności postanowiła wysłuchać wyjaśnień Kazimierza Sulki, byłego funkcjonariusza SB, na temat pozaprawnych działań MSW, których był uczestnikiem.

Tak więc w dniach 8 września i 5 października 1989 r. przed Komisją złożyli wyjaśnienia: Kazimierz Sulka oraz ks. Adolf Chojnacki, przeciwko któremu działania takie były prowadzone.

Złożone wyjaśnienia potwierdzają fakt stosowania przez funkcjonariuszy IV departamentu MSW bezprawnych, a nawet przestępczych działań przeciwko

duchownym.

W świetle tego niezbędnym jest wyjaśnienie charakteru i zakresu działań podejmowanych przez IV Departament przeciw zmarłym księżom, jak również zbadanie ewentualności podejmowania takich działań ze strony nieformalnych grup funkcjonariuszy związanych z resortem (czterokrotne próby zamachu na ks. S. Suchowolca nie zostały przez śledztwo wyjaśnione).

Uważamy za niezbędne zbadanie wszelkich materiałów będących w gestii MSW, a w szczególności akt operacyjnych i teczek ewidencji operacyjnej księży S. Niedzielaka, S. Suchowolca, S. Zycha i A. Chojnackiego celem uzupełnienia prowadzonego śledztwa.

Komisja Praw Człowieka i Praworządności zwraca się do Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej [komisji Rokity — red.] powołanej dla zbadania działalności MSW o objęcie szczególną kontrolą toczących się spraw oraz przesyła na ręce Komisji protokoły i stenogramy wyjaśnień Kazimierza Sulki i ks. Adolfa Chojnackiego — czytamy w stanowisku senackiej komisji, której przewodniczącym był Zbigniew Romaszewski.

Sprawa trafiła do komisji Rokity — na podstawie analizy akt śledztwa opinię sporządził dr hab. Jerzy Jasiński, profesor Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Pismo do komisji wpłynęło 24 maja 1991 r.

Postępowanie było prowadzone bardzo starannie w dwojakim znaczeniu: zmierzało ono do drobiazgowego wyjaśnienia okoliczności samego zdarzenia, choć robi wrażenie, że prokuratura rychło wyrobiła sobie zdanie na temat jego charakteru i nie była zainteresowana w obiektywnym spojrzeniu na inne możliwe jego wyjaśnienie. Wykazała również wiele staranności, żeby nie powiedzieć determinacji, w niedopuszczeniu do rozszerzenia śledztwa na szerszy kontekst zdarzeń poprzedzających śmierć ks. Suchowolca, zamachy na jego życie, groźby, zainteresowanie jego osobą ze strony organów bezpieczeństwa; wyjaśnienie tych okoliczności wyraźnie nie interesowało prokuratury, choć ewidentnie przyczynić by się mogło do zobaczenia całej sprawy w innym świetle — czytamy w opinii sporządzonej dla komisji Rokity.

Zdaniem prof. Jasińskiego lektura akt prowadzi do wniosku, że śledztwo powinno być wznowione; profesor zwraca też uwagę na wątpliwości związane z suzczką ks. Suchowolca; okazało się, że biegli sporządzili dwie różne ekspertyzy dotyczące zwierzęcia.

Wyjaśnienia wymaga pochodzenie krwi, która wyciekła z pyska psa. Czy zaccadzenie psa mogło ją spowodować? W aktach nie ma żadnego wyjaśnienia przyczyn jej powstania [choć na filmie z oględzin słychać, jak funkcjonariusze o tym rozmawiają — red.]. Ponadto należy zadać biegłym pytania zmierzające do wyjaśnienia rozbieżności w oznaczeniu zmian w krwi psa, a zwłaszcza czy stosowana w pierwszej ekspertyzie — dziwnym trafem dołączonej do akt dopiero na żądanie pełnomocników stron — metoda Wolfa jest rzeczywiście niewłaściwa w przypadku krwi zwierzęcej — podkreślił prof. Jasiński.

W opinii czytamy również, że w aktach sprawy znajduje się mnóstwo materiałów świadczących o nękanii ks. Suchowolca przez organy bezpieczeństwa.

Należałoby ponownie przesłuchać funkcjonariuszy: kpt. Wacława Łasiewicza, por. Lecha Stupka i por. Jerzego Olchowika, a zapewne i innych funkcjonariuszy, których nazwiska ujawni śledztwo. Powinni być oni przesłuchani na okoliczności związane z zainteresowaniem tej służby zmarłym i zamachami na niego, co doprowadzić by mogło do wyjaśnienia nie tylko sprawy śmierci ks. S. Suchowolca, ale i innych, wcześniejszych przestępstw popełnionych przez SB zmierzających do pozbawienia go życia — napisał prof. Jasiński.

W 1992 r. białostocka prokuratura ponownie zajęła się śmiercią ks. Suchowolca. Pani Marianna, gosposia z plebanii, zeznała, że w nocy z 29 na 30 stycznia 1989 r. widziała na plebanii trzy nieznanne osoby: dwóch mężczyzn i kobietę, i że o północy widziała księdza żywego (okazało się, że widziała go ostatnia). Przeprowadzono ekspertyzę, z której wynikało, że pożar nie nastąpił z powodu elektrycznego grzejnika, lecz w drewnianej podłodze wybito dziurę,

przez którą od strony piwnicy wiano łatwopalną substancję. Także jeden ze strażaków, który przyjechał na plebanie tuż po pożarze, zeznał, że w lewym dolnym rogu szyby w oknie była wybita dziura. Z kolei weterynarze orzekli, że krew ciekąca z pyska suczki oznaczała, iż została zatruta lub zabita. Musiało to nastąpić przed zabójstwem księdza — w przeciwnym razie dobermanka zaalarmowałaby innych mieszkańców plebanii. We wrześniu 1992 r. w specjalnym komunikacie białostocka prokuratura podała, że przyczyną pożaru w mieszkaniu ks. Stanisława Suchowolca było podpalenie, a śmierć księdza nastąpiła wskutek zaczadzenia. W sierpniu 1993 r. z powodu nieustalenia sprawców postępowanie umorzono.

Dwa lata później, w listopadzie 1995 r., mec. Jan Chojnowski, pełnomocnik rodziny ks. Stanisława Suchowolca, zwrócił się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z wnioskiem o odtajnienie „akt agentury związanej z osobą ks. Suchowolca” i o ponowne śledztwo. W grudniu 1995 r. prok. Andrzej Śliwski z białostockiej prokuratury wojewódzkiej zwrócił się do Zbigniewa Siemiątkowskiego, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, o przekazanie tajnych materiałów MSW. Wniosek został zrealizowany — dokumenty komunistycznej bezpieki dotyczące ks. Suchowolca trafiły do białostockiej delegatury Urzędu Ochrony Państwa. Przez dwa lata — do kwietnia 1997 r. — śledczy badali tajne akta komunistycznej bezpieki, jednak nie znaleźli dostatecznych dowodów pozwalających na podjęcie umorzonego postępowania.

Pięć lat później sprawa trafiła do prokuratorów z Instytutu Pamięci Narodowej.

Śmierć ks. Stanisława Suchowolca nappełniła bólem, smutkiem i niepokojem bardzo wielu ludzi w Polsce i daleko, daleko poza jej granicami. Szczególnie jednak dotknęła nas — Kościół archidiecezji w Białymstoku. Dlatego lud boży ze swoim biskupem zgromadził się wokół stojącej przed ołtarzem trumny. Wszyscy jesteśmy przepełnieni niepokojem, bólem i smutkiem. Mamy nadzieję, że ten niepokój ustąpi, gdy zostaną wyjaśnione wszystkie okoliczności śmierci

— powiedział ks. Antoni Lićwinko w kazaniu wygłoszonym podczas mszy

żałobnej za ks. Suchowolca. Do dziś nie wiadomo, kto zabił bohaterskiego kapłana.

W grudniu 2009 r., podczas konferencji „Niezlomni ludzie Kościoła” prezydent Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył ks. Stanisława Suchowolca Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zabójstwo ks. Sylwestra Zycha Śmierć księdza przyśniła się jego matce

Po śmierci syna, zanim przyjechała córka z wiadomością o jego śmierci, to miałam sen, w którym widziałam, jak syna biło dwóch mężczyzn po cywilnemu, a trzeci stał i obserwował. Było to w lesie. Jego torbę wrzucili do dołu w tym miejscu, gdzie go bili za taką górką. To był tylko sen, ale niech to będzie w protokole. Czasami sny się sprawdzają, a ja mogłabym rozpoznać to miejsce. Syn w czasie drugiego snu tłumaczył mi, jak tam dojechać. To wszystko, co mam do zeznania w tej sprawie.

(Z zeznań Ireny Zych w Prokuraturze Rejonowej w Wołominie, 10 października 1989 r.)

* * *

11 lipca 1989 r. okolice dworca PKS w Krynicy Morskiej. Przypadkowi przechodnie — dwie młode dziewczyny — znajdują nieprzytomnego mężczyznę, który jest oparty o mur w pozycji siedzącej. Lekarka, która przyjechała z pogotowiem ratunkowym, podaje zastrzyk, po chwili stwierdza jednak, że mężczyzna nie żyje. Ciało zostaje przewiezione do szpitala, gdzie 12 lipca zostaje przeprowadzona sekcja, jeszcze przed identyfikacją zwłok. Kilkanaście godzin później już wiadomo, kim jest zmarły: to ks. Sylwester Zych, znany ze swoich antykomunistycznych poglądów, kapelan NSZZ „Solidarność” w Hucie Warszawa i Konfederacji Polski Niepodległej, działacz Społecznego Ruchu im. ks. Popiełuszki. Identyfikacji zwłok dokonują znajomi ks. Zycha z parafii w Braniewie: ksiądz wikary Józef Midura oraz nauczyciel Kazimierz Gursztyn.

Od tego momentu wydarzenia zaczynają się toczyć jak w kalejdoskopie.

Śledztwo w sprawie śmierci księdza wszczyna Prokuratura Wojewódzka w Elblągu. Na miejsce 13 lipca przyjeżdżają przedstawiciele Episkopatu. Dzień później w Zakładzie Medycyny Sądowej w Gdańsku zostaje przeprowadzona druga sekcja zwłok; w czynnościach uczestniczą również przedstawiciele Kurii Biskupiej w Gdańsku, Leszek Lackorzyński, radca prawny (po wprowadzeniu stanu wojennego usunięto go z przyczyn politycznych ze stanowiska prokuratora), dr Leonard Pikiel, patomorfolog, pełnomocnik rodziny Jacek Taylor (adwokat, w latach 80. obrońca w procesach politycznych) i Edmund Krasowski, poseł z Elbląga.

Po pierwszej autopsji szef elbląskiej prokuratury Antoni Dykowski informuje media, że sekcja nie wykazała przyczyny zgonu, a niewielkie otarcia na czole nie miały związku ze śmiercią księdza. W trakcie drugiej sekcji zwłok okazuje się, że podczas pierwszej „nie zauważono” złamania czterech żeber i mostka; na ciele zmarłego księdza zidentyfikowano 54 obrażenia, w tym pręgi z tyłu głowy — zdaniem biegłych mogły być one spowodowane uderzeniem milicyjnej pałki.

W sobotę 15 lipca we flagowym programie informacyjnym, czyli Dzienniku, został zapowiedziany reportaż nakręcony na miejscu wydarzeń, czyli w gdańskim klubie Riviera.

Zrealizował go dziennikarz z gdańskiego oddziału Telewizji Polskiej Witold Gołębiowski, który dostał osobiste polecenie Jerzego Urbana, aby udać się do Krynicy Morskiej i nakręcić reportaż o księdzu, który się zapał na śmierć, i nagrać świadków, którzy o tym mówią. W filmie *Zwłoki nieznanne* z 1998 r. Gołębiowski opowiadał:

Pamiętam, że to była sobota, koło południa... Nagle do mojego pokoju przyszła podekscytowana sekretarka, mówiąc, że dzwoni prezes Urban i żebym podszedł do telefonu, bo nie ma ani naczelnego, ani zastępcy. Odebrałem telefon, w którym prezes poinformował, że proszę natychmiast pojechać do Krynicy Morskiej, bo tam ksiądz zapał się na śmierć. I trzeba przesłuchać, nagrać wypowiedzi świadków.

W swoim reportażu Gołębiowski zamieścił wypowiedzi pracowników

młodzieżowego nocnego klubu Riviera, że w noc zabójstwa ks. Sylwester Zych był w klubie i wypił z nieznanym mężczyzną ogromne ilości alkoholu.

Reportaż miał uwiarygodnić wersję, że ksiądz zmarł na skutek przepicia: zarówno pierwsza, jak i druga sekcja zwłok wykazała ponad 3 promile we krwi kapłana.

* * *

Warszawa, dn. 1990 - 04 - 11/12

3456
38

REPUBLIKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
MINISTERSTWO
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
GABINET MINISTRA

Nr. BB IX - 684/90
Wojciechowski.
17.09.90. W. Kiciu.

PROKURATOR REJONOWY
dla Dzielnicy Warszawa Praga-Południe

Pan mgr Waldemar K A I M

W odpowiedzi na Pańskie pismo nr 4 Ds 236/89
dot. ks. Sylwestra ZYCHA uprzejmie powiadamiam, iż
służby resortu spraw wewnętrznych nie podejmowały dzia-
łań polegających na jego obserwacji.

Naczelnik
Wydziału Pracy Ogólnej
ppłk S. Kopiec

PROKURATURA
dla Dzielnicy Warszawa Praga-Południe
ul. Polakowicza 5
03-832 Warszawa

Akta śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową Warszawa Praga
Południe w sprawie pobicia ks. Sylwestra Zycha

40 58

4 de 286/89

POSTANOWIENIE

o umorzeniu śledztwa (dochodzenia*)

Data 10 maja 1990 r.

Janusz Najlichowski prokurator
(imię, nazwisko i stanowisko) Prokuratury Rejonowej dla Pragi

Warszawa w sprawie przestępstwa*) reżysjeru dokonanego na osobie Sylwestra Zycha

z art. 210 § 1 kk

z art. 280 § 1 oraz art. 213, 281 § 1, 282 § 1⁴⁾ kpk

postanowił:

umorzyć śledztwo - (dochodzenie*) w sprawie reżysjeru dokonanego w marcu 1989r w Warszawie na osobie Sylwestra Zycha przez nieznanych sprawców tj. o czyn z art. 210 § 1⁴⁾ kpk

na zasadzie art. 280 § 1 kpk wobec niewykrycia sprawców czynu

z podaniem kwalifikacji prawnej i podstawy umorzenia

zastosowany

zgodnie z art. 210 § 1 kpk

z postanowieniem z dnia 19... r.)*

z art. 210 § 1 kpk

z postanowieniem z dnia 19... r. w przedmiocie zabezpieczenia majątkowego*)

z wnioskiem o*)

Postanowienie o umorzeniu śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową
Warszawa Praga Południe w sprawie pobicia ks. Sylwestra Zycha



Ogłoszenie zamieszczone w gazetach w mało widocznym miejscu dotyczące poszukiwań świadka pobicia ks. Sylwestra Zycha

Sprawą interesowali się dziennikarze, którzy w swoich materiałach epatowali

więzienną przeszłością ks. Sylwestra Zycha. Chodzi o sprawę zabójstwa sierż. Zdzisława Karosa (pracował przy ochronie ambasad), który zginął 18 lutego 1982 r. w tramwaju. Dwaj młodzi chłopcy chcieli mu odebrać broń — w czasie szamotaniny został postrzelony w brzuch przez jednego z nich, 17-letniego Roberta Chechłacza (został skazany na 25 lat więzienia, wyszedł na wolność w 1989 r. na mocy amnestii). Chłopcy byli członkami organizacji Siły Zbrojne Polski Podziemnej powstałej po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Jednym z jej zadań było zgromadzenie broni na wypadek, gdyby doszło do konfrontacji z komunistyczną władzą. Opiekunem Sił Zbrojnych Polski Podziemnej był ks. Zych. Został aresztowany i skazany: według komunistycznej prokuratury miał dostarczyć fałszywego alibi, a na plebanii była przechowywana broń. Warszawski sąd skazał ks. Zycha na 4 lata więzienia za rzekomą przynależność do organizacji zbrojnej. Sprawa trafiła później do Sądu Najwyższego, który podwyższył wyrok do 6 lat. „Nigdy nie uważałam i nie uważam ks. Zycha za współodpowiedzialnego za śmierć mojego stryja i ojca chrzestnego” — oświadczyła bratanica sierż. Karosa, co jednak nie spotkało się z odzewem w mediach. Brylował w nich natomiast gen. Czesław Kiszczak, który wbrew faktom pomawiał ks. Zycha o pomoc w zabójstwie milicjanta.

Kapłan w więzieniu był przetrzymywany w bardzo ciężkich warunkach. Poniżano go i upokarzano, nętkano groźbami, że straci życie, jak wyjdzie na wolność. Karano go nawet za to, że udzielał komunii współwięźniom. Ks. Zych został zwolniony w 1986 r.

W 1993 r. w wyniku rewizji wniesionej przez prezesa Sądu Najwyższego prof. Adama Strzembosza sędziowie z Izby Wojskowej Sądu Najwyższego wydali wyrok uniewinniający ks. Sylwestra Zycha od zarzutu przynależności do związku zbrojnego.

* * *

Po zabójstwie główne media nie zajęły się tym, jak bezpieka traktowała ks. Zycha w więzieniu: głównym tematem były śmierć sierż. Karosa i zawartość alkoholu we krwi kapłana.

W wielu mediach śmierć kapłana była przedstawiana jako nieszczęśliwy wypadek. Pełnomocnik rodziny mec. Jacek Taylor od samego początku

kwestionował oficjalną wersję prokuratury. Zdaniem śledczych przyczyną śmierci ks. Sylwestra Zycha było zatrucie alkoholem, a obrażenia ciała powstały częściowo wskutek utraty równowagi przez nietrzeźwego, a częściowo były efektem ubocznym akcji reanimacyjnej. Mec. Taylor podkreślał, że ks. Zych był inaczej ubrany przed śmiercią, a znaleziono go martwego w zupełnie innym ubraniu — mimo upalnej pogody miał na sobie grubą flanelową koszulę z długimi rękawami.

Jedną z największych tajemnic tego śledztwa, zresztą nigdy niewyjaśnioną, była sprzeczność związana z ubiorem księdza. Świadkowie, którzy widzieli ks. Zycha rano w Braniewie, twierdzili, że miał na sobie koszulkę polo z krótkim rękawem. Z kolei według zgodnej opinii zespołu reanimacyjnego z pogotowia ratunkowego znaleziony mężczyzna na przystanku autobusowym był ubrany w koszulę flanelową z długim rękawem. Ale denat w prosektorium — był nim z pewnością ks. Zych — miał koszulkę polo z krótkim rękawem. Kto i dlaczego dokonał inscenizacji z przebieraniem? — napisał Jerzy Jachowicz w tygodniku „Uważam Rze” 25 lipca 2015 r.

Takich wyjątkowych znaków zapytania jest w tej sprawie znacznie więcej.

Co się działo z księdzem od południa 10 lipca do znalezienia ciała o godz. 2.15 w nocy 11 lipca? Wiemy tylko od trojga barmanów (którzy wystąpili zresztą w telewizji, zanim zostali przesłuchani), pracujących sezonowo w młodzieżowej dyskotekce, że ks. Zych przyszedł około 22 w towarzystwie innego szpakowatego mężczyzny. Obaj byli już nietrzeźwi, po czym wypili po litrze wódki na głowę bez zakąski, siedząc na wysokich barowych stołkach. Nikt z wielu przesłuchanych gości baru ich nie widział, choć obaj „starsi panowie” musieli odbijać od reszty wiekiem. Barmani zapamiętali, że mężczyźni pytali o łódź. Natomiast nie zwrócili uwagi, jak wychodzili, najwyraźniej „bezszerowo”. Jest jednak mało prawdopodobne, by ktoś, kto ma w ciągu 20–30 minut umrzeć wskutek porażenia centralnego układu nerwowego, zdołał tak cicho i niepostrzeżenie wyjść. Taka śmierć nie jest nagła, ona trwa. Jest też nieprawdopodobne zdobycie się w takim stanie na przebycie 350 metrów. Księdza, który jakoby wyszedł za kwadrans drugą, znaleziono w takiej właśnie

odległości 15 minut po drugiej — mówił w „Gazecie Wyborczej” w sierpniu 1989 r. mec. Jacek Taylor.

We wrześniu elbląska prokuratura zwróciła się do ministra spraw wewnętrznych o przesłanie na potrzeby prowadzonego śledztwa teczki ewidencji operacyjnej na księdza (TEOK). Kilka dni po wpłynięciu tego pisma w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych powołano specjalną komisję, która „wybrakowała” TEOK ks. Zycha, czyli — potocznie mówiąc — po prostu ją zniszczyła, zostawiając jedynie protokół brakowania akt.

Niszczenie akt służb specjalnych PRL rozpoczęło się w 1986 r., na polecenie ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka. Proces niszczenia był kontynuowany po wyborach 4 czerwca 1989 r. — nie ustał, a wręcz się nasilił, po nominacji Mazowieckiego na premiera. Operacja niszczenia akt była nagłośniona wówczas przez media, ale nic to nie dało. Sprawą zajęła się komisja Rokity. W raporcie końcowym komisji czytamy m.in.:

Sprawy zgonów księży katolickich, zwłaszcza związanych w latach osiemdziesiątych z opozycją solidarnościową, noszą charakter szczególny. Księża katolicycy byli bowiem wyodrębnioną przez MSW grupą osób, które przez sam fakt znalezienia się w tej grupie (tzn. wstąpienia do seminarium duchownego), znajdowały się automatycznie w zasięgu działań operacyjnych MSW. Bez względu zatem na poglądy i rodzaj działalności w stosunku do każdego księdza prowadzono tzw. teczkę ewidencji operacyjnej na księdza (TEOK). Próbowano pozyskać go na współpracownika, oceniano przy pomocy działalności operacyjnej jego stosunek do ustroju PRL, interesowano się życiem prywatnym. Tym samym wiedza MSW o populacji osób duchownych wielokrotnie przewyższała wiedzę o pozostałych obywatelach. Należało więc sądzić, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że zarówno wiedza oficerów SB prowadzących danego księdza i jego akta operacyjne mogłyby być niezwykle pomocne dla ustalenia okoliczności zabójstwa bądź niewyjaśnionych zgonów osób duchownych. Tym bardziej że Komisji znana była praktyka nieprzekazywania tej wiedzy ani werbalnie ani przez dostęp do akt operacyjnych osobom prowadzącym postępowanie karne. Niestety, na polecenie byłego kierownictwa MSW wszystkie TEOK uległy zniszczeniu lub wyniesiono je z

archiwum MSW. Niemożliwe też okazało się ustalenie funkcjonariuszy SB rozpracowujących przed śmiercią zmarłych księży.

W 1990 r. prokuratura otrzymała pismo, że służby podległe MSW nie inwigilowały ani operacyjnie nie rozpracowywały ks. Sylwestra Zycha. Dokument podpisał wiceminister Lucjan Czubiński, który swoimi działaniami w czasach PRL skutecznie tuszował zbrodnie MSW i wojska. Zasiadał w tzw. komisji Kruczka powołanej w 1971 r. przez Biuro Polityczne KC PZPR w celu wyjaśnienia odpowiedzialności za użycie broni wobec manifestantów podczas wydarzeń grudniowych z 1970 r. W wyniku prac komisji nikt nie poniósł jakiegokolwiek odpowiedzialności karnej. Pięć lat później, po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie, Czubiński w Sejmie zapewniał, że „nigdzie nie doszło do bicia protestujących, a funkcjonariusze MO zachowywali się zgodnie z prawem”.

W 1990 r. poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Jan Rokita, jako szef komisji nadzwyczajnej, zwrócił się do MSW o powołanie specjalnej grupy operacyjnej, która miałaby ustalić nazwiska i zakres działań funkcjonariuszy Departamentu IV MSW, zajmującego się działaniami przeciwko Kościołowi.

Efektom tej prośby stał się przekazany Komisji raport, dotyczący działalności Grupy D Departamentu IV MSW wskazujący na istnienie w tym Departamencie zorganizowanej grupy przestępczej działającej przeciwko duchowieństwu katolickiemu. Pełny tekst raportu został przekazany w dniu 14 lutego 1991 r. Prokuratorowi Generalnemu RP — czytamy w raporcie.

* * *

Dziennikarskie śledztwo w sprawie śmierci ks. Sylwestra Zycha przeprowadził Jerzy Jachowicz, pracujący wówczas w „Gazecie Wyborczej”.

Był początek lipca 1989 r. W TV podano wiadomość o śmierci ks. Sylwestra Zycha. Znanego duchownego, kapelana Konfederacji Polski Niepodległej, znaleziono martwego w nocy z 10 na 11 lipca na przystanku autobusowym w Krynicy Morskiej.

Wedle komunikatu MSW, kierowanego wówczas przez gen. Czesława Kiszczaka, ksiądz „zapił się na śmierć”. Na potwierdzenie tej wersji w „Dzienniku” wypowiedzieli się dwaj barmani nocnej dyskoteki Riviera w Krynicy. Stwierdzili, że w nocy, kilka godzin przed śmiercią, ks. Zych był w lokalu wraz z jakimś innym, nieznanym nikomu mężczyzną. Zamawiali drinki — wódkę z colą. Każdy z nich wypił ok. litra, później opuścili klub. W tym krótkim reportażu głównym świadkiem był ok. 30-letni mężczyzna. Jego słowa potwierdzał nieco ponad 20-letni barman, przedstawiający się jako student prawa UW, który dorabia w wakacje. Kiedy następnego dnia przyjechałem do Krynicy, pierwsze kroki skierowałem do Rivieri. Po rozmowie z obydwoma barmanami dość szybko zorientowałem się, iż kłamią. Co do tego, że byli fałszywymi świadkami, upewniłem się rok później, gdy przyjechałem do miasteczka powtórnie i spotkałem się ze starszym z nich. Opowiedział mi historię ostatnich lat swego życia, a ja nabrałem pewności, że musiał być tajnym współpracownikiem wojskowych służb specjalnych, o długim stażu

— tak w styczniu 2013 r. w tygodniku „W Sieci” Jerzy Jachowicz opisywał początki swojego dziennikarskiego śledztwa w sprawie śmierci ks. Zycha.

W artykule z listopada 1989 r. *Tropy wiodą do MO* Jerzy Jachowicz opisał zeznania mieszkańca Elbląga Adama Wiśniewskiego, jednego z najważniejszych świadków. Wiśniewski razem z kolegą pojechali do Krynicy Morskiej kupić samochód, który po wypadku stał na parkingu. Mężczyźni dowiedzieli się, że informacje o właścicielu samochodu uzyskają na milicji. Po drodze spotkali znajomego milicjanta Jacka Ciećko, który powiedział, że da im adres właściciela samochodu, ale muszą z nim pojechać.

Zatrzymaliśmy się pod Pogotowiem Ratunkowym, do którego weszli funkcjonariusze z tym mężczyzną. Ciećko powiedział do niego: „Chodź, musimy sprawdzić, czy nadajesz się do nas na dechy”. Po ok. 20 minutach wyszli z powrotem. Wtedy Ciećko powiedział do mężczyzny: „Jesteś zdrowy jak koń, możesz u nas spać”. Przez chwilę szedłem razem z nimi. Następnie podjechaliśmy za gazikiem na posterunek MO. Tam ok. 10 min czekałem na znalezienie adresu. Stałem przez pewien czas obok przewożonego gazikiem mężczyzny, który został wprowadzony na dyżurkę. (...) Gdy

wychodziłem do komisariatu, widziałem, jak jeden z milicjantów sprowadzał mężczyznę do aresztu w piwnicy — zeznał Adam Wiśniewski.

Po okazaniu mu ubrań, w których znaleziono ks. Zycha, świadek Wiśniewski potwierdził, że tak właśnie był ubrany mężczyzna, którego widział na komisariacie MO. Jerzy Jachowicz zapytał Adama Wiśniewskiego, kiedy zorientował się, że chodzi o ks. Zycha.

W czasie programu telewizyjnego, gdy pokazano jego zdjęcie. Powiedziałem wtedy do swojej siostry, z którą oglądaliśmy telewizję: tego mężczyznę widziałem na posterunku — mówił Wiśniewski.

„Dlaczego tak późno ujawnił pan te ważne fakty?” — dopytywał dziennikarz.

Siostrze powiedziałem od razu. Radziła, abym nie mówił nikomu o tym, co widziałem, zanim nie porozumie się z ks. Józefczykiem. Sam się więc nie zgłaszałem, bo po prostu bałem się o siebie — wyznał Adam Wiśniewski — czytamy w artykule Jerzego Jachowicza.

Ten świadek, podobnie jak jego kolega, był przesłuchiwany nie tylko w obecności prokuratora, ale również w obecności ks. prałata Mieczysława Józefczyka z Elbląga, posła Edmunda Krasowskiego, członka Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej do zbadania działalności MSW, oraz Jacka Taylora, pełnomocnika rodziny.

* * *

Dostęp do szczegółów śledztwa mieli: pełnomocnik rodziny, osoby publiczne, przedstawiciele Kościoła. Najprawdopodobniej właśnie dlatego po zeznaniach złożonych w Prokuraturze Wojewódzkiej w Elblągu przez matkę Sylwestra Zycha, Irenę, w Prokuraturze Rejonowej dla Dzielnicy Praga-Południe wszczęto

śledztwo dotyczące napadu na księdza, co miało miejsce w Warszawie w marcu 1989 r.

Syn mój, jak tylko wrócił z więzienia w październiku 1986 r., zaczął dostawać pogrozki, anonimy i telefony. Syn mi mówił o tych anonimach i pokazywał mi te kartki. Tzn. ja widziałam trzy takie kartki, na których było napisane „Kiedy skurwysynie zaczniesz działać?”. Tę kartkę syn dostał na początku 1987 r., za jakiś miesiąc syn pokazał mi drugą kartkę „zamknij mordę”. Zaraz niedługo pokazał mi trzecią kartę z napisem: „Módl się, bo twoje dni są już policzone”. Kartki te były napisane ręcznym pismem bez podpisu. Chyba na białym papierze, ale już nie pamiętam. Syn przy mnie palił te kartki w piecu. Mówił, że te kartki na pewno są od milicji. Syn mówił mi także o telefonach tej samej treści i o innych kartkach, które od razu palił w domu. Za synem cały czas chodziła milicja. Tzn. chodzili po cywilnemu. Mój dom był nieraz obserwowany przez milicję, która robiła zdjęcia domu. Obserwowali z radiowozu, tzn. z samochodu z napisem „Milicja”. Jak syn nie żyje, to już nie przyjeżdżają pod mój dom. Dom mój był obserwowany od czasu, gdy syna zamknęli w 1982 r. aż do jego śmierci — czytamy w protokole przesłuchania Ireny Zych z 10 października 1989 r.

Ks. Sylwester Zych „naraził się” komunistycznej władzy głównie nieugiętą patriotyczną postawą, odprawianiem mszy za Ojczyznę, współuczestnictwem w opozycji; był też zwolennikiem wieszania krzyży w szkołach.

Ks. Zych przeczuwał, że zginie: 13 października 1987 r. sporządził testament, w którym napisał: „Czuję, że zbliża się mój dzień, czas spotkania z Panem”.

Irena Zych powiedziała śledczym o napadzie na jej syna, co nastąpiło cztery miesiące przed zabójstwem księdza.

W marcu tego roku [1989 — red.] syn został napadnięty w Warszawie na ul. Targowej przez trzech mężczyzn po cywilnemu. Wciągnęli go w bramę i bili go. Nie chcieli od niego żadnych pieniędzy, tylko go bili i kopali. Uciekli na widok ludzi z ulicy. Wiem o tym, bo mi syn opowiadał. Przygrozili mu, żeby nic nikomu nie

rozgłaszał, że został napadnięty, bo go zabiją. Syn obawiał się o swoje życie, cały czas uważał, że prześladowuje go milicja. Po tym napadzie syn leżał nieprzytomny na ulicy. Jakaś nieznajoma kobieta odwiozła go samochodem na Białolęgę do jego domu — czytamy w protokole przesłuchania Ireny Zych.

Podczas lektury akt śledztwa w sprawie pobicia ks. Zycha można odnieść wrażenie, że milicja i prokuratura tak prowadziły sprawę, aby nie wykryć sprawców. Nie przesłuchano świadków, którzy mogli widzieć pobicie: pracowników Teatru Powszechnego oraz okolicznych mieszkańców. Prokuratura rozpoczęła poszukiwanie nieznajomej kobiety, publikując komunikaty w prasie, ale zostały one umieszczone w mało widocznych miejscach. W materiałach śledztwa znajduje się odręcznie sporządzona notatka służbowa z 20 września 1989 r., w której czytamy:

W dniu wczorajszym w programie Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego został odczytany przez red. St.[aniszawa] Włodarskiego komunikat o poszukiwaniu kobiety — świadka pobicia w marcu br. Komunikat przedstawiono w b. okrojonej formie.

Nie wiadomo, kto i dla kogo sporządził notatkę — podpis na niej jest nieczytelny. Pod notatką widnieje zdanie: „Do teczki współdziałania z prasą — komunikat”.

Co ciekawe, w żadnym komunikacie nie podano, że ofiarą napadu był ksiądz.

W aktach śledztwa znajdują się pisma kierowane do MSW z pytaniami, czy w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych było zgłoszenie napaści na ks. Zycha oraz czy wobec kapłana od lutego do kwietnia 1989 r. była podjęta obserwacja przez służby podległe MSW (w tym Służbę Bezpieczeństwa). Jak się nietrudno domyślić, odpowiedzi na te pytania były negatywne — w tym czasie na potęgę trwało w MSW niszczenie akt.

10 maja 1990 r. prokurator Janusz Wojciechowski z Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Praga-Południe umorzył śledztwo „w sprawie rozboju dokonanego w marcu 1989 na osobie Sylwestra Zycha przez nieznaną sprawców wobec

niewykrycia sprawców czynu”.

W uzasadnieniu umorzenia czytamy:

W marcu 1989 r. do stojącego na przystanku autobusowym w okolicy Teatru Powszechnego Sylwestra Zycha podeszło dwóch mężczyzn, którzy wciągnęli go do bramy. W bramie czekał trzeci mężczyzna. Napastnicy zmuszali Sylwestra Zycha do picia alkoholu. Parokrotnie uderzyli go pięścią w głowę, po czym rozebrali do naga. Sprawcy zostali spłoszeni przez przechodzącą dziewczynę, która widząc całe zdarzenie, zaczęła krzyczeć. Napastnicy uciekli, zabierając ze sobą ubranie pokrzywdzonego. Następnie dziewczyna, która spłoszyła napastników, odwiozła Sylwestra Zycha do Białołęki. Po kilku dniach zrabowane ubranie zostało podrzucone na Białołękę. (...) Ponieważ z materiałów uzyskanych w trakcie przesłuchania osób najbliższych, tj. matki i siostr, wynika, że pokrzywdzony był obserwowany przez nieznane osoby, zwrócono się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w celu uzyskania informacji, czy służby w/wym resortu prowadziły obserwacje Sylwestra Zycha. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych udzieliło odpowiedzi negatywnej. Ponieważ wykonane czynności nie doprowadziły do wykrycia sprawców rozboju, postępowanie należało umorzyć. Umorzenie nie jest jednak równoznaczne z zaprzestaniem wykonywania czynności zmierzających do wykrycia sprawców rozboju. W chwili ujawnienia nowych okoliczności postępowanie zostanie natychmiast podjęte.

Sprawa pobicia ks. Zycha nie została wyjaśniona. Sposób działania sprawców był wówczas podobny do sposobu działań zabójców kapłana. Czy rozbój w marcu 1989 r. był „próbą generalną” przed zabójstwem, czy też sprawcy już wtedy chcieli zabić księdza, tylko im się nie udało? Nie wiadomo, ale wątek dotyczący alkoholu pojawia się w obu zdarzeniach.

Jerzy Jachowicz na łamach „GW” ujawnił, że według eksperta dr. Zenona Kulki, kierownika Zakładu Badań nad Alkoholizmem i Toksykomaniami z Instytutu Psychologii i Neurologii w Warszawie, wiele wskazuje na to, że alkohol został wprowadzony do organizmu ks. Zycha wbrew jego woli.

W 1989 r. opinię wydał Zakład Medycyny Sądowej przy Akademii Medycznej w Gdańsku. Prof. Stefan Raszeja i dr Stanisław Barcik orzekli, że śmierć nastąpiła w wyniku upojenia alkoholowego denata. Wykluczyli możliwość wprowadzenia alkoholu do organizmu wbrew woli ks. Zycha.

Rok później nowy zespół biegłych w wielu punktach podważył poprzednią opinię, postawił kilka znaków zapytania, m.in. nie wykluczył tak kategorycznie, jak zrobił to prof. Raszeja, możliwości powstania urazów na głowie denata od uderzeń pałkami milicyjnymi — czytamy w artykule *Trzeci raz* z 6 maja 1993 r.

Dr Zenon Kulka wskazał też m.in. na bardzo ważną okoliczność: żeby wypić około litra wódki w ciągu około czterech godzin, tak jak to miał zrobić przed śmiercią ks. Zych, musiałby być on alkoholikiem. Tymczasem sekcja zwłok nie wykazała żadnych zmian w wątrobie, co świadczyło o tym, że ks. Zych nigdy nie nadużywał alkoholu. Z zeznań świadków także wynika, że kapłan publicznie walczył z plagą alkoholizmu (m.in. w swoich kazaniach), nigdy nie widziano go pijanego ani też pijącego alkohol.

Śledztwo w sprawie śmierci ks. Sylwestra Zycha zostało umorzone w lipcu 1993 r. Od postanowienia o umorzeniu śledztwa odwołali się mec. Andrzej Grabiński, pełnomocnik warszawskiej kurii, oraz mec. Andrzej Zalewski — pełnomocnik matki księdza Ireny Zych. Po zbadaniu akt śledztwa Prokuratura Apelacyjna w Warszawie utrzymała w mocy decyzję o umorzeniu — taką decyzję podjął Bogusław Michalski 4 grudnia 1993 r.

17 tomów akt śledztwa prowadzonego najpierw przez elbląską, a później warszawską prokuraturę nie dają odpowiedzi na pytanie, kto zabił; z pewnością można jednak stwierdzić, że było to morderstwo. Zeznania świadków: kelnerów, Grzegorza Kwaśniaka i Dariusza Orciucha (po zabójstwie ks. Zycha był poszukiwany kilkoma listami gończymi, m.in. za oszustwa) oraz kelnerki Joanny Ułanowskiej, którzy rzekomo widzieli ks. Zycha, jak pił alkohol z nieznanym mężczyzną (nigdy go nie zidentyfikowano), okazały się kompletnie niewiarygodne.

Prokuratura w Elblągu nie zbadała hipotezy, że zabójstwa dokonali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Po przeniesieniu śledztwa do

Warszawy czynności w sprawie zlecono funkcjonariuszom Urzędu Ochrony Państwa, którzy... rekrutowali się z komunistycznej bezpieki. Podjęte przez nich działania w sprawie wyjaśnienia śmierci ks. Zycha nie przyniosły żadnego efektu.

W 1991 r., jeszcze w czasie trwania śledztwa, Jan Rokita jako przewodniczący komisji nadzwyczajnej zwrócił się do ówczesnego ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego Wiesława Chrzanowskiego w związku z niewłaściwym prowadzeniem śledztwa w sprawie śmierci ks. Zycha przez prok. Wojciecha Mazurka z Prokuratury Rejonowej w Elblągu.

Zwracamy się do Pana z prośbą o zbadanie działań prokuratora Mazurka w tej sprawie i ocenienie, zwłaszcza czy nie dopuścił się on w trakcie prowadzonego postępowania czynów, które mogłyby mieć charakter przestępczy — napisał Jan Rokita.

Śledztwo zostało przeniesione z Elbląga do Warszawy, jednak prok. Mazurek nie poniósł konsekwencji.

W śledztwie w sprawie śmierci ks. Zycha nie ma jasnych odpowiedzi.

Jedynym pewnikiem było to, że 2 lipca 1989 r. ks. Sylwester Zych pojechał do Braniewa do zaprzyjaźnionego z nim proboszcza tamtejszej katedry ks. Tadeusza Brandysa, który był też spowiednikiem ks. Zycha.

Obydwaj księża poznali się w latach 80., kiedy ks. Zych odsiadywał wyrok w więzieniu w Braniewie. Tadeusz Brandys był wówczas kapelanem więziennym; wspierał ks. Zycha, który walczył z więzienną administracją o prawo do odprawiania własnej mszy. Ostatni raz księża widzieli się 10 lipca, gdy zjedli razem śniadanie. Ks. Zych mówił, że wybiera się po południu do Gdańska na wiec pod pomnikiem Poległych Stoczniovców z udziałem prezydenta USA George'a Busha, który właśnie przyjechał do Gdańska.

Później ks. Zych został odwieziony na przystań we Fromborku, gdzie miał wsiąść na statek płynący na drugą stronę Zalewu Wiślanego. Na przystani widziano księdza ostatni raz, jednak ani załoga statku, ani pasażerowie nie widzieli go na pokładzie. Co się dalej z nim działo — wiedzą tylko jego zabójcy.

* * *

Dwaj dziennikarze, którzy na początku lat 90. wnikliwie badali sprawę zabójstwa ks. Zycha, zostali brutalnie zaatakowani.

W kwietniu 1990 r. nieznani sprawcy podpalili w nocy mieszkanie Jerzego Jachowicza, wlewając benzynę przez szparę w drzwiach wejściowych. Jego żona Maria i 15-letnia córka Katarzyna skakały przez okno z II piętra, dziennikarzowi udało się zejść po piorunochronie. Maria Jachowicz zmarła kilka godzin później w wyniku rozległych obrażeń, córka przeżyła, ale przeszła długie leczenie. Jerzy Jachowicz ujawnił wcześniej m.in. skandal związany ze śledztwem w sprawie śmierci ks. Zycha, opisywał niszczenie akt komunistycznej bezpieki w MSW oraz dotarł do naocznego świadka pobicia Grzegorza Przemyska.

Niemal rok później, w lutym 1991 r., Zbigniew Branach, dziennikarz tygodnika „Kultura”, został pobity do nieprzytomności we Wrocławiu przez nieznaną sprawców. To zdarzenie wpłynęło na opóźnienie wydania książki *Tajemnica śmierci księdza Zycha*, której pierwsze wydanie ukazało się w 1994 r.

Prezydent Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył 11 listopada 2009 r. ks. Sylwestra Zycha Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za kształtowanie postaw patriotycznych i pracę duszpasterską”.

ROZDZIAŁ 2
MICHAŁ FALZMANN. WALERIAN PAŃKO.
ANATOL LAWINA

FOZZ — operacja służb specjalnych
PRL

29 maja 1991 r. Tygodnik „Spotkania” publikuje tekst *Komunistyczny skok na kasę, czyli kto zarobił na polskich długach* autorstwa Andrzeja Krasnowolskiego. Wybucho skandal: opinia publiczna po raz pierwszy dowiaduje się o aferze FOZZ. W trybie nadzwyczajnym zostaje zwołana narada u premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, NIK kończy kontrolę w sprawie FOZZ, a 7 lipca 1991 r. Prokuratura Wojewódzka w Warszawie wszczyna śledztwo. W tle pojawiają się nazwiska czołowych przedstawicieli polskiej polityki — Leszka Balcerowicza, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Mieczysława Rakowskiego. 18 lipca 1991 r. umiera nagle Michał Falzmann — inspektor Najwyższej Izby Kontroli, który pierwszy wykrył nieprawidłowości w Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Umiera w momencie, gdy wydawało się, że wychodzi z ciężkiego zawału serca. Trzy miesiące później, 7 października 1991 r., w wypadku samochodowym ginie Walerian Pańko, prezes Najwyższej Izby Kontroli. 16 września 2006 r. w Warszawie, kilka tygodni po ciężkim pobiciu przez nieznaną sprawców, umiera bezpośredni przełożony Michała Falzmanna — Anatol Lawina, jeden z najważniejszych i najbardziej kontrowersyjnych świadków w procesie FOZZ.

Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego zajmujący się — jak się okazało, w sposób dyletancki — całościową obsługą polskich zobowiązań płatniczych, został postawiony w stan likwidacji z dniem 1 stycznia 1991 r. na mocy ustawy z 14 grudnia 1990 r. Likwidatorem został mianowany dyrektor Departamentu Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Finansów, Jerzy Dzierżyński, uprzednio kontroler finansów FOZZ. Przeprowadzona przy okazji likwidacji kontrola odsłoniła wręcz nieprawdopodobny stan Funduszu i sposobu jego funkcjonowania

— tak zaczął się artykuł w „Spotkaniach” ujawniający kulisy afery. Jego autor red. Andrzej Krasnowolski szczegółowo opisał przestępczy mechanizm.

Operacja ta, przygotowana w ostatnich miesiącach rządów komunistów przez ekipę premiera Rakowskiego, rozpoczęła się w lipcu 1989 r., tuż po wyborach parlamentarnych (według jednego z dokumentów miała rozpocząć się już w kwietniu 1989 r., czyli bezpośrednio po podpisaniu umów Okrągłego Stołu). Przerwanie akcji zarządziła Rada Nadzorcza FOZZ w lipcu 1990 r. Przewodniczącym Rady był dyrektor generalny Ministerstwa Finansów Zygmunt Gzyra. Decyzja rezygnacji z operacji, określanych w dokumentacji jako „niekonwencjonalne”, nie oznaczała ich zaprzestania — jeszcze w styczniu 1991 r. na mocy wcześniejszych porozumień nabyto kolejne partie polskiego zadłużenia. (...) Skrajny bałagan w ewidencji państwa sprawił, że zostało ono uwikłane przez FOZZ i Ministerstwo Finansów w działalność nielegalną z punktu widzenia prawa międzynarodowego i swych zobowiązań. Odnoszą się one do niewielkiej części polskich zadłużeń, w przedziale 160—280 milionów dolarów, ale w zasadniczy sposób mogą podważyć wiarygodność międzynarodową Polski. Najgorsze, że te operacje, przygotowane przez komunistów, nie zostały jednoznacznie zastopowane i wyjaśnione przez odpowiedzialnych za finanse państwa w następnych rządach. Przedstawione dane wyraźnie wskazują, że stworzony został świadomie system umożliwiający korupcję, a również straty finansowe — czytamy w „Spotkaniach”.

W czasie gdy powstawały pierwsze artykuły na temat FOZZ, w NIK trwała intensywna kontrola Funduszu. Rozpoczęła się 28 stycznia 1991 r. z inicjatywy NIK, a prowadzono ją w Zespole Analiz Systemowych NIK, w ramach porozumienia zawartego pomiędzy dyrektorem tego zespołu Anatolem Lawiną a wiceminister finansów Teresą Kąkiel.

Po latach okazało się, że FOZZ to była w rzeczywistości operacja służb specjalnych PRL.

Dyrektorem generalnym FOZZ był Grzegorz Żemek — jak ujawniono w „Raporcie z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych” — współpracownik wywiadu, TW „Dik”, który stanął na czele FOZZ po konsultacjach

przeprowadzonych przez wywiad wojskowy i wywiad cywilny.

W teczce pracy Żemka — tajnego współpracownika Zarządu II Sztabu Generalnego, czyli wojskowej bezpieki — znajduje się notatka dotycząca zmiany miejsca zatrudnienia: TW „Dik” został oddelegowany do FOZZ. W sporządzonej przez Żemka notatce czytamy m.in.:

W dniu wczorajszym (31.01.1989) zadzwonił do mnie wiceminister finansów J. Sawicki, prosząc o wybranie się do niego na „pogawędkę”. Rozmowa trwała ok. 2 godziny — brał w niej udział J. [Janusz] Sawicki i w ostatniej części odchodzący wiceminister (zatwierdzony na wyjazd do Helsinek) A. [Andrzej] Dorosz. Obydwu panów znam z uczelni i sporadycznych, wieloletnich kontaktów towarzyskich. W czasie rozmowy padła propozycja, abym zgodził się objąć kierownictwo nowo tworzonej przez Ministerstwo Finansów instytucji o charakterze domu bankowego, która ma nazywać się Funduszem Obsługi Zadłużenia PRL — i której statut i ustawę o jej powołaniu została zatwierdzona przez Sejm. Instytucja pomyślana jest jako samodzielna jednostka gospodarcza, która będzie prowadzić działalność na bazie dochodów uzyskiwanych w części z dotacji państwowych, w części z własnej organizacji finansowej i gospodarczej. Kwoty dotacji — 1 bilion złotych z przeznaczeniem na zakup dewiz na przetargach. Instytucja może tworzyć banki za granicą, wchodzić w spółki w kraju i za granicą oraz robić wszystkie, w tym niekonwencjonalne, operacje bankowe, m.in. takie jakie robiłem w Luksemburgu. Statut daje tyle możliwości, że gdyby rzeczywiście powierzono mi jej prowadzenie, przy odrobinie szczęścia mógłbym „wydusić” z polskiego długu dodatkowo ok. 500 mln dolarów rocznie.

Warunki: niekonwencjonalne działania, dobry zespół specjalistów. Uzyskałem wstępnie zgodę — i zacząłem się do sprawy przygotowywać. Dla nas sprawa jest szalenie interesująca — daje bardzo szeroki wachlarz możliwości działania organizacji spraw finansowych kontaktów itp. itd.

W dniu 1.02.1989 r. podjąłem kontakt z Ministrem Sawickim, gdzie wspólnie z Ministrem Wróblewskim [Andrzejem, ministrem finansów w rządzie Mieczysława Rakowskiego — red.] odbyliśmy rozmowę. Wyłożyłem moje koncepcje rozwoju instytucji. Podczas spotkania poinformowano mnie, że zostałem zaakceptowany jako

sekretarz/Dyrektor generalny Funduszu Obsługi Zadłużenia — od 20.02.1989 r. z pensją i na prawach podsekretarza stanu.

Wspomniany przez niego wiceminister Janusz Sawicki to — jak ujawnił dr Sławomir Cenckiewicz w *Długim ramieniu Moskwy* — kontakt operacyjny cywilnej bezpieki.

Janusz Sawicki (ur. 1949 r.) zajmował stanowisko wiceministra finansów w latach 1989—1991. Był wieloletnim urzędnikiem Ministerstwa Finansów. W latach 80. odpowiadał za obsługę zadłużenia zagranicznego, a po powstaniu FOZZ nadzorował jego działalność. W latach 1989—1990 kierował Radą Nadzorczą FOZZ. Był wielokrotnie pozytywnie opiniowany przez Departament I MSW w związku z wyjazdami zagranicznymi. W latach 1979—1990 rejestrowany pod nr. rej. 13201 przez Wydział VIII Departamentu I jako KO o kryptonimach „Jasa” i „Kmityn” (materiały zniszczono 23 I 1990 r.). W latach 1987—1990 rejestrowany pod nr. rej. 100784 także przez Wydział IV i V Departamentu V MSW w kategorii „zabezpieczenie” oraz jako KO. Zob. IPN BU 908/12918; IPN BU Pf 252/70, k. 357—360; BUiAD IPN, Wypis z kartoteki Biura „C” MSW. Nazwisko Sawickiego widnieje w poufnym Spisie telefonów rządowych wydany przez Zarząd Łączności MSW z 1988 r. (s. 49, w zbiorach autora). Łączność rządowa umożliwia najważniejszym osobom w państwie „przekazywanie tekstem otwartym wiadomości stanowiących tajemnicę państwową, które wymagają natychmiastowego wykonania”. W Spisie telefonów, oprócz ministrów, członków Biura Politycznego i KC PZPR znalazło się również wielu oficerów wywiadu wojskowego (m.in. Roman Misztal, Czesław Wawrzyniak, Mirosław Wojciechowski) i cywilnego (m.in. Zdzisław Sarewicz, Józef Osek) — czytamy w *Długim ramieniu Moskwy*.

Lista nazwisk znanych osób związanych z FOZZ jest niezwykle interesująca.

Zastępcą Grzegorza Żemka była Janina Chim, bliska znajoma Dariusza Przywieczerskiego, szefa Universalu (w PRL zajmował się handlem zagranicznym), współpracownika Grzegorza Żemka w FOZZ. Przywieczerski w roku 1987 został zarejestrowany jako tajny współpracownik Departamentu II

MSW o ps. „Grabiński”.

To właśnie Janina Chim (pełniła funkcję wicedyrektora FOZZ i była jednocześnie pracownikiem Uniwersalu) podjęła niezgodną z prawem decyzję przyznania gigantycznego kredytu z FOZZ — ok. 9,3 mld starych złotych dla Komitetu Wyborczego Dariusza Przywieczerskiego, który w 1989 r. ubiegał się o mandat senatora.

Bliską współpracowniczką Janiny Chim była Renata Pochanke, matka gwiazdy TVN Justyny Pochanke.

Przykład zatrudnienia Renaty Pochanke w FOZZ pokazuje, że nie trafiali tam ludzie przypadkowi. Jej ojciec, Zdzisław Gaca, to działacz PZPR, wieloletni dyrektor państwowych przedsiębiorstw przemysłu ciężkiego, w latach 80. dyrektor Bumaru. Firma ta była objęta kontrolą wywiadu wojskowego PRL, czyli Zarządu II Sztabu Generalnego, jak też wywiadu cywilnego, czyli Departamentu I MSW, co oznaczało kontrolę sowieckich służb specjalnych. W latach 80. Bumar miał bardzo istotny udział w rynku handlu bronią.

Z kolei matka Renaty Pochanke, Janina Gaca, pracująca jako ekonomistka w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego „Agros”, była panelistką konferencji RWPG (utworzonej z inicjatywy Stalina Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej) — jeździła głównie do Związku Sowieckiego.

W Radzie Nadzorczej FOZZ zasiadał m.in. Dariusz Rosati — według znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej dokumentów zarejestrowany jako kontakt operacyjny o ps. „Buyer”.

W 1978 r. Dariusz Rosati jako doktor habilitowany nauk ekonomicznych (ukończył SGPiS) otrzymał roczne stypendium w USA. Przed wyjazdem spotkał się z nim funkcjonariusz Departamentu I, który sporządził raport o zatwierdzeniu pozyskania członka PZPR Dariusza Rosatego w charakterze kontaktu operacyjnego — była to jedna z kategorii tajnej i świadomej współpracy o uproszczonych procedurach związanych z pozyskaniem i prowadzeniem „źródła”, w latach 70. i 80. często stosowana wobec członków PZPR.

R. jest człowiekiem bardzo zdolnym i ambitnym. Aktywny w pracy naukowej i

działalności polityczno-społecznej. (...) Cechuje go dojrzałość wypowiedzi i rzeczowość. W kontaktach z naszą służbą bezpośredni, wykazywał duże zrozumienie dla potrzeby zaangażowania i pomoc w realizacji zadań. Poważnie potraktował zleczone mu zadania i fakt współpracy. (...) W związku z wyjazdem na roczne stypendium do First National City Bank w Nowym Jorku został pozyskany celem: realizacji przekazanych mu zadań po linii wywiadu ekonomicznego, poznawania ciekawych z operacyjnego punktu widzenia osób ze sfer amerykańskiego businessu i polityki celem ich rozpracowywania, ustalania pracowników i współpracowników amerykańskich służb specjalnych, w kręgach których będzie się obracał podczas pobytu

— pisał funkcjonariusz Wydziału VIII Departamentu I. Natomiast w odrębnie sporządzonej notatce z lutego 1978 r. kpt. Jan Larecki z Departamentu I napisał m.in.:

W toku dalszej rozmowy R. wyraził zgodę na współpracę z naszą Służbą i zobowiązał się uczestniczyć w realizacji powierzonych mu zadań. Z uwagi na termin wyjazdu — koniec lutego lub początek marca — ustaliliśmy następne rozmowy celem przekazania mu niezbędnego instruktażu. Dnia 24 stycznia D.R. zadzwonił do mnie i poinformował, że termin wyjazdu do USA został przyspieszony. 26 stycznia umówiłem się z nim na dalszą rozmowę. W trakcie tego spotkania zapoznałem go z zadaniami, jakich od niego oczekujemy, omówiłem z nim szeroko zasady konspiracji działań i form postępowania.

Najwyższa Izba Kontroli w sporządzonym we wrześniu 1991 r. raporcie nie zostawiła suchej nitki na władzach Funduszu, jego radzie nadzorczej oraz urzędnikach, którzy go nadzorowali.

Odpowiedzialność za nieprawidłowości występujące w FOZZ w pierwszej kolejności ponosi Dyrekcja (G. [Grzegorz] Żemek i J. [Janina] Chim) i Rada Nadzorcza FOZZ [Janusz Sawicki — przewodniczący (od 14 marca 1989 do 31 grudnia 1990) — był jednocześnie wiceministrem finansów odpowiedzialnym za obsługę polskiego zadłużenia zagranicznego i nadzór nad działalnością FOZZ, Jan Boniuk — dyrektor

Departamentu Zagranicznego Ministerstwa Finansów i sekretarz Rady Nadzorczej FOZZ, Grzegorz Wójtowicz (ekonomista) — dyrektor Departamentu Zagranicznego Narodowego Banku Polskiego, Dariusz Rosati, Zdzisław Sadowski, Jan Wołoszyn, Sławomir Marczuk — od maja 1989, Wojciech Misiąg — od października 1989 — red.], a następnie z tytułu braku efektywnego nadzoru nad podległą państwową jednostką organizacyjną — minister finansów (A. [Andrzej] Wróblewski i L. [Leszek] Balcerowicz). (...)

Działalność byłego dyrektora generalnego FOZZ G. [Grzegorza] Żemka i jego zastępcy J. [Janiny] Chim nosi — zdaniem Najwyższej Izby Kontroli — znamiona przestępstwa niegospodarności. W praktyce — z uwagi na indywidualną odpowiedzialność każdego członka rady nadzorczej i zmienność jej składu (to ostatnie miało niewątpliwie negatywny wpływ na wyniki pracy RN) — odpowiedzialność członków Rady Nadzorczej jest zróżnicowana. W związku z powyższym w wystąpieniu do Prokuratury wnioskowano o podjęcie działań w celu określenia stopnia odpowiedzialności karnej (np. z art. 217 kk) członków dyrekcji i Rady Nadzorczej FOZZ. (...) W związku z powyższym stwierdza się niezbędną przeprowadzenia kontroli legalności działań i kontroli skarbowej w podmiotach krajowych, które miały związek z działalnością Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Szczególnie ważna i pilna jest weryfikacja całego zadłużenia zagranicznego Skarbu Państwa, która by ustaliła, czy wszystkie zobowiązania i umowy zawierane przez Bank Handlowy w imieniu Skarbu Państwa były zawierane zgodnie z obowiązującymi przepisami oraz przez uprawnione do tego podmioty

— czytamy w raporcie NIK podpisanym przez dyrektora Zespołu Analiz Systemowych Anatola Lawinę, wiceprezesa NIK Piotra Kownackiego oraz prezesa NIK Waleriana Pańko.

Gdy trwała jeszcze kontrola NIK, 7 maja 1991 r. Prokuratura Wojewódzka w Warszawie wszczęła śledztwo, które prowadził nieżyjący już prok. Janusz Kalwas (zmarł w 2011 r.). W sierpniu 1991 r. Grzegorz Żemek i Janina Chim zostali aresztowani, a następnie zwolnieni — Chim jeszcze w trakcie trwania śledztwa w 1992 r., Żemek zaś — w 1993 r., tuż po wpłynięciu aktu oskarżenia do VIII Wydziału Karnego Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, co nastąpiło 19

lutego 1993 r. Oskarżenie objęło Grzegorza Żemka, Janinę Chim, Janusza Sawickiego, Jana Boniuka, Grzegorza Wójtowicza i Krzysztofa Komornickiego. Proces się jednak nie rozpoczął — akt oskarżenia został zwrócony prokuraturze „w celu usunięcia istotnych braków postępowania przygotowawczego”, a sąd zalecił m.in. sporządzenie opinii biegłych.

Ponowne przesłanie aktu oskarżenia w sprawie FOZZ nastąpiło dopiero 16 stycznia 1998 r. i obejmował Grzegorza Żemka, Janinę Chim, Zbigniewa Olawę, Dariusza Przywieczerskiego, Krzysztofa Komornickiego, Janusza Sawickiego oraz Irenę Ebbinghaus. Wśród zarzutów pojawiło się m.in. przywłaszczenie mienia i oszustwo — głównemu oskarżonemu w procesie Grzegorzowi Żemkowi prokuratura zarzuciła zagarnięcie 41,9 mln dolarów, 9,5 mln marek, 125 tys. franków belgijskich oraz 47,5 tys. zł.

Proces w sprawie afery FOZZ rozpoczął się dopiero w roku 2000. Rok później został przerwany, ponieważ prowadząca go sędzia Barbara Piwnik została ministrem sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera. Według nieoficjalnych informacji nominacja ta była związana właśnie z FOZZ — chodziło o przedłużenie przewodu sądowego, a w efekcie — doprowadzenie do przedawnienia sprawy. Ponowny proces — pod przewodnictwem sędziego Andrzeja Kryżego — zaczął się w 2002 r., a wyrok został ogłoszony w marcu 2005 r., tuż przed terminem przedawnienia.

Sąd uznał, że pieniądze przeznaczone dla Funduszu zostały albo przywłaszczone, albo rozdysponowane w sposób niezgodny z prawem. Żemek został skazany na 9 lat i 720 tys. zł grzywny oraz obowiązek naprawienia szkody, Janina Chim — na 6 lat i 500 tys. zł grzywny, Dariusz Przywieczerski — na 3,5 roku. W 2006 r. Sąd Apelacyjny prawomocnym wyrokiem zmniejszył kary. Żemkowi wymierzył 8 lat i 5 tys. zł grzywny; Chim — 5 lat i 5 tys. zł grzywny, a Przywieczerskiemu — 2,5 roku.

Grzegorz Żemek wyszedł na wolność w marcu 2013 r., gdy sąd zgodził się na jego przedterminowe, warunkowe zwolnienie (koniec kary upływał w lipcu 2014 r.). Odbывał wyrok łączny 12 lat więzienia — za aferę FOZZ oraz za kierowanie grupą przestępczą wyłudającą kredyty i wyprowadzenie z zakładów mięsnych w Nisku ok. 400 tys. zł. Zwalniając z więzienia Grzegorza

Żemka, sąd stwierdził, że jego majątek jest zajęty przez komornika, a nie ma on środków, by spłacać zasądzone wielomilionowe należności.

Jeden z głównych oskarżonych w procesie, Dariusz Przywieczerski, okrzyknięty przez media mózgiem całej afery, wyjechał do USA wkrótce po rozpoczęciu śledztwa i został skazany zaocznie. W 2015 r. Przywieczerski na policyjnej „top liście” osób poszukiwanych zajmował szóste miejsce.

Przywieczerski Dariusz. Rodzice: Edmund, Kazimiera. Data urodzenia: 1946-05-08. Miejscowość: Warszawa. Opis: Stołeczna policja poszukuje na podstawie listu gończego wydanego przez Sąd Okręgowy w Warszawie Dariusza Przywieczerskiego. Mężczyzna skazany został w tzw. aferze „FOZZ”.

Poszukiwany ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości i do chwili obecnej nie ustalono jego miejsca pobytu. Zwracamy się z prośbą do osób, które znają jego miejsce pobytu, o kontakt z najbliższą jednostką policji, prokuraturą lub sądem. Jednocześnie informujemy, że ukrywanie poszukiwanego lub pomaganie mu w ucieczce jest przestępstwem i grozi za to kara pozbawienia wolności do 5 lat. Wszelkie informacje, które mogą pomóc w ustaleniu aktualnego miejsca pobytu poszukiwanego, należy kierować do Komendy Stołecznej Policji, Warszawa, ul. Nowolipie 2, pod numer telefonu 022 603-77-20 lub 997 (112 z telefonów komórkowych) — taką treść miał komunikat zamieszczony na policyjnych stronach internetowych.

Michał Falzmann odkrył, że w 1990 r. FOZZ ulokował 1,8 mld zł w BIG Banku (Banku Inicjatyw Gospodarczych SA), którego jednym z założycieli był Dariusz Przywieczerski, jednocześnie szef Universalu. Na dodatek BIG Bank i Universal były swoimi wzajemnymi akcjonariuszami.

Założycielami BIG byli urzędnicy państwowi jeszcze z czasów PRL i politycy ze środowiska postkomunistycznej lewicy: podsekretarz stanu w URM Aleksander Borowicz, doradca premiera Leszka Millera, prezes PZU Anatol Adamski, dyrektor generalny Poczty Polskiej Telegraf i Telefon Andrzej Cichy, prezes Warty Janusz Staniszewski, dyrektor Universalu Dariusz Przywieczerski, dyrektor w NBP Andrzej Olechowski, prezes spółki Interster Stanisław Tołwiński i Wiktor Pitus, prezes firmy Transakcja. 98 proc. udziałów w BIG

wykupiły państwowe firmy, których szefowie byli równocześnie udziałowcami banku: PZU, PPTiT, Universal, Warta, Expolco Holding. Wśród założycieli BIG znalazły się również Fundacja Rozwoju Żeglarstwa, Fundacja Wspierania Inicjatyw Gospodarczych oraz spółki Interster i Transakcja.

Fundację Rozwoju Żeglarstwa założyli w kwietniu 1989 r. m.in. Mieczysław Rakowski, Bogusław Kott i Aleksander Kwaśniewski, który został jej prezesem. Nie wiadomo, dlaczego fundacja korzystająca m.in. z państwowych funduszy inwestowała w akcje nowo powstającego banku. Fundacja Rozwoju Żeglarstwa była również jednym z założycieli Intersteru.

Interster był wtedy spółką, która korzystała z preferencyjnych, wielomiliardowych kredytów przydzielanych przez Urząd Kultury Fizycznej i Sportu. Interster znany był również ze związków z wieloma politykami lewicy. Prezesem drugiej z fundacji zakładających BIG został Mieczysław Wilczek, minister przemysłu w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Wilczek zginął 30 kwietnia 2014 r. Według śledczych popełnił samobójstwo — otworzył okno znajdujące się na wysokim piętrze budynku na Saskiej Kępie i rzucił się z niego na chodnik. Prokuratura odstąpiła od wykonania sekcji zwłok. W późniejszym okresie w działalność władz BIG SA oraz prowadzone przez ten bank interesy zaangażowanych było kilku innych prominentnych działaczy SdRP, a następnie SLD. Jednym z pierwszych nabywców akcji BIG był Jerzy Urban. Spółka Transakcja objęła w nowym banku 10 proc. akcji. Założyły ją instytucje ściśle związane z ówczesną partią komunistyczną (PZPR): KC PZPR, ZSMP, Akademia Nauk Społecznych i RSW Prasa, Książka, „Ruch”. Po KC PZPR udziały w Transakcji przejęła SdRP. W Radzie Nadzorczej Transakcji zasiadali m.in.: Marek Siwiec i Leszek Miller. Po przekształceniu Transakcji w spółkę akcyjną do rady dołączyli: Jerzy Szmajdziński, Wiesław Huszcza (skarbnik SdRP), Piotr Szynalski. Transakcja pomnażała partyjne pieniądze. Była współudziałowcem wielu firm i przedsięwzięć prowadzonych przez SdRP. Kiedy pojawiło się zagrożenie, że majątek po byłej PZPR przejmie Skarb Państwa, Transakcja sprzedała akcje BIG Universalowi za ówczesnych 1,7 mld zł.

W komentarzach dotyczących afery FOZZ często pojawia się sugestia, że prawdziwi beneficjenci afery nie dość, że nigdy nie zostali ukarani, to nawet

nie stanęli przed wymiarem sprawiedliwości. Do dziś nie wiadomo, co stało się ze wszystkimi pieniędzmi pochodzącymi z FOZZ. Według Izabeli Brodackiej-Falzmanna, wdowie po Michale Falzmannie, lista beneficjentów FOZZ-u nie została zamknięta.

„Wiadomo, że partie potrzebowały pieniędzy. Tej listy do końca nie znamy. Wszystko rodzi podejrzenia, że zamiast mitu założycielskiego III RP mieliśmy założycielską zbrodnię” — mówiła Izabela Brodacka-Falzmanna w sierpniu 2011 r. w „Gazecie Polskiej”. Jej zdaniem była wola polityczna, żeby tę sprawę zamknąć, co pokazuje liczba osób skazanych w tej sprawie na niskie wyroki.

„Sama afera FOZZ jest modelowym przykładem, pokazującym, jak można było uzyskać początkowy kapitał, kradnąc go z finansów państwa” — stwierdziła 10 czerwca 2013 r. na antenie radia Wnet Izabela Brodacka-Falzmanna.

Wiadomo, że część pieniędzy została rozdysponowana na pożyczki — pieniądze z FOZZ pożyczył m.in. szef telewizji Polsat Zygmunt Solorz.

„Mój jedyny kontakt z FOZZ polegał na uzyskaniu jednej krótkoterminowej pożyczki z moim zabezpieczeniem, oferowanej na warunkach rynkowych, którą w terminie spłaciłem” — napisał Solorz w oświadczeniu, które zostało opublikowane 15 maja 2003 r. na łamach „Rzeczpospolitej”.

Warto przypomnieć, że latem 1994 r. 20 proc. udziałów w Polsacie miał Universal, którego prezesem był Dariusz Przywieczerski, a dyrektorem generalnym Polsatu został znany z „afery karabinowej” Jerzy Napiórkowski, który w czasie działania Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego był wiceministrem finansów.

Z zeznań Grzegorza Żemka ujawnionych w „Raporcie z weryfikacji WSI” jednoznacznie wynika, że FOZZ był powiązany z Zarządem II Sztabu Generalnego.

Chcę przypomnieć, że w końcu 1988 r. z konta W.K. Nebeling, tj. zaszyfrowanego konta wojskowego w banku International w Luksemburgu (BIL), dokonywano wypłat na konto pana Weinfelda [Josepha], oznaczone Group Weinfeld, nie pamiętam w tej chwili w jakim banku. Mnie zlecono, żebym takie wpłaty przekazywał jako dysponent

konta. Wiem, że kwoty przekazywane we frankach belgijskich Weinfeld zamieniał na dolary i przekazywał do Attaszatu Wojskowego w Brukseli. Będąc już dyrektorem FOZZ, też dokonywałem takich operacji, a nawet osobiście zamieniałem pieniądze i zanosilem do Attaszatu Wojskowego przy Ambasadzie Polskiej w Brukseli. Attache był Wojciech Myszak — czytamy w zeznaniach Grzegorza Żemka złożonych przed Sądem Okręgowym w Warszawie w procesie FOZZ.

Michał Falzmann Człowiek, który wykrył FOZZ

Gdy trwała jeszcze kontrola NIK w sprawie FOZZ, 14 czerwca 1991 r. w biurze premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego odbyła się narada informująca o ustaleniach Michała Falzmanna, który do NIK przeszedł z Izby Skarbowej, gdzie natrafił na pierwsze ślady afery FOZZ. W naradzie brali udział Walerian Pańko, Stanisław Rączkowski, Anatol Lawina, Michał Falzmann, Jerzy Zbiegniewski, Leszek Balcerowicz oraz Janusz Sawicki. Na spotkaniu został zaprezentowany raport kontrolny Michała Falzmanna na temat FOZZ oraz Banku Handlowego. Kontrola NIK zakończyła się 25 czerwca 1991 r. podpisaniem protokołu kontrolnego przez zarząd FOZZ. Protokół wskazywał na liczne nadużycia oraz utajniony sposób prowadzenia działalności, polegający na wydawaniu poleceń ustnych i unikaniu dokumentacji zleczanych transakcji. Protokół opisywał liczne nieprawidłowości w obracaniu przez FOZZ sumą 980 milionów PLN przekazanych przez Ministerstwo Finansów, jako dotacja na wykup długów. Jako osoby odpowiedzialne za nadużycia w raporcie wymieniono dyrekcję oraz Radę Nadzorczą FOZZ, wiceministrów finansów Wojciecha Misiąga i Janusza Sawickiego oraz ministra finansów Leszka Balcerowicza. W tym samym dniu Michał Falzmann został zawieszony w czynnościach służbowych przez swojego przełożonego Anatola Lawinę z powodu „przekazania dokumentów z kontroli FOZZ osobom nieupoważnionym”.

Jedyną zrealizowaną decyzją personalną jest całkowicie odsunięcie od spraw i zawieszenie w czynnościach służbowych głównego specjalisty w Najwyższej Izbie

Kontroli Michała Falzmana, kierującego kontrolą w Ministerstwie Finansów i FOZZ. Formalnej podstawy takiej decyzji dostarczyła podobno „informacja” zawarta w artykule w „Gazecie Robotniczej”, wychodzącej we Wrocławiu (nr 24 z 14.06.91). Na jej łamach W. [Waldemar] Koczewski stwierdził, że inspektor NIK miał przekazać dokumentację urzędnikowi Centralnego Urzędu Planowania, a ten z kolei przekazał ją naszemu tygodnikowi. Te nieprawdziwe informacje wystarczyły do wydania szybkiej i — jak na razie — jedynej decyzji personalnej w tej sprawie. Upřednio, jak wiemy, w Ministerstwie Finansów prowadzono energiczne poszukiwania winnego „przecieku”. Ujawnienie afer spowodowało więc poszukiwania winnego niedyskrecji, a nie — choćby — zawieszenie w obowiązkach winnych krycia aferzystów — jeśli już nie zatrzymanie samych aferzystów — pisał 10 lipca 1991 r. w „Spotkaniach” Andrzej Krasnowolski w artykule *FOZZ — pierwsze efekty*.

Według nieoficjalnych informacji faktycznym powodem zawieszenia w czynnościach służbowych Michała Falzmana była jego wiedza, którą zdobył, pracując w NIK, Izbie Skarbowej, a wcześniej w Agrotechnice, skąd się zwolnił, nie przyjmując należnego mu wynagrodzenia. To właśnie o tej spółce prof. Jadwiga Staniszkis w książce *Postkomunizm. Próba opisu* napisała, że była to pierwsza duża spółka nomenklaturowa w naszym kraju. „Znaleźli się w niej ludzie nie tylko związani z ówczesnym systemem partyjnym, ale także młodzi działacze ludowi” — mówiła w 2007 r. „Wprost” prof. Staniszkis.

Z akt rejestrowych wynika, że wśród osób, które doprowadziły do powstania spółki, byli m.in. Krzysztof Baszniak (minister pracy w rządzie Waldemara Pawlaka) i Andrzej Śmietanko (szef resortu rolnictwa w tym samym rządzie). W Agrotechnice znaleźli się też ludzie związani z PZPR i służbami specjalnymi PRL. To właśnie oni mieli decydujący wpływ na działalność spółki, która dzięki koneksjom w polityce i służbach specjalnych uzyskała gigantyczne kredyty. Jak grzyby po deszczu powstawały spółki-córki Agrotechniki, których sieć pokryła całą Polskę. Wkrótce Agrotechnika zaczęła sprowadzać do Polski sprzęt komputerowy, sprzedawany później m.in. do Związku Sowieckiego. Dyrektorem Agrotechniki został młody działacz młodzieżówki ZSL Zenon Daniłowski. W lipcu 1983 r. dotowany przez państwo Związek Młodzieży

Wiejskiej otrzymał od rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego zezwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej. Trzy miesiące później ZMW, będący przybudówką Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, założył spółkę o nazwie Zespoły Usługowo-Wytwórcze „Agrotechnika”, w której miał 99 proc. udziałów. Spółka zajmowała się m.in. sprowadzaniem do Polski sprzętu komputerowego. Gdy Michał Falzmann zorientował się w politycznych koneksjach szefów Agrotechniki, odszedł ze spółki.

Michał Falzmann jako kontroler Izby Skarbowej, a później NIK zajmował się m.in. badaniem transakcji i finansów przedsiębiorstw państwowych. Kontrolował m.in. Universal oraz Bank Handlowy. Według niego Bank Handlowy znajdował się na skraju bankructwa, mimo że od połowy lat 60. był monopolistą w obsłudze transakcji polskiego handlu zagranicznego. To właśnie za pośrednictwem BH była prowadzona większość operacji walutowych FOZZ. Jak ustalił Falzmann, FOZZ został obciążony przez BH z tytułu zadłużenia kwotą 3,578 mld zł!

Podczas kontroli NIK przeprowadzonej w Banku Handlowym w latach 1991—1992 zostały ujawnione liczne nieprawidłowości — wykazano m.in., że w okresie kontroli bank prowadził działalność dewizową na szkodę polskiej gospodarki, i oszacowano straty w ciągu tych dwóch lat na 5—10 mld dolarów. W tym czasie jego prezesem był Cezary Stypułkowski, który zastąpił na tym stanowisku Tadeusza Barłowskiego. Szefem Rady Nadzorczej BH był wówczas Andrzej Olechowski (zastąpił Janusza Sawickiego), będąc jednocześnie wiceministrem współpracy gospodarczej z zagranicą. Olechowski, według materiałów IPN, współpracował z komunistyczną bezpieką — został zarejestrowany przez Departament I (wywiad cywilny) jako kontakt operacyjny „Must”, a jego oficerem prowadzącym był Gromosław Czempiński. Obydwaj spotkali się w latach 80. w Genewie — Olechowski był pracownikiem Banku Światowego, zaś Czempiński pracował pod przykryciem jako I sekretarz Stałego Przedstawicielstwa PRL przy Biurze ONZ w Genewie.

W czasie gdy wybuchła afera FOZZ, Gromosław Czempiński był w Urzędzie Ochrony Państwa, a to właśnie UOP wykonywał czynności śledcze na zlecenie prokuratury w sprawie FOZZ. Jednym z funkcjonariuszy, którzy pracowali przy

tej sprawie, był mjr Adam Dębiec, ten sam, który będąc w Biurze Śledczym MSW, uczestniczył w śledztwie w sprawie zabójstwa bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W latach 80. Dębiec zwalczał opozycję, w której również działał Michał Falzmann — był związany z Solidarnością Walczącą.

Michał Falzmann, prowadząc czynności kontrolne w sprawie FOZZ, mówił znajomym, że może nie przeżyć tej sprawy, że czuje na plecach oddech służb specjalnych, które są bardzo mocno uwikłane w aferę.

Kornel Morawiecki, szef Solidarności Walczącej, w rozmowie przeprowadzonej przed wydaniem niniejszej książki opowiedział mi o spotkaniu z Michałem Falzmannem tuż przed jego śmiercią.

Do spotkania doszło 16 lipca 1991 r. w mieszkaniu państwa Falzmannów przy ul. Poznańskiej w Warszawie. Razem z Kornelem Morawieckim była jego koleżanka Hanna Łukowska. Falzmann był bardzo zdenerwowany — tego dnia został zawieszony w wykonywaniu obowiązków służbowych przez prezesa NIK Waleriana Pańkę. Powodem zawieszenia kontrolera była jego dociekliwość — chciał dogłębnego wyjaśnienia afery FOZZ. W tym celu skierował do Narodowego Banku Polskiego pismo, w którym — jako pracownik NIK — wystąpił o udostępnienie informacji objętych tajemnicą bankową o obrotach i stanach środków pieniężnych (gotówkowych i bezgotówkowych) Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Odpowiedzią na jego działanie była właśnie decyzja prezesa Pańki o zawieszeniu w czynnościach dociekliwego kontrolera.

Michał Falzmann obawiał się wyciszenia afery FOZZ, o czym mówił podczas spotkania z Kornelem Morawieckim. Jak relacjonował szef Solidarności Walczącej, z mieszkania na ul. Poznańskiej pojechali we troje: on, Michał Falzmann i Hanna Łukowska, do wspólnej znajomej Bożeny Krawczyk, która mieszkała na warszawskiej Woli. Tam Michał Falzmann poczuł się bardzo źle — poprosił o przewiezienie go na pogotowie ratunkowe na ul. Hożą, gdzie pracowała lecząca go lekarka. Kornel Morawiecki, który prowadził samochód, wspomina, że jechali czerwoną skodą octawią, co chwila trąbiąc, by inne samochody ustąpiły im miejsca i by jak najszybciej dotrzeć na pogotowie. Było bardzo gorąco, a Michał Falzmann czuł się coraz gorzej — bolało go serce i miał ataki duszności. Mimo to mówił o szczegółach afery FOZZ, wymieniał, do

kogo płynęły pieniądze w nielegalnych transakcjach. Gdy wreszcie dotarli na pogotowie, Morawiecki powiedział lekarzowi, że ma wyjątkowego pacjenta i że bardzo prosi o szczególną opiekę nad nim. Po udzieleniu pierwszej pomocy Michał Falzmann trafił na oddział szpitalny — dzień później ponownie odwiedził go Kornel Morawiecki. Jak stwierdził szef Solidarności Walczącej, Michał Falzmann czuł się o wiele lepiej i wydawało się, że najgorsze już za nim i że wróci do zdrowia. Dlatego gdy następnego dnia Morawiecki dowiedział się o śmierci Falzmanna, był kompletnie zaskoczony i nie mógł w nią uwierzyć. Jako oficjalną przyczynę zgonu podano zawał serca.

Być może popełniłam błąd, namawiana przez ordynatora na pogotowiu ratunkowym, zgadzając się, by odstąpić od sekcji zwłok po śmierci męża. Tłumaczę sobie, że byłam w szoku. Jestem przyrodnikiem, więc nie spekuluję. Zawał — to możliwe, bo mąż był w takim niebezpiecznym wieku, a poza tym żył pod ogromną presją i w prawdziwej huśtawce nastrojów — mówiła w 2011 r. Izabela Brodacka-Falzmann.

Był człowiekiem niezwykle konkretnym. Profesjonalistą. Odkrył fakty, które zupełnie się ze sobą nie zgadzały, i postanowił to do końca wyjaśnić. Mogłabym porównać go do rasowego dziennikarza śledczego, który idzie jakimś tropem. Niestety, wszyscy chcieli go spławić. Nie dziwię się, że zrobił tak Balcerowicz czy Rosati, który był w Radzie Nadzorczej FOZZ, a dziś bryluje na salonach. Ale spławiali go również ludzie z „naszej strony”. Potem, gdy Jerzy Zalewski kręcił film *Oszołom*, wszyscy uprzejmiem dali głos na temat mojego męża. Szkoda, że nie byli tacy mili i pomocni za jego życia. Niestety, ja to rozumiem, cała sprawa była jak otwarta rana III RP. Nikt nie lubi się tym zajmować. Śmierć męża do dziś pozostała niewyjaśniona, ale być może to był zawał. Nie mogę tego wykluczyć. Po śmierci męża prokuratura chciała nawet na swój koszt założyć kraty w oknach, ale powiedziałam, że wyroku nie mam, to nie będę sobie robić więzienia w domu — stwierdziła żona Michała Falzmanna na łamach „Gazety Polskiej”.

Po śmierci Falzmanna do jego mieszkania przyjechał Anatol Lawina, żądając wydania wszystkich notatek i materiałów, jednak Izabela Brodacka-

Falzmann odmówiła. Później zaczęły się głuche telefony i wywieranie presji; „nieznani sprawcy” liczyli, że wdowa po Falzmannie, która po śmierci męża została sama z pięciorgiem dzieci, nie będzie już chciała mieć nic wspólnego z działalnością męża.

To prawda, że było sporo różnych dziwnych faktów. Ale dla zdrowia psychicznego starałam się je racjonalnie tłumaczyć. Oczywiście, nie zawsze się dało. Kiedyś po włamaniu wszystkie dokumenty leżały pośrodku pokoju. Przez następne pół roku miałam co sprzątać. Po czym ogłosiłam wszędzie zgodnie z prawdą, że oddałam wszystko do NIK. I włamania się skończyły — stwierdziła Izabela Brodacka-Falzmann w „GP”.

Marcin Dybowski Ofiara „nieznanych sprawców”

Cykl „dziwnych zdarzeń” dotykał niemal każdego, kto ujawniał kolejne szczegóły afery. Kiedy w grudniu 1991 r. Marcin Dybowski jechał ze swoim znajomym Lechem Horoszko samochodem marki Tarpan, zatrzymał go w Warszawie na Wisłostradzie patrol policyjny. Został wówczas pobity przez funkcjonariuszy, a z jego samochodu zginęły dokumenty o aferze.

Interpelację poselską w tej sprawie napisał Józef Orzeł, ówczesny poseł Porozumienia Centrum, a odpowiedzi na nią udzielił Antoni Macierewicz, minister spraw wewnętrznych w rządzie Jana Olszewskiego.

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Z upoważnienia prezesa Rady Ministrów i w porozumieniu z ministrem sprawiedliwości chciałbym ustosunkować się do interpelacji pana posła Orła oraz grupy posłów z Porozumienia Centrum i Konfederacji Polski Niepodległej w sprawie zatrzymania 17 grudnia 1991 r. w Warszawie przez policję panów Marcina Dybowskiego i Lecha Horoszko.

W sprawie tej, Wysoka Izbo, toczą się niezależnie od siebie dwa postępowania. Są one prowadzone przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i organa policji oraz przez prokuratora rejonowego dla dzielnicy Warszawa-Śródmieście. W toku

postępowania prowadzonego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz przez organa policji zostały przeprowadzone rozmowy z policjantami uczestniczącymi w zatrzymaniu samochodu marki Tarpan, którym jechali panowie Marcin Dybowski i Lech Horoszko, w zatrzymaniu ich w areszcie i wreszcie w odholowaniu samochodu na parking strzeżony i zabezpieczeniu go przed włamaniem. Przeprowadzono też rozmowy z policjantami pełniącymi w dniu zatrzymania, tzn. 17 grudnia 1991 r., służbę w Komendzie Rejonowej Policji Warszawa-Śródmieście i w Komendzie Stołecznej Policji.

W czasie tego postępowania stwierdzono, że, po pierwsze, interweniujący policjanci zastosowali środki przymusu bezpośredniego niewspółmierne do zaistniałej sytuacji, celem wymuszenia na zatrzymanych podporządkowania się wydawanym przez siebie poleceniom. Sam przebieg zdarzeń w trakcie zatrzymywania pojazdu nie jest ciągle jeszcze do końca jasny, co wynika z ciągle sprzecznych wyjaśnień, jakie składają obie strony.

Po drugie, decyzja o osadzeniu w areszcie panów Marcina Dybowskiego i Lecha Horoszko w żaden sposób nie była uzasadniona zaistniałą sytuacją. Personalia obu zatrzymanych były znane i nie zachodziło uzasadnione przypuszczenie, że popełnili oni przestępstwo i zamierzają ukryć się lub zatrzeć ślady tego przestępstwa.

Po trzecie, interweniujący policjanci nie znali treści pisma komendanta głównego policji w sprawie postępowania przy odholowywaniu samochodów na parking strzeżony. Mowa w nim o konieczności sporządzenia w obecności świadka lub innej osoby notatki urzędowej zawierającej opis stanu pojazdu, wyposażenia, przedmiotów znajdujących się w nim oraz stanu zabezpieczenia przed dostaniem się do niego osób trzecich, jak również o konieczności potwierdzenia własnoręcznym podpisem przez osoby uczestniczące przy sporządzaniu notatki zgodności jej treści ze stanem faktycznym.

Po czwarte, samochód zatrzymanych nie został zabezpieczony w czasie jego postoju poza podwórką Komendy Rejonowej Policji Warszawa-Śródmieście.

W związku z tymi nieprawidłowościami w zabezpieczeniu samochodu, którym jechali obaj zatrzymani, nie udało się jednoznacznie stwierdzić, czy w samochodzie tym istotnie znajdowały się dokumenty dotyczące sprawy Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego oraz pieniądze w kwocie 50 mln zł. Oznacza to, iż w

wypadku niekorzystnego dla policjantów orzeczenia sądu suma ta będzie musiała być wypłacona poszkodowanym.

W wyniku stwierdzonych nieprawidłowości komendant stołeczny policji zobowiązał kierowników jednostek organizacyjnych Komendy Stołecznej Policji do stałego wnikliwego badania zasadności osadzania w areszcie zatrzymywanych osób, zwracając uwagę, że zgodnie z art. 205 i następnymi Kodeksu postępowania karnego podstawą zatrzymania osoby i jej osadzenia w areszcie policyjnym jest uzasadnione przypuszczenie, że popełniła ona przestępstwo i istnieje uzasadniona obawa, że osoba ta ukryje się lub zatrze ślady przestępstwa. Podstawą osadzenia w areszcie policyjnym może być także konieczność ustalenia tożsamości zatrzymanego.

Muszę stwierdzić jednoznacznie, że żadna z tych okoliczności nie zachodziła w wypadku panów Marcina Dybowskiego i Lecha Horoszko. Dochodzenie ze skargi wymienionych panów prowadzi prokurator rejonowy dla dzielnicy Warszawa-Śródmieście i nie zostało ono dotychczas zakończone.

Informuję także Wysoką Izbę, iż w związku ze stwierdzonymi nieprawidłowościami zostało ukaranych dyscyplinarnie dwóch policjantów. Jeden z nich za niepodjęcie wszystkich możliwych i koniecznych czynności w zakresie sprawdzenia otrzymanej informacji i zabezpieczenia mienia znajdującego się w samochodzie panów Marcina Dybowskiego i Lecha Horoszko, drugi natomiast za niezareagowanie na fakt zaparkowania powyższego samochodu poza obrębem podwórka Komendy Rejonowej Policji Warszawa-Śródmieście oraz niespowodowanie sprawdzenia zawartości samochodu przed jego skierowaniem na parking strzeżony.

Wszczęte zostało przez komendanta stołecznego policji postępowanie dyscyplinarne przeciwko dwóm policjantom, którzy w czasie zatrzymania panów Marcina Dybowskiego i Lecha Horoszko użyli środków przymusu bezpośredniego — mówił w Sejmie 23 stycznia 1992 r. minister Macierewicz.

Wyjaśnienie tej sprawy uniemożliwiło odwołanie rządu Jana Olszewskiego w nocy 4 czerwca 1992 — zablokowano wtedy lustrację, a służby specjalne i aferzyści odetchnęli, bo mogli już spać spokojnie.

Kolejne ataki na Marcina Dybowskiego nastąpiły kilka miesięcy później: był systematycznie napadany, został poparzony, poturbowany, a jego samochód

spłonął. Wydarzenie to miało miejsce latem 1992 r. Wtedy to lokalne radio podało, że koło wsi Roszki-Wodźki spłonął samochód Tarpan (chłodnia). Prowadził go Marcin Dybowski, szef i twórca wydawnictwa konserwatywnego Antyk, a za nim innym autem jechał Lech Horoszko. Wyjechali nocą z Warszawy do Białegostoku — wieźli ze sobą książki, m.in. na temat afery FOZZ pt. *Via Bank i FOZZ o rabunku finansów Polski* autorstwa Mirosława Dakowskiego i Jerzego Przystawy. Na trasie zaplanowane było spotkanie z informatorem, który miał im przekazać nowe informacje w sprawie afery FOZZ. Około godziny 2 w nocy zatrzymali się w Sokołach na odpoczynek. Po pewnym czasie ruszyli w dalszą drogę. Obok wsi Wodźki, przed mostkiem, Dybowski zauważył jakichś ludzi, a na drodze rozłożone kolce. Aby ominąć przeszkodę i napastnika celującego do niego z pistoletu, Dybowski wykonał skręt, ale samochód zjechał z szosy i stoczył się do głębokiego rowu. W momencie wychodzenia z dołu Dybowski został zaatakowany miotaczem ognia. Odruchowo zasłonił ręką twarz, mimo to został poparzony. Dybowski zaczął uciekać i wskoczył do nadjeżdżającego z tyłu samochodu Horoszki — odjeżdżając, widzieli płonący samochód szefa wydawnictwa Antyk. Obydwaj przedostali się na posterunek MO w Łapach. Złożyli obszernie zeznanie i na tym sprawa się zakończyła.

Żadne z tych zdarzeń nie zostało nigdy wyjaśnione i można się jedynie domyślać, że zlecniodawcy zamachów na Marcina Dybowskiego byli zaangażowani w aferę FOZZ i zależało im na ukryciu prawdy.

Walerian Pańko Prezes w czasie FOZZ

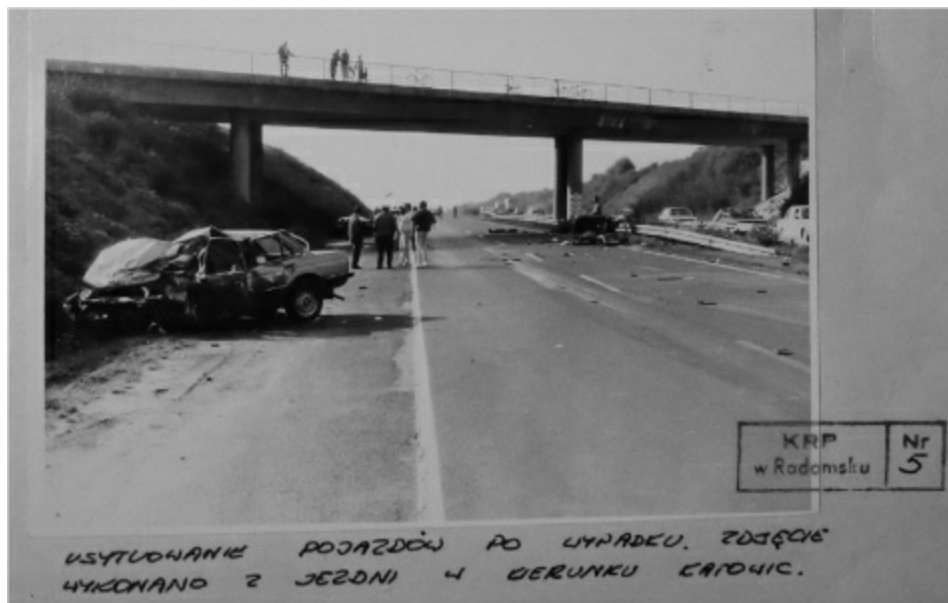
7 października 1991 r. o godzinie 5.40 funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu Jan Budziński po sprawdzeniu stanu technicznego służbowego samochodu marki Lancia Thema wyjechał z siedziby BOR, mieszczącej się przy ul. Podchorążych 38 w Warszawie, na położoną w niedalekiej odległości ul. Wiktorską. Tam do auta wsiadł prof. Walerian Pańko, prezes Najwyższej Izby Kontroli, z którym Budziński jako kierowca BOR jeździł od końca maja 1991 r., niedługo po tym jak Pańko został wybrany przez Sejm na prezesa NIK. Razem z Walerianem

Pańką do samochodu wsiadła jego żona Urszula i wszyscy pojechali na Ursynów po dyrektora Biura Informacji Kancelarii Sejmu Janusza Zaporoskiego. Kierowca poprosił, żeby wszyscy zapięli pasy, i ruszył trasą szybkiego ruchu w kierunku Katowic, gdzie na Uniwersytecie Śląskim Pańko miał mieć wykład. Obok Jana Budzińskiego siedziała żona prezesa NIK Urszula, natomiast Walerian Pańko z Januszem Zaporoskim byli z tyłu samochodu. Pogoda była słoneczna, jezdnia sucha, a na drodze było mało samochodów. Około godziny 7.40 w miejscowości Słostowice, gmina Kamieńsk, Jan Budziński, jadąc z prędkością około 130 kilometrów na godzinę, zobaczył jadącą tuż przed nim ciężarówkę Star. By uniknąć najechania na przyczepę stara, kierowca BOR zrobił gwałtowny skręt kierownicą w lewo — samochód przejechał przez pas zieleni na przeciwległy pas ruchu i zderzył się z nadjeżdżającym z naprzeciwka na krakowskich numerach rejestracyjnych bmw, którym jechało dwóch młodych mężczyzn. Pod wpływem uderzenia służbowa lancia rozpadła się niemal na dwie części; w wypadku śmierć ponieśli Walerian Pańko, Janusz Zaporowski i pasażer bmw Zbigniew Witkowski. Kierowca bmw Robert Pająk został ciężko ranny — miał m.in. złamane nogi i wstrząs pourazowy. Kierowca służbowej lancii Jan Budziński oraz żona prezesa NIK Urszula Pańko odnieśli lekkie obrażenia.

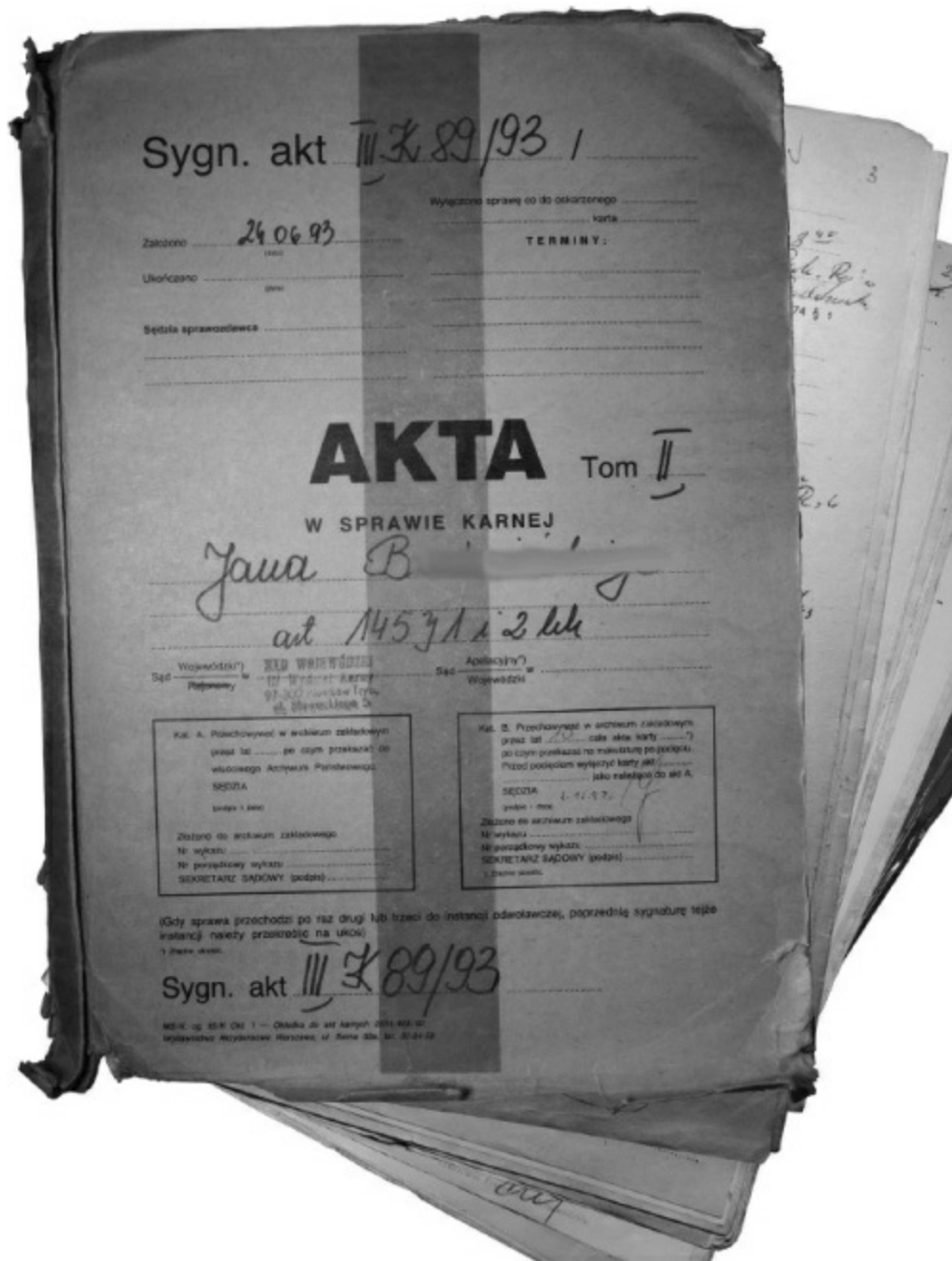
Na miejsce wypadku przyjechali prokuratorzy, funkcjonariusze Wydziału Kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej Policji w Piotrkowie Trybunalskim i ekspert Centralnego Laboratorium Komendy Głównej Policji w Warszawie podinsp. Janusz Gryglewski.



Samochód Lancia Thema po wypadku, w którym zginął Walerian Pańko



Policyjne zdjęcie zrobione tuż po wypadku, w którym zginął Walerian Pańko



Akta procesu kierowcy Waleriana Pańko - Jana Budzińskiego oskarżonego o spowodowanie wypadku



Tygodnik „Spotkania” pierwszy ujawnił aferę FOZZ



KTO ZAROBIŁ NA POLSKICH DŁUGACH?

Skrajny bałagan w ewidencji zadłużenia i jego spłat sprawiał, że na polskich długach można było zarobić. Na razie wiadomo, że interes zrobili zagraniczni pośrednicy. Kto, konkretnie, był ich współnikiem w kraju?

Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, zajmujący się – jak się okazało w sposób dyletancki – całościową obsługą polskich zobowiązań płatniczych, został postawiony w stan likwidacji z dniem 1 stycznia 1991 roku, na mocy ustawy z 14 grudnia 1990. Likwidatorem został mianowany dyrektor Departamentu Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Finansów, Jerzy J. Dzierżyński, uprzednio kontroler finansów FOZZ. Przeprowadzona przy okazji likwidacji kontrola odsłoniła wręcz **nieprawdopodobny stan Funduszu i sposobu jego funkcjonowania.**

Ze zdobytych przez redakcję „Spotkań” sprawozdań likwidatora i jego korespondencji z wiceministrem finansów Januszem Sawickim wynika, że podczas ostatnich dwóch lat znaczna część swej aktywności FOZZ poświęcił **nielegalnej akcji cichego wykupu polskiego zadłużenia na rynkach światowych.** Operacja ta, przygotowana w ostatnich miesiącach rządów komunistów przez ekipę premiera Rakowskiego, rozpoczęła się w lipcu 1989 roku, tuż po wyborach parlamentarnych (według jednego z dokumentów miała rozpocząć się już w kwietniu 1989, czyli bezpośrednio po podpisaniu umów Okrągłego Stołu). Przerwanie akcji zarządziła Rada Nadzorcza FOZZ w lipcu

1990. Przewodniczącym Rady był dyrektor generalny Ministerstwa Finansów, Zygmunt Gzyra. Decyzja rezygnacji z operacji, określanych w dokumentacji jako „niekonwencjonalne”, nie oznaczała ich zaprzestania – jeszcze w styczniu 1991 roku na mocy wcześniejszych porozumień nabyto kolejne partie polskiego zadłużenia. Ponieważ kapitał zaangażowany w operację nie został jeszcze wyciągnięty z zagranicy, możliwe jest zawarcie kolejnych transakcji.

Cichym wykupem objęte były polskie długi wobec banków komercyjnych, zgromadzonych w Klubie Londyńskim (wynoszą one obecnie około 12 mld dolarów). Skupowania długów na wolnym rynku przez dłużnika zabraniają nie tylko przepisy prawa międzynarodowego; również podpisane przez Polskę dwustronne umowy wykluczają podejmowanie takich działań. Należy tu jednak zaznaczyć, że operacje tego typu są niejednokrotnie podejmowane i istnieją na Zachodzie firmy specjalizujące się w świadczeniu takich usług krajom dłużniczym.

Ze względu na całkowicie nielegalny charakter wykupu **stworzono system pośredników mających całkowicie utójnić tożsamość prawdziwego nabywcy.**

W 1989 roku jeden dolar polskiego długu kosztował od 17,5 do 39 centów. Pośre-

dnicy wykupywali go średnio za 32–33 centy. Tajność operacji sprawia, że nie ma dokumentacji potwierdzającej, ile rzeczywiście pośrednicy płacili za dług i z kim dzielili się ewentualnym zyskiem (różnicą między sumami, jakie im przekazano na wykupienie długów po 32–33 centy za dolara, a sumami, za jakie rzeczywiście je wykupili). Ponadto kontrola wykazuje, że nikt nie widział weksli (istnieją wyłącznie informacje o cesjach), a zatem Polska jest nadal oficjalnie dłużna to, co za państwowe pieniądze wykupiono.

„Koordynatorem” wykupu w Europie był F. Toruńczyk w Szwajcarii, na którego konta kierowano dewizy od różnych podmiotów krajowych. Sumy te nie były całościowo księgowane przez FOZZ i na razie mogą być oszacowane wyłącznie na podstawie jednostronnej deklaracji F. Toruńczyka na 174,5 miliona dolarów. Pomimo formalnego zatrzymania akcji wykupu w lipcu 1990 roku, do maja 1991 nie dokonał on rozliczenia z otrzymanych sum, a ze strony polskiej nie zweryfikowano sum przesłanych na jego konta. „Koordynator” przekazywał pieniądze dalej, głównie do USA, gdzie wiele firm również zajmowało się nabywaniem polskich długów na wolnym rynku. Brak oczywiście pełnych danych tej akcji – według jednych skupiono do 30 czerwca 1990

325

NAJWYŻSZA IZBA KONTROLI
Zespół Analiz Systemowych

Informacja

o wynikach kontroli na temat
działalności Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego
w latach 1989-1990



Inf. 325

Warszawa

wrzesień

1991 r.

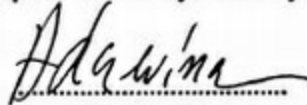
336: Inf.

Pierwsza strona raportu NIK z 1993 r. na temat afery FOZZ

W związku z powyższym stwierdza się niezbędność przeprowadzenia kontroli legalności działań i kontroli skarbowej w podmiotach krajowych, które miały związek z działalnością Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego.

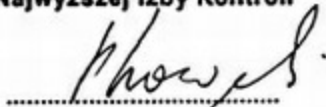
Szczególnie ważna i pilna jest weryfikacja całego zadłużenia zagranicznego Skarbu Państwa, która by ustaliła, czy wszystkie zobowiązania i umowy zawierane przez Bank Handlowy w imieniu Skarbu Państwa były zawierane zgodnie z obowiązującymi przepisami oraz przez uprawnione do tego podmioty. Ponadto należy zbadać prawidłowość systemu obsługi i zarządzania zadłużeniem zagranicznym Skarbu Państwa.

Dyrektor
Zespołu Analiz Systemowych



Anatol Lawina

Akceptuję:
Wiceprezes
Najwyższej Izby Kontroll



Piotr Kownacki

Zatwierdzam:
Prezes
Najwyższej Izby Kontroll



Waleśjan Pańko



Inf. 325

Ostatnia strona raportu NIK z 1993 r. na temat afery FOZZ z podpisami osób nadzorujących kontrolę

W dniu 7.10 1991 r. o godz. 12.15 zgodnie z otrzymanym poleceniem przybyłem na

miejsce wypadku drogowego, który nastąpił ok. 7.30. (...) Do tego czasu miejsce wypadku było zabezpieczone, samochody uczestniczące w zdarzeniu znajdowały się w niezmienionym położeniu. (...) Wykonane zostały protokoły oględzin miejsca zdarzenia i pojazdów, zdjęcia śladów oraz rejestracja sytuacji powypadkowej kamerą video. Badanie samochodu Lancia nie wykazały usterek w układzie hamulcowym i kierowniczym. (...) Wstępna analiza uszkodzeń pojazdów oraz długość śladów kół na jezdni (około 100 m) wskazuje, że prędkość samochodu Lancia bezpośrednio przed wypadkiem znacznie przekraczała 100 km/godz. Ślady na jezdni świadczą, że samochód Lancia (...) utracił skuteczność kierunkową i zaczął się przemieszczać ruchem niekontrolowanym. Na odcinku łącznie około 100 m najprawdopodobniej wykonał prawie pełen obrót i znalazł się na jezdni dla przeciwnego kierunku ruchu zwrócony skośnie lewym bokiem do nadjeżdżającego samochodu BMW. Samochód ten uderzył lewym skrajem przodu w lewe tylne drzwi, błotnik i koło, w wyniku czego nastąpiło poprzeczne rozerwanie samochodu Lancia i wypadnięcie pasażerów z tylnego siedzenia na jezdnię. Przednia część samochodu do słupków środkowych nie została uszkodzona. Oględziny rozdzielonych zgrzewanych połączeń blach samochodu nie wskazują na ich nieprawidłowe wykonanie. Brak śladów w tylnej części samochodu Lancia wyklucza wersję podawaną przez kierującego, że powodem utraty panowania nad samochodem było potrącenie przez inny pojazd — czytamy w notatce służbowej podinsp. Gryglewskiego.

Na miejscu wypadku pojawili się dziennikarze, którzy podawali w wątpliwość informacje policji i prokuratury, że był to zwykły wypadek.

Zdecydowanie odrzuciliśmy wersję zamachu na życie prezesa, np. wybuchu bomby w samochodzie. Natomiast nie możemy dziś wykluczyć pewnego zawinienia kierowcy — mówił kilka dni po wypadku prok. Wojciech Długosz, szef Prokuratury Wojewódzkiej w Piotrkowie Trybunalskim.

To między innymi było powodem sporządzenia w trakcie śledztwa kilku specjalistycznych ekspertyz, przeprowadzonych też przez Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Komendy Głównej Policji oraz Instytut

Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna w Krakowie.

Ustalenia biegłych stały się podstawą do przedstawienia 2 grudnia 1991 r. zarzutów Janowi Budzińskiemu, a następnie aktu oskarżenia. 28 lutego 1992 r. prok. Małgorzata Ronc, kierownik działu śledczego Prokuratury Wojewódzkiej w Piotrkowie Trybunalskim, skierowała do Sądu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim akt oskarżenia przeciwko Janowi Budzińskiemu.

Zdaniem śledczych — jak czytamy w akcie oskarżenia — nieumyślnie naruszył on zasady w ruchu drogowym, nie obserwował należycie drogi, na skutek czego doprowadził do zderzenia z samochodem BMW.

W trakcie śledztwa i po skierowaniu do sądu aktu oskarżenia media sugerowały, że wypadek został zaplanowany, a w samochodzie eksplodował ładunek wybuchowy.

W trakcie opracowania opinii przez biegłych z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie ustanowił się obrońcą podejrzanego Jana Budzińskiego adw. Andrzej Lewandowski, który poinformował, iż jedna z toreb turystycznych prof. Waleriana Pańko, znajdująca się w bagażniku samochodu Lancia, ma wypalony i osmolony otwór, co zostało stwierdzone przez rodzinę denata w kilka tygodni po wypadku. W oparciu o tę informację zabezpieczono u Urszuli Pańko przedmiotową torbę i przekazano ją do badań Instytutowi w Krakowie. Biegli w swojej opinii w tym zakresie stwierdzili: „Badania przesłanej do Instytutu torby wykazały brak możliwości rozstrzygnięcia, czy torba miała opisany przez adw. Andrzeja Lewandowskiego wypalony i osmolony otwór. Wygląd i charakter uszkodzeń znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie wszytej łąty oraz na boku torby dowodzą, że mogły one powstać wskutek bardzo intensywnego tarcia, działającego od strony zewnętrznej torby, a nie na skutek działania otwartego płomienia. Ujawnione na torbie turystycznej uszkodzenia są spotykane w wypadkach komunikacyjnych — czytamy w akcie oskarżenia.

Akt oskarżenia, który trafił do piotrkowskiego sądu, został przekazany do Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego z uwagi na to, że w momencie wypadku Jan Budziński pełnił zawodową służbę wojskową w Jednostce

Wojskowej 1004, czyli w Biurze Ochrony Rządu (od 1 sierpnia 1990 r. BOR zostało przeformowane w Jednostkę Wojskową nr 1004). Jego funkcjonariusze otrzymali status żołnierzy, chociaż nadal pełnili służbę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jak wynika z dokumentów dotyczących wypadku Waleriana Pańki, 15 grudnia 1992 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego zwrócił sprawę Prokuraturze Warszawskiego Okręgu Wojskowego w celu „uzupełnienia materiałów postępowania przygotowawczego poprzez poszukiwanie nowych dowodów wskazanych m.in. w pisemnym wniosku obrońcy J. Budzińskiego — adw. Andrzeja Lewandowskiego” — czytamy w aktach sprawy.

W związku z pismem adwokata 23 lutego 1993 r. kpt. Bogdan Włodarczyk, wojskowy prokurator z Prokuratury WOW, przesłuchał Urszulę Pańko na okoliczność uszkodzonej w wypadku torby turystycznej, którą żona prezesa NIK zabrała z domu, żeby w Katowicach zapakować do niej książki.

Torba ta była pusta, nie znajdowały się w niej żadne przedmioty. Była to torba nowa, zakupiona przeze mnie w sierpniu. Z tego, co pamiętam, to prawie na pewno w bagażniku samochodu nie było innych bagaży, nic nie zwróciło mojej szczególnej uwagi. Nie pamiętam, w którym miejscu bagażnika położyłam tę torbę. (...) Później od mojej siostry dowiedziałam się, że ta torba została dostarczona do lecznicy w Warszawie przez panią prokurator Ronc wraz z innymi moimi rzeczami. Część tych rzeczy oddano mi jeszcze w szpitalu w Radomsku, a konkretnie odbierał je prezes Kownacki. Ta rozmowa z siostrą odbyła się mniej więcej w styczniu. Ja wcześniej nie widziałam, kiedy ta torba została mi zwrócona. O tym, że torba ta posiada uszkodzenia, zorientowałam się podczas pobytu u mojej mamy. Ona zwróciła mi uwagę, że torba jest porwana. — czytamy w protokole przesłuchania Urszuli Pańko.

W dalszej części przesłuchania żona prezesa NIK opowiedziała, jak podczas rozmowy z jednym ze śląskich naukowców pokazała mu uszkodzoną torbę.

Profesor po obejrzeniu tej torby powąchał ją i powiedział dosłownie: „Uła, ja jeszcze czuję w niej proch”. Zasugerował, abym natychmiast zadzwoniła do Prokuratury w

Piotrkowie, aby tę torbę zbadać. Tak też uczyniłam — opowiedziała Urszula Pańko, która do badań przekazała także podziurawiony skórzany portfel męża.

Badania — jak wynika z przytoczonej wyżej opinii — nie wykazały, że uszkodzenie powstało w wyniku wybuchu, nie wykazało również obecności śladów prochu.

Tydzień po przesłuchaniu Urszuli Pańko, 1 marca 1993 r., sprawa z wojskowej prokuratury została przekazana do prokuratury w Piotrkowie Trybunalskim. Powodem było zwolnienie do rezerwy 4 września 1992 r. st. sierż. sztab. Jana Budzińskiego.

Sprawa ostatecznie trafiła do piotrkowskiego sądu — Jan Budziński został skazany na karę więzienia w zawieszeniu. Dziesięć lat po wypadku bez powodzenia uruchomił procedurę związaną z ulaskawieniem.

Śmierć Waleriana Pańki obrosła mitami, które obalają dokumenty. Nie jest prawdą, że w „dziwnych okolicznościach utopiło się dwóch policjantów, którzy pierwsi przyjechali na miejsce wypadku i którzy robili oględziny”. Policjanci, którzy tam byli, zeznawali później w procesie Jana Budzińskiego, o którym także można przeczytać w Internecie, że „zmarł zaraz po wypadku”.

Raport w sprawie FOZZ był gotowy w momencie, gdy zginął Walerian Pańko. Za jego kadencji została przeprowadzona kontrola FOZZ, jednak zablokował on działania Michała Falzmana, gdy ten chciał zbadać i ujawnić cały mechanizm afery.

Walerian Pańko — poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, na prezesa NIK został wybrany na początku maja 1991 r. W latach PRL (do 1982 r.) Pańko był członkiem PZPR i jak mówił — przynależności do PZPR nie musiał się wstydzić. Będąc w partii, był jednocześnie doradcą Solidarności i Solidarności Rolniczej (1980—81). W obradach Okrągłego Stołu uczestniczył w po stronie solidarnościowej w podzespołach ds. rolnictwa i ds. stowarzyszeń. W Sejmie był przewodniczącym Komisji Samorządu Terytorialnego, Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej.

Anatol Lawina Kontrowersyjny świadek

procesu ws. FOZZ

Prawdziwie dobiła mnie niewyjaśniona do dziś śmierć Anatola Lawiny w 2006 r. On był wyjątkowo zastraszony, niepewny. Kiedyś nawet przyszedł do nas w nocy roztrzęsiony, pokazując jakąś wtyczkę, którą mu przysłano. Pracował w Sejmie, chociaż nie można było nawet znaleźć jego telefonu w spisie pracowników. Jakby się ukrywał. Potem został pobity przez nieznaną sprawców — tak o przełożonym Michała Falzmanna mówiła jego żona Izabela Brodacka-Falzmann.

Pobicie Anatola Lawiny do dziś nie zostało wyjaśnione. Zapewne dlatego ani prokuratura, ani policja nie prowadziły śledztwa po jego śmierci, która nastąpiła kilka tygodni po pobiciu. Mimo że był znaną postacią, w prasie po jego śmierci ukazały się zaledwie krótkie notki informacyjne.

Anatol Lawina w opozycji do władz PRL był od początku lat 70. do końca PRL. Jak czytamy w jego biografii, w marcu 1980 r. za udział w akcji ulotkowej został skazany na trzy miesiące więzienia. Po wyjściu na wolność wstąpił w szeregi Solidarności — internowano go w pierwszym dniu stanu wojennego, został zwolniony w grudniu 1982 r. Był m.in. współpracownikiem Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Rozpracowywany przez Służbę Bezpieczeństwa od początku lat 70., w ramach Sprawy Operacyjnego Rozpracowania „Odbitka”, w 1987 r. został ciężko pobity przez milicję. Po obradach Okrągłego Stołu w 1989 r. został członkiem Państwowej Komisji Wyborczej z ramienia Solidarności, w tym samym roku mianowano go dyrektorem Zespołu Analiz Systemowych w Najwyższej Izbie Kontroli — zajmował to stanowisko do 1994 r. Związany ze środowiskiem „Gazety Wyborczej” Lawina krytykował swojego przełożonego prezesa NIK Lecha Kaczyńskiego i w efekcie odszedł z NIK do Kancelarii Sejmu.

Przez całe lata było o nim zupełnie cicho — jego nazwisko wróciło na czołówki mediów w związku z procesem FOZZ — Lawina oskarżył Jarosława i Lecha Kaczyńskich o związki z FOZZ.

Przed zeznaniami Lawiny zaszły wydarzenia, które miały przekonać

zwykłych obywateli o „winie” Kaczyńskich.

17 czerwca 2001 r., dziesięć dni przed powstaniem partii Jarosława Kaczyńskiego Prawo i Sprawiedliwość, w TVP został wyemitowany film pt. *Dramat w trzech aktach*, który poprzedził reportaż Piotra Pytlakowskiego w tygodniku „Polityka” dotyczący tej samej tematyki. Reżyserami filmu byli Witold Krasucki oraz Grzegorz Nawrocki, którzy za tę produkcję otrzymali w grudniu 2001 r. tytuł Hieny Roku od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Dramat w trzech aktach został wyemitowany przed kampanią wyborczą do Sejmu i w trakcie urzędowania Lecha Kaczyńskiego jako ministra sprawiedliwości w czerwcu 2001 r.

Poszukiwani listami gończymi Janusz Cliff Iwanowski-Pineiro (jego firma obracała pieniędzmi FOZZ) i Jerzy Klemba (żołnierz wojskowych komunistycznych służb specjalnych) twierdzili w filmie, jakoby w latach 90. przekazywali pieniądze z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego działaczom Porozumienia Centrum na założenie partii.

Do nagłośnienia *Dramatu w trzech aktach* ruszyła także lewicowa „Trybuna” (dziennik, na którego rozwój posłużyły pieniądze FOZZ). W rządzonej wówczas przez Roberta Kwiatkowskiego TVP nie pozwolono widzom zapomnieć o insynuacjach wobec braci Kaczyńskich. Olga Lipińska w swoim kabareciku umieściła piosenkę, w której śpiewano, że „jadą kaczory, a z nimi forsy pełne wory”. Dopiero kilka lat później okazało się, że nienawidząca lustracji i prawicy Lipińska ma ku temu osobiste powody — według akt IPN jej mąż Andrzej Wiktor Piotrowski został w roku 1970 zarejestrowany jako tajny współpracownik — kontakt operacyjny komunistycznej bezpieki o pseudonimie „Piotr”.

Po upublicznieniu filmu bracia Kaczyńscy skierowali sprawę na drogę sądową, a Janusz Pineiro, który sam po emisji filmu zgłosił się do prokuratury, został aresztowany. Areszt opuścił po dojściu do władzy SLD. Jerzy Klemba, który ukrywał się w Wenezueli, otrzymał list żelazny i po wpłaceniu kaucji przyjechał do Polski tuż przed wyborami we wrześniu 2001 r. Dziewięć lat później obydwaj zostali skazani na karę 2 lat i 8 miesięcy więzienia w „bocznym wątku FOZZ” — za wyłudzenie ok. 2 mln zł ze spółki Impexmetal oraz z Banku

Depozytowo-Kredytowego w Lublinie.

Proces, który bracia Kaczyńscy wytoczyli TVP, zakończył się ostatecznie ugodą dopiero w 2004 r., po zmianie władz TVP — Lech i Jarosław Kaczyńscy zostali przeproszeni na antenie Telewizji Polskiej.

Zanim doszło do przeprosin braci Kaczyńskich przez TVP, w 2003 r. w swoich zeznaniach przed sądem w procesie FOZZ Anatol Lawina powtórzył niemal treść *Dramatu w trzech aktach*, dodając, że po aresztowaniu Żemka zgłosił się do niego Wiktor Fonfara z kierownictwa UOP z propozycją złożenia 2 mln dolarów poręczenia za dyrektora FOZZ.

Według Anatola Lawiny lista beneficjentów, którzy skorzystali z pieniędzy FOZZ, była bardzo długa.

Interesów Wojskowych Służb Informacyjnych pilnował w funduszu jego szef, Grzegorz Żemek, zaś Urzędu Ochrony Państwa — Janina Chim, jego zastępczyni — zeznał przed sądem Anatol Lawina.

Pieniądze FOZZ miały również trafić do Porozumienia Centrum — partii Jarosława i Lecha Kaczyńskich, która według Anatola Lawiny miała być... polityczną bazą Wojskowych Służb Informacyjnych.

Zdaniem Lawiny pośrednikami w transferze pieniędzy z FOZZ do PC byli m.in. minister Adam Glapiński, biznesmen Janusz Pineiro i płk Zenon Klamecki z Biura Bezpieczeństwa Narodowego (za czasów prezydentury Lecha Wałęsy), kierowanego wówczas przez Lecha Kaczyńskiego.

Szybko okazało się, że Klamecki nigdy nie pracował w BBN i nie miał żadnych kontaktów z Lechem Kaczyńskim.

Do zeznań Lawiny odniósł się Jarosław Kaczyński, którego stanowisko w sierpniu 2003 r. opublikowała „Rzeczpospolita”.

Zeznania Lawiny, jeśli je traktować poważnie, a sprawozdawca „Rzeczpospolitej” tak je traktuje, są prawdziwą kopalnią bulwersujących wiadomości. Oto dowiadujemy się, że znane postacie z panteonu III Rzeczypospolitej niechętnie odnoszą się do

badania sprawy FOZZ; że Żemek to kozioł ofiarny postawiony przed wyborem: rola głównego oskarżonego albo śmierć z rąk służb; że większość dokumentów FOZZ została ukryta przez UOP. Jest to materiał na duży i pasjonujący artykuł, ale jakoś nikt go nie pisze. Natomiast zeznania Pineiry, składane już trzykrotnie w trakcie procesów wytoczonych (począwszy od 2001 r.) przez mojego Brata i przeze mnie, zapowiada się w obszernej notatce. Sapienti sat. Niezależnie jednak od motywów autora i ich charakteru obciążające PC sprawozdania zostały napisane. Mam więc prawo i, jak sądzę, obowiązek wobec Czytelników do ich oceny.

Najpierw sam Lawina. Najbardziej charakterystyczną cechą jego zeznań jest ich całkowicie nieuprawdopodobniony i subiektywny charakter. Ich podstawę stanowią: wiedza nieoficjalna oraz rozumowanie w rodzaju: jeśli prawdą jest X, to prawdą jest też Y, a tym samym prawdą jest Z. Źródłem owej wiedzy nieoficjalnej mają być — wedle złożonych przez Lawinę przed sądem wyjaśnień — opowieści funkcjonariuszy UOP towarzyszących Lawinie w jego peregrynacjach po MSW i UOP [chodzi o osoby wysyłane po to, by doprowadzić gościa od wejścia do gmachu, do gabinetu — red.]. Z kolei w innym fragmencie zeznań nasz bohater ciągle narzeka, że UOP go dezinformował. Poza tym powoływał się na jeszcze jakieś inne, ale zupełnie nieokreślone źródła wiedzy nieoficjalnej. Trudno takie zeznania potraktować jako dowód na cokolwiek, i to nie tylko w ramach reguł procesu karnego, ale także zdrowego rozsądku. Również fakt, iż nie zostały one złożone podczas przesłuchań w prokuraturze przed kilku laty, każe traktować je bardzo ostrożnie. Na tym jednak nie koniec. W pewnych miejscach eks-NIK-owiec mówi rzeczy oczywiście nieprawdziwe, i to w sprawach zasadniczej wagi. Nie wyjaśnia na przykład, kto i kiedy mówił mu o tym, że PC otrzymuje pieniądze z FOZZ. Powołuje się przy tym tylko na jedną uprawdopodobniającą przesłankę. Oto pieniądze miał przekazywać pułkownik KLAMECKI pracujący w BBN — w 1991 r. podwładny Lecha Kaczyńskiego. Otóż sprawdzono, że Klamecki w BBN nigdy nie pracował. Tak samo jak jego brat, o którym dywagowano w prasie. Lawinie myli się też kolejność faktów. Maciej Zalewski miał zbierać pieniądze na Telegraf pod groźbą interwencji NIK. Rzecz w tym, że gromadzenie kapitału Telegrafu miało miejsce w 1991 r., i to, jak można sądzić, w pierwszej połowie (tzn. afera wybuchła w lecie 1991 r.), a Lech Kaczyński objął kierownictwo NIK w marcu 1992 r. Lech Kaczyński jest też bohaterem innego zeznania. Oto Wojskowe Służby Specjalne podległe rzekomo BBN miały na jego

zlecenie budować PC. Skąd ta rola mojego Brata w szeroko reklamowanych zeznaniach działacza opozycji demokratycznej (ten fakt też miał wzmacniać jego wiarygodność, tak jakby pomawiani przez niego ludzie w tejże opozycji nie byli)? Motywy nie są trudne do ustalenia. Chodzi o usunięcie w 1994 r. Anatola Lawiny z pracy w NIK. Czytając jego zeznania, można się zdziwić, dlaczego tak późno. Ale powód pretensji jest jasny. Niechęć czy nawet nienawiść spowodowana utratą ciekawej i dającej poczucie ważności pracy i trwałą — jak się okazało — degradacją. Stąd bajka o wykorzystywaniu NIK dla celów partyjnych, co miało stać się powodem sporu między prezesem Lechem Kaczyńskim a dyrektorem Lawiną, stąd wspomniane już rozumowanie: mój Brat wykorzystywał NIK, a więc i BBN. BBN miało nadzór nad Wojskowymi Służbami Specjalnymi, a więc Służby te, na polecenie szefa BBN, czyli Lecha Kaczyńskiego, budowały PC. Jeszcze raz podkreślam, Lawina w swoich zeznaniach mówi o tym wprost, nie jest to żadna rekonstrukcja toku jego myślenia. Oczywiście, mówi tylko przed sądem, przed mediami powtórzyć tego już nie chce. Wie, że nie ma najmniejszych dowodów na poparcie swych opowieści. Po prostu boi się procesu, który niełatwo wytoczyć za zeznania przed sądem. Jak na to wszystko reaguje sprawozdawca? O tym pisałem już wyżej. Czas na przykłady. Z „rozumowań” o obecnych działaniach Lecha Kaczyńskiego robi się nagle zeznanie, że PC było zakładane, czy też współzakładane, przez Wojskowe Służby Specjalne. A więc agenturalna partia, podejrzani przywódcy. Lawina powiedział bzdury o tym, jak to Lech Kaczyński nakazywał niepodlegającym mu Służbom, by organizowały antykomunistyczną partię, będącą skądinąd u szczytu swej liczebności i wpływów. Tego, rzecz jasna, napisać się nie da, w to nawet uprzedzonym do PC trudno uwierzyć. Ale pomówić — warto. Już się z tym zetknęliśmy, choćby przy sprawie inwigilacji prawicy. Ale po tych wszystkich doświadczeniach tu jednak zostałem zaskoczony. Niesprawdzenie kłamstw o Zalewskim, niewyjaśnienie, co to jest, wedle Lawiny, wiedza nieoficjalna, niezwrócenie uwagi na psychologiczny kontekst zeznań, za to poszukiwanie potwierdzeń u innych, też bez znajomości rzeczy. (Były prezes NBP w zeznaniach przed sądem w procesie przeciw telewizji nie potwierdził, by Glapiński zabiegał u niego o nominację Żemka na wiceprezesa.) Wreszcie, ani jednego zdania refleksji nad takimi faktami, jak dwuznaczna rola samego Lawiny w działaniach NIK (np. podpisanie zezwolenia na wyjazd Żemka z kraju) czy jego obrona Żemka jako kozła ofiarnego. Tyle o Lawinie. Przejdźmy do Pineiry. Ten

świadek nie jest byłym działaczem opozycji, ale osobą ściganą listem gończym, której proces został zawieszony z błahego powodu. Krótko mówiąc, jest całkowicie w rękach władz, grozi mu bowiem wyrok za wyłudzenie znacznej sumy (12 mld zł z 1991 r. to nominalnie 1 mln 200 tys. zł dzisiaj, ale jeśli chodzi o siłę nabywczą — wielokrotnie więcej). Jednocześnie powoli zbliża się termin przedawnienia sprawy (2006 r.). Pineiro złożył już kiedyś — w 1993 r. — pisemne zeznania w sprawie swoich kontaktów z FOZZ, gdzie w najmniejszym stopniu nie obciążył PC, co więcej, twierdził, iż do obciążania mojej dawnej partii próbowały go zmusić służby specjalne. W opowieściach książkowych i filmowych, a od przeszło roku także przed sądami, opowiada on, w różnych zresztą wersjach, o pieniądzach, jakie miał przekazywać PC, a także mnie osobiście. Nie ma na to żadnych dowodów ani bezpośrednich, ani pośrednich. PC może bowiem bez trudu wykazać, skąd miało środki, ja również mogę wskazać źródła swoich. Moje deklaracje majątkowe są powszechnie dostępne. Powiązania Pineiro z ludźmi służb są oczywiste. Tłumaczenia, że pisał sprawozdania w 1993 r., będąc pod naciskiem z Polski (był w Wenezueli, całkowicie poza zasięgiem polskiego wymiaru sprawiedliwości), przekraczają już wszelkie granice absurdu i trudno, by doświadczony dziennikarz polityczny, który nie widzieć czemu przedzierzgnął się nagle w sprawozdawcę sądowego, nie wiedział, jak wściekle PC było atakowane. Choćby tak niedawno, w roku 1999: ile było procesów, ile pomówień, i to także ze strony głowy państwa, ile pomyj w prasie, ile rozpuszczano bzdurnych i obrzydliwych plotek. Czy można nie wiedzieć o tzw. inwigilacji prawicy? Sprawa jest przejrzysta. Cała reszta pozostaje w rękach mediów. W Polsce są potężne siły, które przez lata blokowały wyjaśnienie afery FOZZ. Nie złożyły one broni i nie mogą jej złożyć. Chodzi przecież o ich podstawowe interesy. To właśnie im zależy, by proces się nie udał, by skierować społeczną uwagę w stronę ludzi, których jedynym udziałem w sprawie była pomoc udzielona Michałowi Falzmannowi, by chronić winnych największej bodajże afery III Rzeczypospolitej, by chronić cały związany z nią układ. Myli się każdy, kto sądzi, że chodzi tu tylko o sprawiedliwość, przyzwoitość, o karę dla winnych i oczyszczenie niewinnych. Chodzi o przyszłość Polski. Układ trzeba rozbić. Bez tego nasz kraj nie może się normalnie rozwijać, bez tego nie może normalnie działać demokracja. Dlatego afera FOZZ powinna być wyjaśniona do końca wraz z całym kontekstem. Stąd wniosek PiS o powołanie komisji śledczej, stąd dążenie do tego, by zmienić te jej reguły działania, które nie

sprawdziły się podczas wyjaśniania afery Rywina. Nie boimy się, nie mamy najmniejszego powodu bać się prawdy. To, co ostatnio czytałem w prasie, zaniepokoiło mnie, zrodziło bowiem obawę, że front obrony układów jest silniejszy, niż myślałem, a atak na aferzystów wybiórczy. Wciąż mam jednak nadzieję, że się myliłem — napisał Jarosław Kaczyński.

Afera FOZZ, okoliczności związane z jej ujawnieniem, a następnie procesem pokazują, że prawdziwi beneficjenci do końca walczyli o ukrycie całej prawdy. Osądzenie afery graniczyło z cudem — chociaż zapadły prawomocne wyroki, i tak nie wszystko zostało ujawnione.

ROZDZIAŁ 3 JAROSŁAW ZIĘTARA

Zabójstwo dziennikarza. Służby, mafia, polityka

1 września 1992 r. Z domu do redakcji „Gazety Poznańskiej” wychodzi dziennikarz, 24-letni Jarosław Ziętara. Chociaż ma kilka kroków do pracy, nigdy do niej nie dociera. Od tego momentu jest uznany za zaginionego. Sześć lat później poznańska prokuratura stwierdza, że Jarosław Ziętara został zamordowany i że było to zabójstwo na zlecenie.

29 czerwca 2015. Aleksander Gawronik — były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, a następnie jej tajny współpracownik, biznesmen i były polityk, zostaje oskarżony o podżeganie do zabójstwa poznańskiego dziennikarza śledczego Jarosława Ziętary, którego ciała nigdy nie znaleziono.

Wyjaśnianie sprawy zaginięcia Jarosława Ziętary trwało dwadzieścia trzy lata. Dziennikarz zawodowo zajmował się tematyką śledczą. Pisał w tygodniku „Wprost”, później w lokalnym dodatku „Gazety Wyborczej”, a przed zaginięciem — w „Gazecie Poznańskiej”. Jego artykuły dotyczyły afer gospodarczych, głównie z terenu Poznania. Ujawniał nieprawidłowości i zajmował się wątpliwymi prywatyzacjami, m.in. w Wielkopolsce, zbierał materiały m.in. na temat interesów Aleksandra Gawronika, Mariusza Świtalskiego i Jana Kulczyka.

Tydzień po zniknięciu Jarosława Ziętary lokalne media opublikowały komunikat o jego zaginięciu z prośbą o przekazanie informacji, które pomogłyby ustalić jego miejsce pobytu. Wyznaczono także nagrodę — 20 milionów złotych, jednak nikt się nie zgłosił. Już wtedy bliscy i znajomi byli niemal pewni, że Ziętara został uprowadzony. „Gazeta Poznańska”, Radio Merkury i „Express Poznański” postanowiły nawet zebrać pieniądze na

wynajęcie detektywa.

Od samego początku prowadzenia dochodzenia policja zachowywała się tak, jakby nie chciała wyjaśnić zniknięcia dziennikarza. Została wprawdzie powołana specjalna grupa operacyjna, która miała wyjaśnić tajemnicę zniknięcia Jarosława Ziętary, ale jej działania pozostawiały wiele do życzenia. Jak pisała w lipcu 2011 r. „Gazeta Polska” (artykuł *UOP werbował dziennikarzy*), policjanci twierdzili, że zdrowy i żywy dziennikarz przebywa za granicą, a ówczesny komendant wojewódzki Kazimierz Knoff w Radiu „S” oznajmił nawet, że Ziętara wykonuje zadania dla Urzędu Ochrony Państwa podczas zagranicznej misji. Policja twierdziła również, że Jarosław Ziętara uciekł z Polski i przebywa w Londynie, dochodzenie prowadziła przez rok, a następnie je umorzyła. Postępowanie prokuratorskie zostało wszczęte rok po zaginięciu dziennikarza i to dopiero po interwencji ojca zaginionego, Edmunda Ziętary, u rzecznika praw obywatelskich prof. Tadeusza Zielińskiego.

JAROSŁAW ZIĘTARA – KRONIKA NIETYJAŚNIONEJ ZBRODNI

STRONA GŁÓWNA KSIĄŻKA SPRAWA ZIĘTARY O JARKU PUBLIKACJE KALENDARIUM ŚLEDZTWA KOMITET MEDIA

kronika niewyjaśnionej zbrodni

1968-1992

kronika niewyjaśnionej zbrodni

Jarosław Ziętara (1968-1992) pomagał dziennikarz porwany i zamordowany, niewyjaśnione zabójstwo

RSS wpisów RSS komentarzy

KRONIKA NIETYJAŚNIONEJ ZBRODNI

Polub tę stronę 745 polubienia

aktualności admin, 29 cze 2015

Aleksander G. oskarżony w sprawie zabójstwa Jarosława Ziętary

Prokuratura Apelacyjna w Krakowie skierowała dzisiaj do sądu w Poznaniu akt oskarżenia, w którym zarzuca Aleksandrowi G., że w 1992 roku podlegał do zabójstwa Jarosława Ziętary.

Lubię to! 4 osoby lubią to. Bądź pierwszym wśród swoich znajomych.

Tagi: Jarosław Ziętara, Piotr Kosmaty, sprawa Ziętary, zabójstwo Ziętary

Brak komentarzy

aktualności admin, 18 cze 2015

Prokuratura oskarży Aleksandra G. o namawianie do zabicia Jarosława Ziętary

Po wycofaniu się w styczniu br. kilku zastraszonych świadków śledztwo w sprawie zabójstwa Jarosława Ziętary znalazło się w poważnym kryzysie. Udało się go jednak przewyciężyć – uzyskano zeznania kolejnych świadków i dowody. Na tej podstawie Prokuratura Apelacyjna w Krakowie oskarży byłego najbogatszego Polaka, i eks senatora Aleksandra G. o podżeganie do zabójstwa Jarka Ziętary.

Czytaj dalej >

Lubię to! 7 osób lubi to. Bądź pierwszym wśród swoich znajomych.

od uprowadzenia Jarosława Ziętary minęło 8393 dni

od wznowienia przez prokuraturę śledztwa w sprawie porwania Ziętary minęło 1533 dni

od skierowania do sądu aktu oskarżenia przeciwko Aleksandrowi G. minęło dni 57

Po zaginięciu Jarosława Ziętary jego rodzina i przyjaciele rozpoczęli kampanię mającą na celu odkrycie prawdy o zniknięciu dziennikarza, a jej przebieg relacjonowali na specjalnie stworzonym przez siebie portalu

I to postępowanie zakończyło się fiaskiem — 24 marca 1995 r. prok. Mirosław Sławeta z Prokuratury Rejonowej Poznań-Grunwald umorzył śledztwo z powodu „niestwierdzenia zaistnienia przestępstwa”.

Z tą decyzją nie zgodzili się rodzina i przyjaciele zaginionego dziennikarza, którzy walczyli o wyjaśnienie sprawy. Zaangażowali się w to zwłaszcza rodzice Jarosława Ziętary. Zmarli, nie doczekawszy się wyjaśnienia zaginięcia syna. Przyjaciele dziennikarza nie pozwolili, by o sprawie zapomniano. Stworzyli stronę internetową jarek.sledczy.pl, na której przedstawili *Kronikę niewyjaśnionej zbrodni*.

W 1998 r., gdy pojawiły się informacje, że Jarosław Ziętara mógł zostać zamordowany na zlecenie w związku ze swoją działalnością dziennikarską, prokuratura 10 listopada na nowo podjęła śledztwo. Świadkowie (sąd w tej sprawie powołał czterech świadków *incognito*) wskazali nawet potencjalnego zabójcę i możliwe miejsca ukrycia zwłok. W listopadzie 1998 r. nieopodal Poznania rozpoczęto poszukiwania zwłok zaginionego dziennikarza w miejscu wskazanym przez świadków. Do poszukiwań użyto specjalnie wyszkolonego psa, wykrywacza metali, kamer termowizyjnych, georadaru — niestety, bezskutecznie.

Świadkowie wskazali osobę, która miała mieć związek z zabójstwem dziennikarza: był nim odbywający wyrok za usiłowanie zabójstwa poznański gangster Przemysław C. Przestępca nie chciał jednak współpracować z prokuraturą. Co ciekawe, o tym, że wiąże go ze sprawą zaginięcia dziennikarza, Przemysław C. wiedział jeszcze przed przesłuchaniem. Jak pisał „Głos Wielkopolski”, żalił się nawet strażnikowi więziennemu, że go chcą wrobić w sprawę zabójstwa dziennikarza. Okazało się, że przed prokuratorskim przesłuchaniem Przemysław C. dostał w więzieniu gryps, który miał zawierać groźby i sugestie, żeby nic nie mówił. Po wyjściu z więzienia, w czasie gdy trwało poszukiwanie ciała dziennikarza, Przemysław C. zginął w wypadku motocyklowym.

29 października 1999 r. poznańska prokuratura po raz drugi umorzyła śledztwo. Rok później Jarosław Ziętara został oficjalnie uznany za zmarłego.

W 2009 r. Komenda Główna Policji sporządziła raport, w którym dokładnie opisano sprawę zaginięcia dziennikarza, jednak prokuratura nie podjęła śledztwa.

W październiku 2010 r. posłowie i senatorowie z Wielkopolski zwrócili się do prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta z apelem o wyjaśnienie zabójstwa dziennikarza i przekazanie śledztwa do innej niż poznańska prokuratury. Pod listem podpisali się posłowie różnych ugrupowań politycznych: Jan Dziejczak, Waldy Dzikowski, Arkady Fiedler, Tomasz Górski, Rafał Grupiński, Sidonia Jędrzejewska, Filip Kaczmarek, Piotr Kaleta, Maks Kraczkowski, Dariusz Lipiński, Krystyna Łybacka, Józef Racki, Jadwiga

Rotnicka, Stanisław Stec, Bożena Szydłowska, Konrad Szymański, Jacek Tomczak, Piotr Waśko, Marek Zieliński i Tadeusz Zwiefka. Ich zdaniem przeniesienie śledztwa do innej prokuratury może doprowadzić do przełomu w sprawie i rozwiązania tajemnicy zaginięcia dziennikarza.

W marcu 2011 r. przedstawiciele Komitetu Społecznego „Wyjaśnić śmierć Jarosława Ziętary” zwrócili się do prokuratora generalnego o podjęcie na nowo śledztwa w sprawie zaginięcia dziennikarza. Na ten apel odpisał Bogusław Michalski, dyrektor Departamentu Postępowania Przygotowawczego Prokuratury Generalnej.

Ta 11 kwietnia odmówiła wszczęcia śledztwa.

Uprzejmie informuję, że aktualne pozostaje stanowisko o braku podstaw do przekazania przez Prokuratora Generalnego prawomocnie umorzonego śledztwa jednostce prokuratury spoza apelacji poznańskiej

— czytamy w piśmie prok. Michalskiego (w 1993 r. umorzył on ostatecznie śledztwo w sprawie śmierci ks. Sylwestra Zycha).

Po tym stanowisku kolejny apel o podjęcie na nowo śledztwa wystosowali dziennikarze: 29 kwietnia 2011 r. redaktorzy naczelni kilku ogólnopolskich dzienników zwrócili się do ówczesnego premiera Donalda Tuska i prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta o odtajnienie informacji dotyczących Jarosława Ziętary, które w czasie działań operacyjnych gromadził Urząd Ochrony Państwa, oraz o wznowienie śledztwa w sprawie zaginięcia dziennikarza.

W maju 2011 r. poznańska prokuratura na nowo podjęła śledztwo w sprawie zaginionego dziennikarza, a w lipcu akta sprawy trafiły do Prokuratury Apelacyjnej w Krakowie — wyjaśnieniem zajął się wydział do zwalczania przestępczości zorganizowanej.

* * *

To właśnie krakowska prokuratura znalazła dowody, że tajne służby III RP chciały zwerbować Jarosława Ziętare. Informacje o tym, że Urząd Ochrony

Państwa jest zainteresowany dziennikarzem, pojawiały się wcześniej: ojciec dziennikarza Edmund Ziętara zeznał w pierwszym śledztwie, że na początku 1992 r. był telefon do Jarosława Ziętary z Urzędu Ochrony Państwa z propozycją pracy, ten jednak odmówił. W notesie dziennikarza znaleziono także zapis: „Odpowiedź UOP” z datą 10 maja 1992 r. Po zaginięciu Ziętary znaleziono pustą kopertę adresowaną do dziennikarza, pochodzącą z UOP, nie znaleziono natomiast pisma, które zostało w niej wysłane.

W 1994 r. poznańska prokuratura zwróciła się do UOP, czy dziennikarz był obiektem zainteresowania służb specjalnych. We wrześniu 1994 r. Jerzy Zimowski, ówczesny wiceszef MSW, napisał do Stefana Śniezki, wówczas zastępcy prokuratora generalnego, że Jarosław Ziętara nie pozostawał w zainteresowaniu UOP i nie figuruje w ewidencji ani materiałach archiwalnych Urzędu. Jedną z hipotez zakładała, że dziennikarza zamordowano — według nieoficjalnych informacji został uprowadzony, a następnie utopiony w Warcie przez funkcjonariuszy UOP; pojawiły się także informacje, że Jarosław Ziętara został wciągnięty do radiowozu i ślad po nim zaginął. Te hipotezy nie zostały zweryfikowane. Co ciekawe, prok. Jacek Tylewicz z Prokuratury Rejonowej Poznań-Grunwald, który wszczął śledztwo w sprawie zaginięcia Jarosława Ziętary, został od sprawy odsunięty, a postępowanie przejął Mirosław Sławeta, który je umorzył. W wypowiedziach dla mediów bagatelizował zniknięcie dziennikarza, mówiąc, że wiele osób ginie bez wieści, a to, że Ziętara był dziennikarzem, nie jest powodem, by sprawę traktować w sposób bardziej szczególny niż inne tego typu postępowania.

Dlaczego ówczesne służby nie chciały się przyznać do próby zwerbowania dziennikarza? Do dziś to pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

A że był obiektem zainteresowania służb specjalnych III RP, wykazało właśnie śledztwo krakowskiej prokuratury apelacyjnej.

Wiadomo, że znajdujące się w Agencji Wywiadu dokumenty potwierdziły, że na początku lat 90. Jarosława Ziętara chciał zwerbować Urząd Ochrony Państwa, jednak dziennikarz odmówił współpracy. Na czele wywiadu UOP stał wówczas Henryk Jasik, a jego podwładnym był Gromosław Czempiński. Zapytani w 2011 r. przez „Gazetę Polską”, czy UOP werbował dziennikarzy,

obywaj odpowiedzieli twierdząco.

Po 1989 r. służby specjalne werbowaly na swoich tajnych współpracowników dziennikarzy, niektórzy z nich do dziś pracują w mediach. Zakaz werbunku dziennikarzy wydał w 1996 r. Zbigniew Siemiątkowski, ówczesny szef MSW nadzorujący Urząd Ochrony Państwa. Gen. Henryk Jasik stwierdził, że werbowanie dziennikarzy nie jest niczym złym.

„Służby na całym świecie z tego korzystają: jeżeli dziennikarz jeździ po świecie, ma dobre kontakty i jest doskonale zalegendowany, to dlaczego z niego nie korzystać? Przecież ci ludzie działają w interesie swojego państwa” — mówił „GP” gen. Henryk Jasik, funkcjonariusz wywiadu MSW PRL, a później szef wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Podkreślił przy tym, że nie pamięta sprawy werbowania do wywiadu UOP Jarosława Ziętary.

Z kolei Gromosław Czempiński, były funkcjonariusz wywiadu MSW PRL, a po 1989 r. kolejno zastępca szefa wywiadu ds. operacyjnych, szef wywiadu i szef UOP, powiedział, że nic nie wie o próbie werbunku Ziętary, ale w tym czasie obiektem zainteresowania służb specjalnych było trzech poznańskich biznesmenów.

Dlaczego Jarosławem Ziętara interesował się wywiad, skoro dziennikarz zajmował się sprawami krajowymi, które pozostawały w gestii kontrwywiadu? „Nie ma w tym nic dziwnego, kontrwywiad był wówczas bardzo słaby, a wywiad najlepszy. Mieliśmy sytuację, że koledzy z kontrwywiadu w Poznaniu bali się podjąć pewne działania i dopiero ja z gen. Sławomirem Petelickim rozwiązaliśmy ten problem” — mówił „GP” Czempiński, nie ujawniając jednak szczegółów. Tymczasem w Poznaniu działali biznesmeni, których teczki prowadziła komunistyczna bezpieka, a które do archiwum kierował Henryk Jasik — takim biznesmenem był Jan Kulczyk. Wywiad PRL, którym kierował Jasik, zajmował się także Aleksandrem Gawronikiem, który był tajnym współpracownikiem o pseudonimie „Witek”.

Krakowska prokuratura apelacyjna zbadała wszystkie dostępne dokumenty

dotyczące Jarosława Ziętary. „Przed wszystkim szczegółowo przeanalizowaliśmy informacje obejmujące okres przed zaginięciem dziennikarza, a później pozostały materiał. Dopiero po tych czynnościach następnym krokiem było przesłuchanie świadków” — mówił mediom w 2015 r. Piotr Kosmaty, prokurator z krakowskiej prokuratury apelacyjnej prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Jarosława Ziętary.

Według informacji „GP” Jarosława Ziętare planowano wykorzystać do rozpracowania kilku poznańskich biznesmenów, którzy mieli kontakty na terenie Austrii i Niemiec i którzy znaleźli się na liście najbogatszych biznesmenów tygodnika „Wprost”. Tuż przed zaginięciem Ziętara mówił o nowym sensacyjnym temacie, nad którym pracuje i który po publikacji może się okazać prawdziwą bombą — w materiale miały się pojawić nazwiska najbogatszych wówczas Polaków, w tym Aleksandra Gawronika. Prowadząca w 1992 r. dochodzenie policja zlekceważyła te sygnały, uznając, że są to jedynie niepoparte żadnymi dowodami przypuszczenia.

Często zdarzają się groźby pod adresem naszych dziennikarzy. To niebezpieczny zawód. Niedawno pod willą [Aleksandra] Gawronika w Długiej Goślinie pobity został dziennikarz z „Poznaniaka”, zdaniem naczelnego, najprawdopodobniej przez funkcjonariuszy UOP. Nie wiem, dlaczego Jarek zginął. Wiem, że dziennikarze powinni pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy. To jeden z nas

— mówił „Gazecie Wyborczej” Piotr Grochmaliski, naczelny tygodnika „Poznaniak”, zaraz po zaginięciu Jarosława Ziętary.

* * *

Kim jest Aleksander Gawronik, który miał zlecić zabójstwo dziennikarza?

Ten absolwent Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu i zaocznego Wydziału Prawa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu w 1972 r. złożył podanie o przyjęcie do Służby Bezpieczeństwa.

Zwracam się do obywatela komendanta z prośbą o przyjęcie mnie do pracy w Służbie Bezpieczeństwa w Wydziale Śledczym. Prośbę swą uzasadniam tym, że chciałbym być jednym z tych, którzy stoją na straży ładu i porządku publicznego — pisał Aleksander Gawronik w sierpniu 1972 r.

W bezpiece Gawronik pracował zaledwie dziesięć tygodni — od 16 listopada 1972 r. do 31 stycznia 1973 r., a następnie zajął się karierą, w czym pomogła mu legitymacja PZPR. W 1979 r. był szefem obrotu jubilerskiego Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego: sprzedawał m.in. sztuczną biżuterię sowieckim żołnierzom, którzy stacjonowali w Legnicy.

W 1978 r. Gawronik oddał legitymację PZPR i został prywatnym przedsiębiorcą; według nieoficjalnych informacji oddanie legitymacji było zwykłą „ustawką” z ówczesnymi władzami, potrzebną do rozkręcenia interesów na Zachodzie. Pośrednio potwierdza to fakt, że w sierpniu 1980 r., gdy trwał karnawał Solidarności, Gawronik chciał być funkcjonariuszem SB, ale jego podanie rozpatrzono negatywnie. Nie oznaczało to jednak, że bezpieka o nim zapomniała. Jako „prywaciarz” prowadzący interesy na terenie Niemiec był atrakcyjnym celem dla wywiadu PRL. Według znajdujących się w IPN archiwów Aleksander Gawronik został zarejestrowany przez wywiad PRL (Departament I) jako tajny współpracownik o ps. „Witek”.

W marcu 1982 r. A. Gawronik znalazł się w zainteresowaniu naszej jednostki w związku z jego częstymi wyjazdami za granicę, szczególnie do RFN. W trakcie prowadzonych z nim spotkań zaprezentował się jako lojalny obywatel wykazujący zrozumienie dla interesów SB i wykazujący dużo własnej inicjatywy. Ponadto w trakcie tych spotkań przekazał wiele informacji interesujących naszą służbę — pisał w raporcie w czerwcu 1982 r. mł. insp. Departamentu I MSW por. Leszek Krawczyk.

Mimo stanu wojennego Gawronik często wyjeżdżał do RFN na podstawie pisma z Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Funkcjonariusze bezpieki szybko się zorientowali, że dla Gawronik zarówno współpraca z wywiadem PRL, jak i kontakty z ministerstwem są jedynie przykrywką do

nielegalnej działalności. Na początku 1983 r. służby specjalne PRL zawiesiły współpracę z Gawronikiem, nadal jednak funkcjonariusze komunistycznej bezpieki utrzymywali z nim kontakty. Dla Gawronika te znajomości były bardzo przydatne w relacjach biznesowych.

W IPN zachowało się wiele dokumentów dotyczących Aleksandra Gawronika. Jeden z nich — pochodzący z 23 sierpnia 1983 r. — ujawnił ostatnio dr hab. Sławomir Cenckiewicz.

W opinii ko „SEM” jest bardzo prawdopodobne, że kapitał niemiecki chce przez A. Gawronika rozpocząć legalne i oficjalne zasilanie mniejszości niemieckiej w Polsce. Najprawdopodobniej całym przedsięwzięciem mogą być również zainteresowane koła rządowe Republiki Federalnej Niemiec. Poprzez bank A. Gawronika rząd boński mógłby bowiem realizować własną politykę gospodarczą na terenach Pomorza i Śląska

— czytamy w opublikowanym dokumencie, z którego jasno wynika, że w 1989 r. Aleksander Gawronik umożliwił Niemcom szerzenie wpływów gospodarczych na terenie Pomorza i Śląska.

* * *

W 1990 r. Gawronik został najbogatszym Polakiem na liście tygodnika „Wprost”, który wówczas swoją siedzibę miał w Poznaniu. Fortunę osiągnął głównie dzięki koncesji umożliwiającej otwarcie punktów wymiany walut. W nocy z 16 na 17 marca 1989 r. wprowadzono nowe prawo — właśnie tej nocy Gawronik jako pierwszy dostał koncesję i natychmiast wzdłuż niemieckiej granicy otworzył kantory.

W 1993 r. Aleksander Gawronik został senatorem niezależnym — zdobył gigantyczne poparcie, chociaż w zasadzie nie prowadził żadnej kampanii. Niewykluczone, że Gawronikowi, paradoksalnie, pomogło aresztowanie w związku z przywłaszczeniem mienia spółki Art-B. Wyszedł za kaucją po trzech tygodniach, ale był już uznany za ofiarę nowej władzy. Niektóre gazety

forsowały tezę, że Gawronik został aresztowany na polecenie ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy, który stwierdził, że „aferzystów puści w skarpetkach” (czas pokazał, że Wałęsie wcale nie chodziło o aferzystów, lecz o wrogów politycznych).

Obecnie siedzi w areszcie Aleksander Gawronik, jedna z najbardziej znaczących osobistości życia gospodarczego, a nawet publicznego. Gawronik nie włamał się po obrazy Art-B ani nie sfałszował czeku na 6 miliardów nie należącego mu się ponoć uposażenia. Takie sprawy w cywilizowanym świecie strony wyjaśniają w rozmowach lub wnoszą powództwo cywilne.

Trudno sądzić, że nie ma tu żadnego związku z zarzutami o ospałość w wykrywaniu afer, które prezydent nieustannie kieruje pod adresem prokuratury. Raczej wygląda na to, że Lech Wałęsa zachęca do igrzysk, budując sobie pozycję ozdrowiciela życia publicznego. Afery — oczywiście — istnieją, ale walka z nimi wymaga zwykle żmudnego i rzetelnego gromadzenia dowodów przestępstwa, podczas gdy zamiast tego serwuje się opinii efektowne aresztowania, z którymi później nie wiadomo co zrobić

— pisał 7 października 1992 r. na łamach „Gazety Wyborczej” Ernest Skalski w komentarzu *Jest człowiek, znajdzie się paragraf*.

Zablokowanie lustracji poprzez obalenie rządu Jana Olszewskiego uniemożliwiło ujawnienie akt komunistycznej bezpieki, w których było obszerne *dossier* Gawronika. Jego wyborcy nie mieli pojęcia, że mają do czynienia z byłym esbekiem i tajnym współpracownikiem komunistycznych służb.

Mimo toczących się postępowań karnych Gawronikowi nie uchylono immunitetu, chociaż był taki wniosek. Gawronik trafił do aresztu dopiero w 2001 r., m.in. w związku z gigantycznymi wyłudzeniami podatku VAT. W trakcie śledztwa wyszły na jaw jego związki z gangiem pruszkowskim — Gawronik wiedział również, kto z polityków i biznesmenów pracuje dla mafii. Były senator poszedł na pozorowaną współpracę z Urzędem Ochrony Państwa, ale gdy okazało się, że pracuje na dwie strony, został aresztowany.

Z materiałów śledztwa wyłonił się obraz powiązań świata polityków,

biznesu i mafii. We współpracy z mafią był uwikłany m.in. Ireneusz Sekuła, który — podobnie jak Gawronik — był zarejestrowany jako tajny współpracownik, tyle że nie cywilnej, ale wojskowej bezpieki, czyli Wojskowej Służby Wewnętrznej, o pseudonimie „Artur”.

Śledztwo wykazało, że kierowana przez Gawronika grupa za pośrednictwem sklepu z papierosami w Słubicach w 1999 i 2000 r. uprawiała proceder fikcyjnej sprzedaży papierosów cudzoziemcom i ich wywozu za granicę. W ten sposób dochodziło do wyplacania podatku VAT na podstawie sfałszowanych czeków *tax-free* za papierosy, które miały opuścić Polskę. W rzeczywistości handel odbywał się wyłącznie na papierze, nie było żadnych papierosów, a chodziło wyłącznie o wyłudzenie podatku VAT.

W związku z wyłudzeniami Aleksander Gawronik, były poznański senator, został skazany na 8 lat więzienia, które opuścił przedterminowo w 2009 r. W 2011 r. jako karę zastępczą ustanowiono grzywnę w wysokości 170 tys. zł, jednak Gawronik jej nie zapłacił i rok później trafił do więzienia.

* * *

Aleksander Gawronik został zatrzymany 4 listopada 2014 r. pod zarzutem podżegania do zabójstwa Jarosława Ziętary. Podczas przesłuchania były senator nie przyznał się do winy i odmówił składania wyjaśnień. Sąd podzielił argumentację prokuratury, że zachodzi obawa matactwa, i zastosował areszt. Gawronik opuścił go 31 stycznia 2015 r.

Wniosek o zwolnienie Gawronika złożył w sądzie jego obrońca, a prokuratura przychyliła się do tego i były senator opuścił areszt śledczy przy ul. Montelupich w Krakowie. Prokuratura zastosowała wobec niego poręczenie majątkowe w wysokości 50 tys. zł, zakaz opuszczania kraju połączony z zatrzymaniem paszportu, dozór policyjny i poręczenie osoby godnej zaufania. Jak poinformowała prokuratura, poręczenia udzieliła „osoba pełniąca wysokie funkcje w Stowarzyszeniu Architektów Polskich i znająca długie lata Aleksandra Gawronika”.

W czerwcu 2015 r. do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko byłemu

senatorowi. Według krakowskich śledczych Gawronik miał nakłaniać do zabójstwa Jarosława Ziętary pracowników poznańskiego biznesmena Mariusza Świtalskiego. Zdaniem prokuratury dziennikarz zginął, bo chciał opisać nielegalne interesy Aleksandra Gawronika.

W śledztwie przesłuchano szereg osób, w tym świadków koronnych. Zeznawał m.in. Jarosław Sokołowski ps. „Masa”, który znał Gawronika z czasów, gdy był jeszcze jednym z szefów mafii pruszkowskiej. Podczas jednej z rozmów gangster powiedział biznesmenowi o swoich problemach z dziennikarzami, a wówczas Gawronik stwierdził, że jest specjalistą od „uciszania prasy”, i miał polecić usługi oficera Wojskowych Służb Informacyjnych, fachowca „od mokrej roboty”.

Zeznania w śledztwie złożył także Jerzy Urban, redaktor brukowego tygodnika „Nie”, którego powstanie współfinansował Świtalski. Urban, Świtalski i Gawronik byli razem na wakacjach, na początku lat 90. — prowadząca śledztwo krakowska prokuratura apelacyjna chciała się dowiedzieć, jak naprawdę wygląda znajomość Gawronika ze Świtalskim. Ma to bardzo istotne znaczenie dla sprawy, bo dziś Świtalski nie przyznaje się do znajomości z byłym senatorem. Jednak świadkowie mówią coś zupełnie innego: że Gawronik rozmawiał ze Świtalskim o zlikwidowaniu Jarosława Ziętary.

Z prokuratorskiego śledztwa wynika, że przed zniknięciem 1 września 1992 r. dziennikarz został dwukrotnie pobity. Pod Elektromisem — firmą Mariusza Świtalskiego — mieli go pobić ochroniarze firmy, gdy robił zdjęcia wyjeżdżającym stamtąd samochodom. Ochroniarze zniszczyli wówczas dziennikarzowi aparat. Po raz drugi Jarosław Ziętara został pobity we własnym mieszkaniu przy ul. Kolejowej — jednym z napastników był poznański gangster Maciej B. ps. „Baryła”, teraz jeden z najważniejszych świadków prokuratury. Zeznał on m.in., że w 1992 r. powiedziano mu, iż „będzie robota na niejakiego Ziętare, bo ten robi smród wokół różnych firm”. Gangster opowiedział także o spotkaniu, do którego miało dojść w czerwcu 1992 r. w siedzibie Elektromisu — przyszedł tam Aleksander Gawronik ze swoimi rosyjskojęzycznymi „przyjaciółmi”, a w rzeczywistości jego ochroniarzami. Wtedy to właśnie Maciej B. został przedstawiony biznesmenowi, który mówił, że ma problemy z

dziennikarzem i że musi on „zostać zlikwidowany”.

Według prokuratury dziennikarz został uprowadzony przez pracujących w Elektromisie byłych policjantów Dariusza L. ps. „Lala”, Mirosława R. ps. „Ryba” oraz nieżyjącego już Romana K., który — jak podał „Głos Wielkopolski” — zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. To właśnie byli policjanci mieli wciągnąć Ziętareę do samochodu przypominającego radiowóz; wywieziono go w nieznane miejsce i torturowano. Został zamordowany przez człowieka zza wschodniej granicy, a szczątki dziennikarza miał wozić w swoim samochodzie jeden z pracowników Elektromisu. Maciej B. ps. „Baryła” zeznał również, że widział później czaszkę, jak mu powiedziano, Jarosława Ziętary. Dlaczego na początku lat 90. policja i prokuratura nie zajęły się tropem mówiącym o wciągnięciu Jarosława Ziętary do radiowozu, chociaż ta informacja pojawiła się w śledztwie? Są tylko dwie odpowiedzi na to pytanie: albo zlekceważono ten trop, uznając go za nieprawdopodobny, albo ktoś w policji krył swoich byłych kolegów pracujących w prywatnej firmie.

Jak wynika ze skierowanego do poznańskiego sądu w czerwcu 2015 r. aktu oskarżenia przeciwko Aleksandrowi Gawronikowi, już po uprowadzeniu Jarosława Ziętary jeden z pracowników Elektromisu, Marek Z., przeszukał biurko dziennikarza w redakcji „Gazety Poznańskiej”, podając się za policjanta.

Teraz Aleksander Gawronik oczekuje na proces, w którym jest oskarżony o nakłanianie do zabójstwa dziennikarza. Czy kiedykolwiek poznamy powody, dla których został zamordowany Jarosław Ziętara? Tego nie wiemy, ale na pewno ktoś go zabił „nie za to, co napisał, ale za to, co dopiero mógł napisać”, jak powiedział w 1993 r. w rozmowie z „Gazetą Poznańską” nieżyjący już abp Jerzy Stroba.

ROZDZIAŁ 4

PIOTR JAROSZEWICZ. TADEUSZ STEĆ. JERZY FONKOWICZ

Tajemnice niemieckich archiwów

Czerwiec 1945, pałac w Radomierzycach. Trzech młodych wojskowych: Piotr Jaroszewicz, Tadeusz Steć i Jerzy Fonkowicz, wchodzi do budynku. Nie spodziewają się, że za chwilę znajdą jedno z najcenniejszych dokumentów — tajne archiwa, których uciekający Niemcy nie zdołali zniszczyć. Dokumenty przejmują Sowieci, jednak zanim to się stało, jedna skrzynka z papierami trafia do samochodu Polaków. Poza nimi nikt nie wie, co się w niej znajdowało.

Noc z 31 sierpnia na 1 września 1992 r. W willi w Aninie brutalny w sposób zostaje zamordowany 83-letni Piotr Jaroszewicz i jego żona Alicja.

Noc z 11 na 12 stycznia 1993 r. W mieszkaniu w Jeleniej Górze zostaje zabity 68-letni Tadeusz Steć.

Noc z 7 na 8 października 1997 r. W swoim domu ginie 75-letni Jerzy Fonkowicz.

Te trzy zabójstwa, mimo że zostały dokonane w różnych miejscach i w innym czasie, mają wspólny mianownik: do zbrodni doszło w nocy, ofiary były przed śmiercią bite, z ich domów zginęły niemieckie dokumenty, wszyscy trzej w 1945 r. byli w Głównym Zarządzie Informacji Wojskowej, każdy z nich był kolekcjonerem znaczków, a w domu posiadał cenne zbiory i dokumenty. I co najważniejsze: mimo długotrwałych śledstw sprawców tych okrutnych zbrodni nigdy nie znaleziono.

Piotr Jaroszewicz, Jerzy Fonkowicz (wówczas był szefem Oddziału III Głównego Zarządu Informacji WP) i Tadeusz Steć znaleźli w Radomierzycach tysiące teczek zawierających tajne dokumenty Głównego Urzędu Bezpieczeństwa III Rzeszy. Miały tam być akta personalne, listy, plany; głównie archiwa wywiadu francuskiego, belgijskiego i holenderskiego. Miało się tam

także znajdować archiwum paryskiego gestapo, zawierające listy konfidentów. Były to dane o ludziach, ich ciemnych interesach i kolaboracji z Niemcami oraz wydarzeniach prowokowanych przez niemieckie tajne służby, w których uczestniczyły znane osobistości. Tymi sprawami zajmowała się jedna z grup VI Departamentu RSHA, którym kierował Walter Schellenberg. Paczki z wybranymi dokumentami pozostały w samochodzie Piotra Jaroszewicza. Innymi archiwaliami w pałacu zajął się sowiecki wywiad. Pod koniec lipca 1945 r. radomierzyckie archiwum wyeksponowano do ZSRS, ale wcześniej miało zostać zmikrofilmowane. W 2007 r. Biuro Wywiadu Kryminalnego Komendy Głównej Policji przychyliło się do hipotez, że zabójstwo Jaroszewiczów miało związek z niemieckim archiwum.

Piotr Jaroszewicz Premier, który wiedział wszystko

W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 r. w luksusowej dzielnicy Warszawy nieznanymi sprawcami zamordowali byłego premiera Piotra Jaroszewicza i jego żonę Alicję Solską. O politycznym motywie tej zbrodni był przekonany Rosjanin Piotr Kostikow, w latach 1964—1980 szef sektora Polski Wydziału Łączności z Bratnimi Partiami Krajów Socjalistycznych KC KPZR, o czym napisał w swojej książce *Widziane z Kremla*. Sprawców brutalnego mordu nie odnaleziono do dziś.

Zdaniem najbliższych współpracowników Piotra Jaroszewicza motywu zbrodni należy szukać w przeszłości, jak się jednak okazuje, nie jest to takie proste. W Instytucie Pamięci Narodowej na temat Piotra Jaroszewicza zachowało się niewiele dokumentów. Niewykluczone, że zostały zniszczone te najważniejsze, które mogłyby rzucić światło na rzeczywistą działalność byłego premiera w czasie II wojny światowej i w okresie PRL; możliwe jest również i to, że trafiły do czyjś nielegalnego archiwum jak niektóre dokumenty wykradzione z MSW pod koniec lat 80.

Do dziś nie odnaleziono dokumentów dotyczących działalności Piotra Jaroszewicza w ZSRS. W aktach IPN zachowała się jedynie notatka z

życiorysem polityka. Wynika z niej, że urodził się 8 października 1909 r. w Nieświeżu. Otrzymał wyższe wykształcenie pedagogiczne, w latach 1929—1933 był nauczycielem szkoły powszechnej w powiecie garwolińskim. Należał do ZMW, Legionów Młodych i PPR. W 1939 r. był dyrektorem szkoły średniej w Bereźnie. Po wybuchu II wojny światowej znalazł się w sowieckiej strefie okupacyjnej: był robotnikiem leśnym, pracował w Stalingradzie, był kołchoźnikiem w Kazachstanie. W 1943 r. trafił do armii Berlinga i błyskawicznie awansował — był zastępcą dowódcy ds. polityczno-wychowawczych. Od sierpnia do grudnia 1945 r. pełnił obowiązki szefa Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego — formacji będącej pod szczególną kuratelą najpierw NKWD, a następnie Głównego Zarządu Informacji Wojskowej, który był odpowiedzialny, oprócz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, za masowe represje, tortury i zbrodnie sądowe wśród żołnierzy Wojska Polskiego, Armii Krajowej (AK), Wolności i Niezawisłości (WiN), Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) oraz ludności cywilnej.

Pod koniec 1945 r. Piotr Jaroszewicz został mianowany na generała brygady i jednocześnie powołany na stanowisko głównego kwatermistrza LWP. W latach 1945—1950 był wiceministrem obrony narodowej. Ze skąpych archiwów można wywnioskować, że od lat 40. władze PRL, a także ich przełożeni w Moskwie, otaczali Jaroszewicza szczególną kuratelą. W sprawie Mariana Spychalskiego (oskarżonego o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i odsuniętego od stanowisk państwowych, wykluczonego z KC PZPR i aresztowanego) nazwisko Piotra Jaroszewicza, przyszłego premiera, pojawia się w kilku miejscach. Sprawa Spychalskiego zaczęła się w 1947 r., gdy funkcjonariusze Głównego Zarządu Informacji znaleźli w Gdańsku przedwojenne dokumenty Ministerstwa Spraw Wojskowych. Opracowywała je współpracownica Spychalskiego Stanisława Sowińska „Barbara”. Natrafiono na pokwitowania kasowe i życiorysy różnych ludzi, którzy w 1947 r. zajmowali wysokie stanowiska w administracji państwowej Polski Ludowej.

Z dokumentów wynikało, że byli oni współpracownikami przedwojennego kontrwywiadu, „dwójki” — komórki m.in. zwalczającej komunistów. Najważniejsze nazwiska to Włodzimierz Lechowicz i Alfred Jaroszewicz —

przyrodni brat Piotra. Jaroszewicz i Lechowicz byli w tym czasie posłami Stronnictwa Demokratycznego, współpracownikami Władysława Gomułki i od czasu wojny mieli powiązania ze Spsychalskim. Gomułka, gdy się dowiedział o znalezionych archiwach, zbagatelizował te informacje. Jakub Berman i Bolesław Bierut (agent NKWD, podobnie jak Lechowicz) o całej sprawie dowiedzieli się w połowie 1948 r. Zapadła decyzja o rozpracowaniu operacyjnym Lechowicza, Jaroszewicza i reszty. Ale Lechowicz i Jaroszewicz, mimo że byli pracownikami sanacyjnego kontrwywiadu, w rzeczywistości infiltrowali „dwójkę” na rzecz wywiadu sowieckiego. Podczas wojny i po niej zaliczali się do jednych z najwyżej uplasowanych agentów komunistycznych, najpierw w Delegaturze Rządu RP, a potem w Stronnictwie Demokratycznym. Podjęcie działań operacyjnych przez bezpiekę, aresztowanie ponad 100 osób powiązanych z Lechowiczem, Jaroszewiczem, a także ze Spsychalskim, miało na celu pozbycie się przeciwników politycznych, a kilkuletnia praca na rzecz ruchu komunistycznego miała być zamieniona w zdradę.

Właśnie w dokumentach ze sprawy Spsychalskiego można odnaleźć informacje na temat Piotra Jaroszewicza. W trakcie zeznań jeden ze świadków stwierdził, że Piotr Jaroszewicz, przyrodni brat Alfreda, pracuje w Informacji Wojskowej. (Informacja Wojska Polskiego i jej organy powstały na terenie Związku Sowieckiego; ten organ kontrwywiadu wojskowego działający w Polsce w latach 1944—1957 był odpowiedzialny, oprócz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, za masowe represje wśród żołnierzy Wojska Polskiego, Armii Krajowej oraz ludności cywilnej). W sprawie Spsychalskiego zachowało się także oświadczenie dotyczące Piotra Jaroszewicza, w którym czytamy: „Stawiając generała na świadka w procesie, należy się zastanowić, czy gen. nie zgadzał się z jego [Spsychalskiego — red.] polityką personalną, co może doprowadzić do skompromitowania Generała”. Ostatecznie do przesłuchania i kompromitacji nie doszło i Piotr Jaroszewicz piał się po szczeblach partyjnej i wojskowej kariery. Sprawa Spsychalskiego, Lechowicza i Alfreda Jaroszewicza zakończyła się dopiero w 1956 r.: zostali oni wypuszczeni z więzienia, zrehabilitowani i przywrócenii do partii.

* * *

Znajdujące się w IPN akta dotyczą m.in. internowania Piotra Jaroszewicza w grudniu 1981 r. Był on w grupie 36 byłych PZPR-owców, których przewieziono helikopterem do ośrodka Głębokie k. Drawska, później do Tromnik w byłym województwie siedleckim.

Internowanie Jaroszewicza poprzedziło pismo z 10 grudnia 1981 r. od płk. Kazimierza Paskudzkiego do wiceministra MSW gen. Władysława Ciastonia. W piśmie znalazło się nazwisko Jaroszewicza. „Wymienione osoby korzystały z finansowania przez niektóre instytucje i przedsiębiorstwa w spłacaniu budowanych dla nich domów mieszkalnych oraz przyjmowały kosztowne prezenty” — pisał płk Paskudzki. Korupcyjne zarzuty kierowane pod adresem Jaroszewicza nie zostały potwierdzone przez prokuraturę. Z powodu złego stanu zdrowia zwolniono go z internowania pod koniec grudnia 1982 r., oddano mu także prywatny arsenał broni zarekwirowany podczas zatrzymania.

Według nieoficjalnych informacji wpływ na zwolnienie Jaroszewicza i niepostawienie mu zarzutów miała Moskwa. O jego bardzo bliskich kontaktach z sowieckimi politykami i wojskowymi z GRU (wywiadu wojskowego ZSRS) mówili podczas przesłuchań urzędnicy z otoczenia byłego premiera.

Piotr Jaroszewicz znał doskonale język rosyjski i miał bardzo duże notowania w ZSRS. Gdy był chory i nie mógł z Edwardem Gierkiem pojechać do Moskwy, to zaproponowano zmianę terminu wizyty — zeznała Teresa Rymsza, wieloletnia sekretarka Piotra Jaroszewicza.

Z kolei Aleksander Kopeć, minister przemysłu maszynowego w rządzie Jaroszewicza, zeznał, że były premier pisał liczące 1800 stron pamiętniki, które miały być opublikowane w trzech częściach. Jaroszewicz miał pisać m.in. o kulisach Katynia i o kulisach puczu moskiewskiego w sierpniu 1991 r., gdy doszło do nieudanej próby obalenia sekretarza generalnego KPZR Michaiła Gorbaczowa przez kilku czołowych działaczy KPZR i generałów radzieckich w celu powstrzymania zmian społeczno-gospodarczych i rozpadu ZSRS.

Zdaniem Kopia życzeniem Piotra Jaroszewicza było, by pamiętniki

opublikować dopiero po jego śmierci. Być może powodem takiej decyzji była jego przeszłość oraz fakt, że Jaroszewicz jako premier sprawował nadzór nad służbami specjalnymi. Treść pamiętników miała doskonale znać Alicja Solska. Kopeć pomagał Jaroszewiczowi w kompletowaniu materiałów pamiętnikarskich: przynosił m.in. dane statystyczne i kserokopie dokumentów.

Piotr Jaroszewicz przygotowywał także drugie wydanie książki *Przerwane milczenie*. Pierwsze spotkało się z dużym zainteresowaniem, zwłaszcza byłych aparaczyków PZPR. Józef Świeciński zeznał, że przed wydaniem pozycji skontaktował się z nim Włodzimierz Łoziński, rzecznik prasowy ówczesnego prezydenta RP gen. Wojciecha Jaruzelskiego. „Zakomunikował mi, że urząd prezydenta byłby zainteresowany zapoznaniem się z treścią książki” — zeznał Świeciński. Jego zdaniem Jaruzelski nie poznał treści książki przed jej oficjalnym wydaniem.

Inny świadek zeznał, że Piotr Jaroszewicz w drugim wydaniu *Przerwanego milczenia* miał wykorzystać dokumenty mające w złym świetle przedstawić ekipę gen. Jaruzelskiego.

Bohdan Roliński, dziennikarz „Trybuny Ludu”, przeprowadził rozmowy z Jaroszewiczem, które stanowiły część książki. Kolejne wywiady miały być w drugim wydaniu.

Roliński zeznał, że wiele wątków nie znalazło się w druku, m.in. sprawy z pogranicza polsko-radzieckiego: rozgrywki między obozem „krajowym” a Moskwą.

Piotr Jaroszewicz miał też opisać kulisy śmierci gen. Karola Świerczewskiego, która została jakoby zaaranżowana przez gen. Jurija Żukowa (z ramienia NKWD „opiekował” się Polską). Świerczewski zginął, ponieważ Żukow powiedział mu o sposobie wprowadzenia agentów radzieckich na teren Polski. Proceder polegał na przysyłaniu do Polski ludzi podstawionych za Polaków, którzy faktycznie zginęli na terenie ZSRS. Jaroszewicz miał opisać „matrioszki” (tak nazywano Rosjan wychowanych jako Polaków pod nazwiskami obywateli RP zamordowanych na terenie ZSRS), miał także podać nazwiska wysoko postawionych działaczy KC i wojska, którzy w rzeczywistości byli „matrioszkami”.

Przez lata wyśmiewano w Polsce fakt istnienia „matrioszek” — jedną z nielicznych osób, które zwracały uwagę na problem wyszkolonych sobowtórów, był prof. Paweł Wieczorkiewicz, co podkreślił dr hab. Sławomir Cenckiewicz w swojej książce pt. *Długie ramię Moskwy*. Dr Cenckiewicz przytacza w niej „Notatkę służbową dotyczącą nielegalistów” opracowaną przez ppłk. Mirosława Wojciechowskiego.

Należy wytypować z tego środowiska [w opracowaniu Wojciechowskiego jest mowa o Stanach Zjednoczonych — red.) młodego człowieka i nielegalnie przywieźć go do Polski, a na jego miejsce nielegalnie wywieźć naszego człowieka posługującego się tożsamością wywiezionego. (...) W oparciu o nagrane opowiadania przywiezionego będzie można przeszkolić kandydata na nielegalistę i wytransportować do USA

— pisał ppłk Wojciechowski, który czerpał wzorce z GRU. To właśnie sowieckie służby specjalizowały się w tworzeniu „matrioszek”, o czym doskonale wiedział Piotr Jaroszewicz, będący zaufanym człowiekiem Moskwy.

W swojej kolejnej książce Jaroszewicz chciał opisać wypadek gen. Sylwestra Kaliskiego. Zdaniem byłego premiera miał on zostać ukartowany i było to *de facto* morderstwo. Gen. Kaliski był specjalistą w zakresie fizyki; podał teorię ciągłego wzmacniania ultradźwięków i hiperdźwięków w kryształach półprzewodnikowych; był inicjatorem polskich badań nad mikrosyntezą termojądrową za pomocą lasera; był posłem na Sejm, ministrem nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Zginął tragicznie w 1978 r. w wypadku samochodowym. Według niepotwierdzonych informacji, otrzymanych od oficera WP, Sylwester Kaliski został zamordowany przez KGB, ponieważ pracując nad całkowicie polską bombą wodorową, nie zgodził się na podzielenie się wiedzą ze Związkiem Sowieckim.

Piotr Jaroszewicz nosił się z zamiarem opisanie szczegółów zniknięcia złota z FON (Funduszu Obrony Narodowej).

W 1989 r. złotem FON-u zajął się Sejm i Senat, a 12 grudnia 1989 r. także minister sprawiedliwości.

Prokurator generalny Aleksander Bentkowski zlecił śledztwo Prokuraturze Wojewódzkiej w Warszawie, przy współpracy Najwyższej Izby Kontroli, która działała na polecenie Sejmu. Sprawę powierzono Zespołowi Obrony Narodowej i Spraw Wewnętrznych, do którego kompetencji należy m.in. kontrola działalności gospodarczo-finansowej resortu obrony narodowej, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Kierownikiem ekipy badającej sprawę FON-u był płk Stanisław Nowak. W l. 1990 powstała Komisja Obywatelska pod przewodnictwem prof. Aleksandra Gieysztora [poprawna pisownia: Gieysztora — red.], chcąc swoim działaniem wesprzeć śledztwo podjęte z urzędu. Obie komisje, działając ponad rok, dokonały ogromnej pracy, przeszukując dziesiątki tysięcy stron dokumentów, badając archiwa w kraju i w Londynie. Odkryto wiele dalszych nieprawidłowości w zarządzaniu majątkiem FON-u, jak np. fakt, że gdzieś z NBP „zniknęło” 26 kg złotych monet (3981 monet). Nie było jednak możliwe sformułowanie aktu oskarżenia przeciwko sprawcom sprzeniewierzenia złota FON-u, gdyż nie pozwalały na to luki w dokumentacji celowo zniszczonej. Śledztwo zostało umorzone — pisał historyk dr Leszek Szcześniak.

Z dokumentów wynika, że Piotr Jaroszewicz mógł wiedzieć, co stało się z złotem FON-u i kto jest odpowiedzialny za defraudację.

* * *

Piotr Jaroszewicz przed śmiercią miał poczucie, że jest inwigilowany. Zeznał o tym Stanisław Kociołek (wicepremier, członek Biura Politycznego KC PZPR, były ambasador PRL w Moskwie), inni świadkowie mówili, że o ważnych sprawach nie rozmawiano w domu, lecz w ogrodzie. Teresa Rymsza zeznała, że „szef obawiał się podsłuchu w swoim domu. Był bardzo ostrożny podczas prowadzenia rozmowy. Po wypiciu kawy w bibliotece wychodziliśmy na rozmowę do ogrodu. Przypominam sobie, że w szafie znaleziono podsłuch”.

Były premier miał stałą porę wieczornych spacerów z psem, ale kilka tygodni przed śmiercią zaczął wychodzić później niż zwykle. Żonie oględnie powiedział, że się z kimś spotyka. Zaczął też zabierać ze sobą pistolet, który

zawsze leżał przy nim, gdy był w domu. Do dziś nie wiadomo, z kim się spotykał były premier.

Do podwójnego zabójstwa doszło w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 r., tuż po wyjeździe do USA córki Alicji Solskiej, Hanny, która przyjechała do domu matki i ojczyma na wakacje z dziećmi. Zabójcy doskonale widzieli, że starsze małżeństwo jest samo. Specjalnie szkolony pies obronny sznaucer olbrzymi został ogłuszony w domu paralizatorem. Zabójcy albo byli znajomymi byłego premiera, albo dostali się w momencie, gdy zdjął on aparat słuchowy. Ta druga hipoteza jest jednak mało wiarygodna ze względu na psa, który zawsze atakował intruzów. Nie zrobił tego tej nocy, a pistolet, który leżał na stoliku, nie był używany. Piotr Jaroszewicz był przed śmiercią torturowany, a sprawcy zmienili mu koszulę. Dlaczego to zrobili? Nie wiadomo. Nie wiadomo też, jakie dokumenty podpisywał przed śmiercią — wskazywał na to fakt, iż oprawcy przywiązali go do fotela, ale zostawili wolną prawą rękę.

Żona Piotra Jaroszewicza była w tym czasie w sypialni na piętrze i najprawdopodobniej spała. Sekcja zwłok wykazała w jej organizmie pochodną benzodiazepiny — silnego środka psychotropowego o działaniu uspokajająco-nasennym. Napastnicy położyli ją na kołdrze w łazience, a pod głowę podłożyli jej małą poduszkę. Zginęła od strzału w głowę z myśliwskiego sztucera.

Policję o zbrodni powiadomił Jan Jaroszewicz, który zaniepokojony, że rodzice nie odbierają telefonu, pojechał do Anina.

Już na początku śledztwa policja jako główny motyw zbrodni przyjęła rabunek, chociaż w domu Jaroszewiczów było wiele cennych przedmiotów, których sprawcy nie zabrali. Mało tego, w aktach śledztwa znalazł się zapis, że sprawcy pozostawili pieniądze, stwierdzono „brak śladów tzw. ślepego płądrowania, a dom nie nosił widocznych śladów włamania”.

Zabójcy skupili się na gabinecie Piotra Jaroszewicza — widać było, że ktoś intensywnie przeglądał zgromadzone tam dokumenty, i było to jedyne pomieszczenie w całym domu, które oprawcy przeszukali. „Nowe Państwo” ujawniło, że metalowa szafa pancerna była niemal pusta — znaleziono puste koperty, kartonowe pudełka i niewypełniony, wydrukowany w języku rosyjskim formularz, którego mordercy nie zabrali najprawdopodobniej tylko dlatego, że

niezauważony wpadł pod szafę. Czego dotyczył ów dokument? Nie wiadomo, bo nikt nie pokusił się o jego przetłumaczenie i nie ma go w aktach śledztwa. Co ciekawe, metalowa szafa pancerna, stanowiąca swoisty sejf, była dla byłego premiera miejscem, którego strzegł jak skarbu. Rodzina i znajomi w trakcie śledztwa zeznali, że polityk nigdy nie zostawiał szafy pancernej otwartej, a klucz nosił przy sobie.

Bandytów interesowały także książki — po otwartych drzwiach regału bibliotecznego widać było, że czegoś w nich szukali. Śledczy nie zainteresowali się tym, że wszystkie gałki od szafek były pourywane — ktoś zadał sobie niemało trudu, by wyrwać i zbadać każdy uchwyt. Czego szukano? Być może mikrofilmów — wśród znajomych Piotra Jaroszewicza krążyły informacje, że ma on w domu pokaźne archiwum, które może położyć kres karierze kilku znanych polityków.

Akta sprawy zabójstwa Piotra Jaroszewicza i jego żony w kwietniu 2005 r. trafiły do policjantów z tzw. Archiwum X, zajmujących się wyjaśnianiem zawyłych zagadek kryminalnych. Do zabójców mogłyby prowadzić odciski palców, które zabezpieczono na miejscu zbrodni: odcisk z ciupagi, za pomocą której uduszono Piotra Jaroszewicza, odciski palców z przeciwsłonecznych okularów na jego biurku, odciski pobrane z szafy w gabinecie, fragmentaryczny odcisk kciuka pozostawiony na sztucerze, z którego zastrzelono Alicję Solską. Okazało się jednak, że folie daktyloskopijne z odciskami zabezpieczonymi w domu byłego premiera zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie było ich w aktach, które policja dostała z warszawskiego sądu okręgowego. Po interwencji policji i inwentaryzacji magazynu dowodów rzeczowych w sądzie odnalazły się jedynie kasety wideo z nagraniem wizji lokalnej.

Z akt śledztwa zabójstwa byłego premiera i jego żony wyłania się obraz koszmarnych błędów popełnionych przez policję i prokuraturę podczas oględzin miejsca zbrodni. Niedopałki papierosów rzucające przez funkcjonariuszy, roznoszenie na butach krwi, dotykanie sprzętów przed badaniami daktyloskopijnymi — to zaledwie kilka z długiej listy zaniedbań urzędników państwowych, którzy powinni zadbać o jak najdokładniejsze zabezpieczenie śladów. Synowi zamordowanego premiera i jego żony, Janowi,

oddano kasetkę bez spisania zawartości i bez dokładnego sprawdzenia, co się w niej znajdowało. W aktach sprawy jest lakoniczny komunikat, że były to kosztowności. Policja szybko złapała domniemanych zabójców. Byli to recydywiści z Mińska Mazowieckiego: Krzysztof R. „Faszysta”, Waclaw K. „Nianiek”, Henryk S. „Sztynwy” i Jan K. „Krzaczek”, którzy zostali oskarżeni o zamordowanie Alicji i Piotra Jaroszewiczów. Ostatecznie wszyscy zostali uniewinnieni, a skarb państwa wypłacił im wysokie odszkodowania za niesłuszne aresztowanie. Policjanci i prokuratorzy, którzy prowadzili śledztwo, awansowali, m.in. prokurator Zbigniew Goszczyński był wiceszefem Prokuratury Okręgowej w Warszawie, a w rządzie Leszka Millera wiceszefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

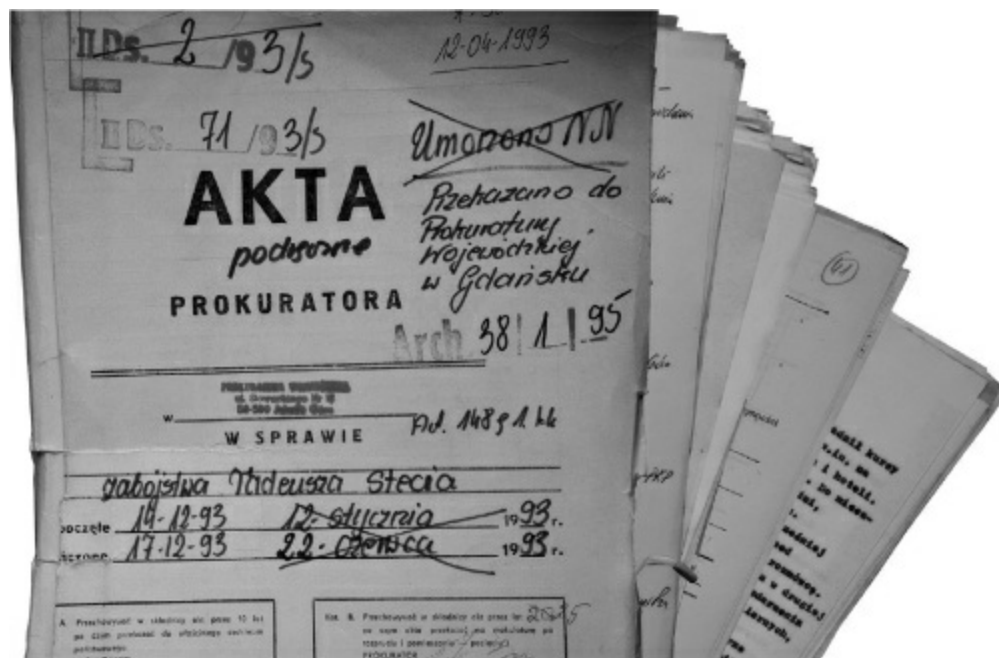
Zabójców premiera i jego żony nie odnaleziono do dziś.

Tadeusz Steć Przewodnik, który wiedział o skarbach III Rzeszy

Ranek 12 stycznia 1993 r. Jelenia Góra, ul. Orła 3/4. Do mieszkania Tadeusza Stecia, znanego sudeckiego przewodnika, przychodzi Bogusław Gajos, który ma zawieźć znajomego na badania do szpitala. Gajos puka do drzwi, ale nikt nie otwiera, nie słyhać też z mieszkania żadnych odgłosów. Mężczyzna dzwoni na policję, podejrzewając, że jego znajomy mógł dostać zawału. Na miejsce przyjeżdżają funkcjonariusze policji z komisariatu II Jelenia Góra-Cieplice razem ze ślusarzem, który otwiera drzwi. W stołowym pokoju znajdują ciało Tadeusza Stecia — już na pierwszy rzut oka widać, że został zamordowany. Policjanci zawiadamiają komendę wojewódzką — na miejsce przyjeżdża grupa operacyjno-śledcza z prokuratorem i lekarzem, który stwierdził, że Tadeusz Steć nie żyje już od kilku godzin, zginął około północy od ciosów w głowę, zadanych najprawdopodobniej młotkiem. Policja nie natrafiła na ślady włamania do mieszkania przewodnika. Prawdopodobnie sam wpuścił zabójcę do domu, choć z wiekiem stał się bardzo nieufny. Zdarzało się, że nie otwierał i rozmawiał jedynie przez drzwi. Śledczy nie wykluczali, że przewodnik mógł być przed śmiercią torturowany. Przy jego nodze stał włączony grzejnik, który

spowodował oparzenie. Możliwe też, że powstało ono po jego śmierci. W mieszkaniu panował bałagan — możliwe, że częściowo zrobili go napastnicy, ale trudno było to jednoznacznie stwierdzić, ponieważ na co dzień Tadeusz Steć żył w takich warunkach.

Tadeusz Steć mieszkał samotnie, był czynnym przewodnikiem górskim, który oprowadzał liczne wycieczki krajowe i zagraniczne po regionie jeleniogórskim, pisał książki o tematyce krajoznawczej. W swoim mieszkaniu posiadał, co potwierdzają przeprowadzone oględziny mieszkania — zbiory różnych książek o tematyce krajoznawczej, starodruki, mapy, foldery, opracowania w języku niemieckim i polskim. Posiadał także liczną kolekcję znaczków pocztowych w klaserach, masę przeźroczy o tematyce turystycznej. Był zbieraczem i kolekcjonerem różnych staroci dotyczących tutejszego regionu. Ponadto ustalono, że posiadał rozległe kontakty z różnymi ludźmi oraz instytucjami, gdzie między innymi jeździł w celu wygłaszania różnego rodzaju prelekcji o tematyce turystycznej i regionalnej. Prowadził kursy przewodników górskich, zakładał koła turystyczne m.in. w jednostkach wojskowych — czytamy w „Planie czynności śledczych” sporządzonym 12 stycznia 1993 r.



Podręczne akta prokuratora o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa Tadeusza Stecia



Prokurator Marcin Zarówny z Prokuratury Rejonowej w Jeleniej Górze w 2009 roku jeszcze raz analizował akta niewykrytego zabójstwa Tadeusza Stecia

14 stycznia 1993 r. o zabójstwie sudeckiego przewodnika został powiadomiony Departament Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości.

Dla wielu osób z Jeleniej Góry nie było tajemnicą, że Tadeusz Steć, człowiek bardzo wysoko ustosunkowany i mający znajomości w kręgach władzy, był właścicielem zbioru dokumentów, cennych starodruków i różnych zabytków. Jego zbiory w 1995 r. przejęło Muzeum Karkonoskie, ale żadnych cennych przedmiotów w przejętej kolekcji nie było. Dokumenty mogły zostać wyniesione z mieszkania Tadeusza Stecia już po jego śmierci.

W aktach śledztwa wszczętego 12 stycznia 1993 r., następnego dnia po śmierci Tadeusza Stecia, znajdują się postanowienia o przeszukaniu mieszkań, domów i pomieszczeń gospodarczych osób, które mogły mieć kontakt z sudeckim przewodnikiem. Przeszukania miały miejsce zaledwie trzy dni po zabójstwie, a w każdym z tych postanowień czytamy:

(...) dokonać przeszukania w celu znalezienia przedmiotów mogących stanowić dowód w sprawie, a w szczególności znaczków pocztowych, książek historycznych, starodruków i herbów.

Informacja o cennych zbiorach, które miał u siebie w domu Tadeusz Steć, znajduje się w aktach śledztwa.

W toku prowadzonego śledztwa dotyczącego zabójstwa Tadeusza Stecia zostałem poinformowany przez wykonującego czynności śledcze asp. R. Laskowskiego z Komendy Wojewódzkiej Policji w Jeleniej Górze, że w czasie oględzin miejsca zabójstwa ujawniono wartościowe przedmioty m.in. w postaci starodawnych map, widokówek niemieckich opracowań o tematyce geograficznej, leksykonów oraz encyklopedii. Przedmioty te znajdują się w mieszkaniu T. Stecia. Ze wstępnych ustaleń wynika, że mogą mieć one znaczną wartość artystyczną i historyczną.

Własność tych przedmiotów może budzić wątpliwości w świetle wypowiedzi byłego dyr. Archiwum w Jeleniej Górze Margasa [Czesława], który zgłosił się do mnie kilka dni po zabójstwie. Dyr. Margas oznajmił mi, że część opracowań ma wartość historyczną i stanowi własność archiwum państwowego — czytamy w zapisku urzędowym prokuratora Lesława Kwapiszewskiego sporządzonym 27 stycznia 1993 r.

* * *

Tadeusz Steć był dobrym gawędziarzem — oprowadzając wycieczki, jak z rękawa sypał historiami dotyczącymi Dolnego Śląska. Opowiadał m.in. o skarbach, które kryją miejscowe ziemie — o porzuconych przez uciekających Niemców w 1945 r. kosztownościach i dokumentach.

Czy mówił o swojej własnej historii? Nie wiadomo. Pierwszy o niemieckim archiwum napisał w 2006 r. Jerzy Rostkowski, pisarz, znawca Dolnego Śląska, poszukiwacz skarbów W książce *Radomierzycy. Archiwa pachnące śmiercią* opisał znalezienie w 1945 r. pałacu w Radomierzycach archiwum pozostawione przez Niemców. Tadeusz Steć doskonale znał niemiecki i miał być tłumaczem kierującego akcją oficera Piotra Jaroszewicza.

Według tygodnika „Newsweek” prawdziwym źródłem informacji o dokumentach znalezionych w Radomierzycach był funkcjonariusz PRL-owskich służb specjalnych Henryk Piecuch, emerytowany pułkownik Ludowego Wojska

Polskiego, żołnierz Wojsk Ochrony Pogranicza. „Całą historię radomierzycką wymyśliłem” — mówił „Newsweekowi” w 2010 r. Piecuch, który stwierdził, że był przyjacielem Tadeusza Stecia. Na próżno jednak szukać nazwiska Piecucha w aktach śledztwa zabójstwa sudeckiego przewodnika, chociaż przesłuchiowano wszystkich przyjaciół Stecia. Nie wiadomo też, dlaczego Piecuch zdecydował się mówić o „wymyślonych Radomierzycach” dopiero w 2010 r.

Jednak wbrew temu, co mówi Piecuch, istnienie archiwum w pałacu w Radomierzycach i porzucenie go przez uciekających hitlerowców potwierdzają inne, m.in. niemieckie, źródła.

Historia z radomierzyckiego pałacu to tylko niewielki wycinek tego, co uciekający Niemcy zostawili na Dolnym Śląsku. Ten region od 1945 r. stał się przysłowiową mekką dla poszukiwaczy skarbów. Do dziś na tym terenie są odnajdywane cenne znaleziska pozostawione przez Niemców. Część z nich jest jednak pilnie strzeżona — zdarzały się przypadki, że dochodziło do pobic poszukiwaczy. Przez lata krążyły opowieści o skarbach — dla jednych były to dokumenty z cennymi informacjami, dla innych porzucone precjoza i dzieła sztuki. Opowieści te były przytaczane przez górskich przewodników, o skarbach mówił także Tadeusz Steć. Tak jak o słynnym „złotym pociągu”, który w sierpniu 2015 r. miał zostać odnaleziony w okolicach Wałbrzycha.

Sprawa „złotego pociągu” do dziś rozpała emocje — miały się w nim znajdować tajne dokumenty, dzieła sztuki i złoto. Pociąg wyruszył jakoby w listopadzie 1944 r. z zakładów zbrojeniowych w Petersdorfie, miał zostać zatrzymany, a cała obsługa zamordowana. Niemieckich kolejarzy zastąpili esesmani. Pociąg ruszył dalej i miał wjechać tajnym tunelem do podziemnego kompleksu w górze Sobiesz pod Piechowicami na Dolnym Śląsku.

W sierpniu 2015 r. do władz powiatowych w Wałbrzychu wpłynęło pismo, w którym dwaj poszukiwacze skarbów: Polak Piotr Koper i Niemiec Andreas Richter, stwierdzili, że wiedzą, gdzie znajduje się „złoty pociąg”. Zadeklarowali, że wskażą miejsce, gdzie jest skarb, w zamian za 10 proc. znaleźnego.

Zawiadamy o znalezieniu pociągu pancernego z czasów II wojny światowej.

Pociąg ten zawiera prawdopodobnie dodatkowe urządzenia w postaci np. dział

samobieżnych ustawionych na platformach. Mieści w sobie także przedmioty wartościowe, cenne materiały przemysłowe oraz kruszce szlachetne

— czytamy w piśmie skierowanym do Jacka Cichury, starosty powiatowego w Wałbrzychu. List napisali Małgorzata Sosnowska i Jarosław Chmielewski, radcy prawni reprezentujący odkrywców „złotego pociągu”, podkreślając, że ich klienci są wiarygodni.

„Złotym pociągiem” interesowali się nie tylko poszukiwacze skarbów, ale także służby specjalne zarówno PRL, jak i III RP. W czasach Polski Ludowej zajmowali się tym funkcjonariusze bezpieczeństwa cywilnej i wojskowej, a informacje z ich działalności były przekazywane bezpośrednio do Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka. Informacje na temat poniemieckich skarbów były zbierane od ludzi, którzy wiedzieli cokolwiek na ten temat — jednym z nich był Tadeusz Steć.

Po 1989 r. poniemieckich skarbów poszukiwali funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa z zespołu Jana Lesiaka. Ten były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa trafił do Urzędu Ochrony Państwa dzięki osobistemu wstawiennictwu Jacka Kuronia, którego Lesiak rozpracowywał w czasach PRL (podobnie jak Adama Michnika). „Gdyby nie pomoc Jacka Kuronia, Lesiak, jak niemal wszyscy funkcjonariusze III Departamentu zajmującego się tzw. nadbudową: inteligencją, naukowcami, pisarzami, artystami, adwokatami, zostałby pozbawiony szansy pozostania w służbach” — pisał w 2007 r. w „Dzienniku” Jerzy Jachowicz.

W UOP Lesiak był szefem zespołu, który zajmował się głównie inwigilacją prawicy. Główny trzon zespołu Lesiaka stanowili dawni funkcjonariusze SB z Departamentu III MSW.

Jan Lesiak sprawą „złotego pociągu” zajął się w czasie, gdy premierem rządu był Józef Oleksy (7 marca 1995—26 stycznia 1996).

Dlaczego służby specjalne III RP zainteresowały się skarbem III Rzeszy? Jak ujawniła w 2006 r. Joanna Lamparska (archeolog, pisarka zajmująca się m.in. tematyką Dolnego Śląska) na łamach tygodnika „Wprost”, w październiku 1997 r. w Urzędzie Ochrony Państwa zostało złożone pismo sporządzone przez

Władysława Podsibirskiego, mieszkającego pod Warszawą poszukiwacza skarbów.

„Zwracam się z uprzejmą prośbą o udostępnienie kserokopii dokumentów, które zostały przejęte z Kielc (...) przez płk. Jana Lesiaka w maju 1995 r.” Podsibirski dołączył kopię umowy z Ministerstwem Finansów z 9 maja 1995 r., dotyczącej poszukiwań „złotego pociągu”. Według poszukiwacza skarbów UOP przywłaszczył sobie dotyczące ich dokumenty. Podsibirski złożył nawet zawiadomienie do Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, ale odmówiła wszczęcia postępowania.

Dlaczego przedstawiciele rządu Oleksego zainteresowali się poszukiwaniem hitlerowskiego skarbu?

Nie ma w tym nic dziwnego — oprowadzani w czasach PRL po Sudetach komunistyczni oficjele (a z takich składał się rząd Oleksego), wiedzieli o porzuconych przez Niemców skarbach. Dla nich jednym z cenniejszych źródeł informacji na ten temat był Tadeusz Steć. Co ciekawe, w 1975 r. pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Jeleniej Górze został Stanisław Ciosek, który chodził po górach razem z Tadeuszem Steciem. Zresztą nie tylko on — Steć był „etatowym” przewodnikiem partyjnych bonzów, których karmił opowieściami o ponemieckich skarbach, w tym także o „złotym pociągu”.

Podsibirski jako przewodniczący Zespołu Osób Prywatnych nawiązał kontakt ze Stanisławem Żelichowskim (Polskie Stronnictwo Ludowe), ministrem ochrony środowiska, zasobów naturalnych i leśnictwa w rządzie Oleksego.

Jak pisała w 1997 r. „Gazeta Pomorska”, Podsibirski przekazał Żelichowskiemu odręcznie narysowaną mapkę, a minister na posiedzeniu rządu 17 stycznia 1995 r. miał powiedzieć: „Znam miejsce ukrycia skarbu w Piechowicach”. Niedługo później powołano specjalny zespół, w skład którego weszli m.in. minister finansów Grzegorz Kołodko, Stanisław Żelichowski, szef UOP gen. Gromosław Czempiński i wiceminister finansów Jan Bogutyn (na początku lat 70. kierownik Wydziału Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie). To właśnie Bogutyn, jako przedstawiciel Ministerstwa Finansów, podpisał 9 maja 1995 r. z Podsibirskim (który występował w imieniu

Zespołu Osób Prywatnych) umowę dotyczącą warunków poszukiwania skarbu w Piechowicach. Określono w niej m.in. wysokość wynagrodzenia za odnalezienie skarbu — prawo Podsibirskiego do uzyskania nagrody podpisał Janusz Pezda, wojewoda jeleniogórski, który zwrócił się do gen. Janusza Ornatowskiego (absolwenta Wojskowej Akademii Sztabu Generalnego SZ ZSRS w Moskwie w czasie stanu wojennego), dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego, z prośbą o pomoc podczas wydobywania „złotego pociągu”.

W czasie prac wydobywczych koniecznym może się okazać udział i obecność saperów, dlatego też popierając to przedsięwzięcie uprzejmie proszę Pana Generała o rozważenie możliwości odpłatnego udzielenia takiej pomocy, na wniosek „Zespołu” i na jego koszt — napisał wojewoda jeleniogórski.

Mimo zaangażowania wojska i służb specjalnych w latach 90. nie znaleziono miejsca ukrycia „złotego pociągu”, a Władysław Podsibirski stracił całą dokumentację z nim związaną — przejął ją UOP i nigdy nie zwrócił.

* * *

Prowadzący śledztwo policjanci i prokuratorzy od samego początku przyjęli tylko jedną hipotezę — przyczyną śmierci Stecia były jego kontakty homoseksualne. Bo Steć był zadeklarowanym homoseksualistą, o czym doskonale wiedzieli jego bliźsi i dalsi znajomi — ta informacja pojawiła się już na początku śledztwa.

W toku przesłuchań mieszkańców bloku, w którym zamieszkiwał Tadeusz Steć, ustalono, że od momentu sprowadzenia się do tego budynku wymieniony wykazywał skłonności i zainteresowania do młodych mężczyzn, był czynnym homoseksualistą, co między innymi potwierdzają czynności wykonane podczas oględzin mieszkania — czytamy w aktach śledztwa.

W opracowanym w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Jeleniej Górze planie śledztwa wszystkie wersje i czynności śledcze zawęzają się do wątków

homoseksualnych. W niektórych punktach dochodził motyw rabunkowy, chociaż z mieszkania Tadeusza Stecia nie zginęły pieniądze i cenne precjoza.

Na dodatek w aktach jest wyraźnie napisane, że Tadeusz Steć był człowiekiem niezwykle ostrożnym i nie otwierał drzwi ludziom, których nie znał.

Był na tyle ostrożny, że kazał sobie zainstalować dodatkowe oświetlenie przed drzwiami do mieszkania na korytarzu i gdy ktoś do niego dzwonił, to kazał się przedstawić, stanąć w świetle i patrzył przez wziernik. Ostatnimi czasy był człowiekiem nieufnym i ostrożnym. Niemniej jednak wpuszczał młodych ludzi o skłonnościach jemu podobnych. Z zeznań wynika, że wielokrotnie był przez nich pobity, szantażowany i okradziony z pieniędzy, faktów tych jednak nie zgłaszał na policję z uwagi na to, że obawiał się zarzutu tych organów dotyczących deprawowania młodzieży. Z ustaleń operacyjnych wynika, że miał kontakty z osobami cywilnymi, szczególnie z ludźmi młodymi, jak i z żołnierzami z jednostek wojskowych stacjonujących na terenie Jeleniej Góry — czytamy w aktach śledztwa.

Analizując materiały zebrane przez policję i prokuraturę, odnosi się wrażenie, że śledztwo było celowo prowadzone w taki właśnie sposób. Dlaczego? Odpowiedzi na to pytanie jest co najmniej kilka. Według nieoficjalnych informacji nie przesłuchano homoseksualistów, którzy wówczas zajmowali kluczowe stanowiska, co wygląda na rozpostarcie nad nimi parasola ochronnego.

Nie zajęto się tropem archiwalnych materiałów i pozyskiwaniem cennych dokumentów przez Tadeusza Stecia. Nie zbadano jego kontaktów handlowych, nie wiadomo, od kogo kupował m.in. znaczki i starodruki. Jak podkreślali jego znajomi, tajemnicą poliszynela było to, że Steć ma w domu prawdziwe, niezwykle cenne muzeum. Niestety, nie odnaleziono u niego części materiałów, a przede wszystkim niemieckich dokumentów, o których mówili świadkowie. Nie odnaleziono też cennego starodruku pochodzącego najprawdopodobniej z XV wieku, chociaż był w domu Tadeusza Stecia w dniu zabójstwa. Niektóre materiały miały trafić do jeleniogórskiego archiwum, inne do miejscowego

muzeum. W muzeum znajdują się jedynie niemieckie pocztówki należące do Stecia.

Kilka miesięcy po zabójstwie wydawało się, że sprawa zostanie rozwiązana. Do tej i dwóch innych zbrodni przyznał się mieszkaniec Pomorza. Jego ofiarami byli homoseksualiści. Potem jednak odwołał wcześniejsze zeznania. Sąd skazał go za zabójstwo dokonane w Warszawie i usiłowanie zabójstwa profesora pomorskiej uczelni na 15 lat więzienia. Z zarzutu zabójstwa Tadeusza Stecia został oczyszczony.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Tadeusza Stecia zostało umorzone 17 grudnia 1993 r.

Pomimo zaangażowania do niniejszej sprawy wielu sił i środków nie ustalono do tej pory sprawców zabójstwa. Brak jest w tym kierunku istotnych informacji. Na obecnym etapie sprawa nie rokuje, że w najbliższym czasie zostanie ustalony sprawca zabójstwa Tadeusza Stecia. Mając powyższe na uwadze, należało śledztwo w niniejszej sprawie umorzyć wobec niewykrycia sprawców zabójstwa Tadeusza Stecia. Należy jednak podkreślić, iż z chwilą uzyskania istotnej informacji w tej sprawie odnośnie sprawcy zabójstwa bądź uzyskania istotnego dowodu śledztwo zostanie niezwłocznie podjęte — czytamy w postanowieniu o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa Tadeusza Stecia.

W 2009 r. prokurator Marcin Zarówny, ówczesny szef wydziału śledczego jeleniogórskiej prokuratury, postanowił jeszcze raz przeanalizować akta sprawy zabójstwa Tadeusza Stecia. Z dokumentów wynikało, że pewne wątki i tropy zostały pominięte, jednak — mimo dogłębnej analizy — nie udało się trafić na ślad prowadzący do zabójców sudeckiego przewodnika.

Jerzy Fonkowicz Kolekcjoner z Informacji Wojskowej

Konstancin-Jeziorna, noc z 7 na 8 października 1997 r., dom komunistycznego generała, 75-letniego Jerzego Fonkowicza. Trzech zamaskowanych mężczyzn

wchodzi do sypialni byłego wojskowego, torturuje go, a następnie pozbawia życia. Z domu generała napastnicy zabierają m.in. broń, cenne niemieckie starodruki, książki i dokumenty, które generał miał w swoim domowym archiwum. Sprawców zbrodni nie odnaleziono do dziś jak również zrabowanych dokumentów.

O zabójstwo Jerzego Fonkowicza zostali oskarżeni pospolici przestępcy znani wcześniej policji z brutalnych, bandyckich napadów. Ostatecznie zostali prawomocnie uniewinnieni, podobnie jak oskarżeni o zabójstwo małżeństwa Jaroszewiczów. Taki wyrok nie dziwi — nie znaleziono dowodów potwierdzających ich udział w zbrodni, a poza tym trudno uwierzyć, że pospolici przestępcy napadają na dom generała, torturują go, a następnie zabierają cenne rzeczy, o których wartości nie mają zielonego pojęcia, a które leżały w zasięgu ręki i były widoczne.

* * *

Czytając archiwalne dokumenty na temat działalności gen. Fonkowicza, bez trudu można stwierdzić, że był on osobą niezwykle wpływową. Należał do czołówki komunistycznych generałów, którzy przez wiele lat PRL mieli ogromne wpływy i wiedzę na temat ludzi komunistycznej władzy.

Swoją działalność Jerzy Fonkowicz zaczął jeszcze przed wojną — był członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (KZMP), organizacji kierowanej przez Komunistyczną Partię Polski (KPP). Jego mentorem — co sam przyznawał — był wówczas Władysław Mołotow, odpowiedzialny m.in. za ludobójstwo na Ukrainie (Wielki Głód) i zbrodnię katyńską — 5 marca 1940 r. na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego KPZR podpisał on decyzję o wymordowaniu 22 467 polskich oficerów, żandarmów, policjantów, osadników, ziemian i inteligentów więzionych w obozach NKWD.

Zapatrzony w Związek Sowiecki gen. Fonkowicz był instruktorem młodzieżowej organizacji Spartakus skupiającą młodzież żydowskiego pochodzenia. Po inwazji Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 r. powstała komunistyczna organizacja Związek Walki Wyzwoleńczej, w której

kierownictwie był Marian Spychalski, a której członkiem został Jerzy Fonkowicz. W lutym 1942 r., po powstaniu Polskiej Partii Robotniczej (PPR), Fonkowicz rozpoczął pracę w wywiadzie Gwardii Ludowej — zbrojnej organizacji PPR współpracującej z NKWD i gestapo w zwalczaniu polskiego podziemia niepodległościowego, co dokładnie opisał dr Piotr Gontarczyk w książce *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941—1944*.

Pod koniec 1942 r. sowieckie kierownictwo PPR skontaktowało Fonkowicza z Marianem Spychalskim, który powierzył mu pracę w oddziale informacji Gwardii Ludowej. Wkrótce Fonkowicz został szefem tego oddziału.

W styczniu 1944 r. Gwardia Ludowa zmieniła nazwę na Armia Ludowa, a Fonkowicz został dowódcą specjalnej grupy bojowej w Sztapie Głównym Oddziału II AL. Z racji zajmowanej funkcji kontaktował się m.in. z Piotrem Jaroszewiczem, Władysławem Gomułką i Marianem Spychalskim.

17 lutego 1944 r. na rozkaz Mariana Spychalskiego Fonkowicz przeprowadził akcję na archiwum Delegatury Rządu na Kraj przy ul. Poznańskiej 12 w Warszawie. W jej wyniku kontakt konspiracyjny Armii Krajowej ujawniony został gestapo za pośrednictwem podwójnego agenta Artura Jastrzębskiego, a AL zdobyła materiały o przedwojennej policyjnej agenturze w szeregach komunistów. Spowodowało to falę aresztowań żołnierzy AK. Akcja była możliwa, ponieważ do pracy w archiwum Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury zostali przyjęci przez Wacława Kupeckiego ps. „Kruk”, bez wnikliwego sprawdzenia, bliski współpracownik Jerzego Fonkowicza Bogusław Hryniewicz ps. „Aleksander” i „Boguś”, polski działacz komunistyczny, agent NKWD i sowieckiego wywiadu.

Wspólna grupa operacyjna NKWD/PPR i gestapo była gotowa. Gomułka relacjonował po wojnie przebieg dalszych wydarzeń z 17 lutego 1944 r.:

„(...) nasi ludzie spotkali się z «Bogusiem». Na podpunkcie, skąd ten zaprowadził ich na lokal, gdzie miały znajdować się dokumenty. Adresu tego lokalu obecnie nie pamiętam, było to gdzieś w śródmieściu (...). Zgodnie z informacjami Spychalskiego nasi ludzie po przyjeździe z «Bogusiem» na lokal delegatury, zastali tam gestapowców. (...) «Boguś» przedstawił kierownikowi tej akcji członków AL jako

«swoich ludzi», sam zaś udał się do skrytki, gdzie znajdowało się archiwum, zabrał z niej część dokumentów i wyszedł z lokalu. Członkowie AL, wraz z pozostałymi uczestnikami tej akcji, pozostali w lokalu. W tym samym czasie do mieszkania tego przyszło kilku członków delegatury, w tym przodownik policji granatowej, których gestapowcy zatrzymali i pobili. (...) w rewizji jak i zatrzymaniu pracowników delegatury ludzie Fonkowicza nie brali udziału. W pewnej chwili kierownik tej akcji [z Gestapo] polecił jednemu z członków AL podać właścicielowi mieszkania szklanę z jakimś napojem, w którym miała znajdować się trucizna. (...) Po kilku godzinach na lokal powrócił «Boguś», ale już bez materiałów, zabrał ze sobą ludzi Fonkowicza, oświadczając im, że na tym ich udział w akcji się kończy. Zdobytych materiałów im nie wręczył, otrzymał je Spychalski, tego samego czy też dopiero na następny dzień”.

Przyjął : GEMIELSKI-mjr
Data : 17.X.1952 r.

AG. DONIESIENIE

I. Płk.FONKOWICZ w rozmowach często w różnych okolicznościach wspomina że "pracowała się w Organach i ma się doświadczenie i zna się metody jak nie jedną sprawę rozwiązać, miało to miejsce podczas zagubienia i późniejszego odnalezienia FRYNCEGO dokumentu w Wydz.II /sprawa mjr.MARCIUKA itp./

Jest mi wiadomym, że płk.F. jest na ty jak daje do zrozumienia jest w bliskich kontaktach z pułkownikiem z Gł. Zarządu Szefem Oddziału udzielającym opinii i dopuszczania do prac tajnych.

Jesli jest jakas sprawa i wątpliwość np. przy przyjęciu do pracy nowego pracownika, płk.F. mówi " to ja już się tam dowiem ".

Płk.F opowiadał, że w roku 1949 jesli objął stanowisko Szefa Org.Plan w Dep..... to że "chodzili po Departamencie pogłoski, że wylano go za SPYCHAŁSKIEGO, nie rozumieeli tego że postawiono go specjalnie zresztą na wyższe stanowisko bo tego wymagała sytuacja w Departamencie".

Kiedys opowiadał, że jak był jeszcze w OWI Szefem Okręgowego Zarządu Informacji, wykrył aferę szpiegowską gdy dwie kobiety uprawiając miłość lespijską szantażowały się i pracowały na rzecz wroga, poczym o ile pa-niętam popełniły samobójstwo.

Ogólnie w sposób nie rozszyfrowujący tajemnic Organów często półgródkami i półsiówkami przypomina że był i czuje się nadal pracownikiem Organów Informacji i ma znajomości oraz zna metody pracy Organów.

II. Odnosnie kontaktów poza Departamentem, prowadzi ożywe życie towarzyskie, często umawia się ze znajomymi w lokalach /teatralnej do której często chodzi/, codzie nnie przyjmuje wiele telefonów, przyjmuje gości u siebie w domu.

Do najczęstszych należą spotkania i rozmowy z jakimś cywilnym prokuratorem z którym się wita "a słucham prokuratora i Fig." a potem już mówi na ty. Z nim często umawia się w sposób nie zrozumiały "no to gdzie" "może tam co wczoraj" itp. Ostatnio wylewnie rozmawiał z ob. nazwiskiem zdaje się "NOSALEC".

O ile chodzi o Departament to bliższe i poza służbowe stosunki łączą go z ppłk.PALASZEWSKIM i mjr.ANCYFOROWEM, ktoś kiedys mi mówił, że bywał w domu u ANCYFOROWA.

Ostatnie miesiące nie widac już wyraźnej różnicy i względów jakimi otaczał szczególnie ppłk.PALASZEWSKIEGO przyczyną uchybienia służbowego, jego traktował rażąco i gwałtowniej, jak pozostałych Szefów Wydziałów.

Odnosnie kontaktów pozasłużbowych to na terenie Głównego Kwatermistrzostwa raczej nie podtrzymuje. Pozatym koleguje się z jakimś generałem ze Sztabu Generalnego/zdaje się LEOSZENIA lub BERLING/ .

Pochodzący z 1952 dokument - agenturalne doniesienie na Jerzego Fonkowicza - potwierdzający, że był on żołnierzem Informacji Wojskowej

„Kruk” został zlikwidowany przez Niemców. Gestapo zabrało ze sobą i zamordowało kilka osób, które wpadły w założony w lokalu kocioł. Archiwaliami podzielono się sprawiedliwie: Hrynkiewicz zabrał ze sobą głównie materiały antykomunistyczne i część archiwaliów o polskim podziemiu, Niemcy — materiały antyniemieckie i część antykomunistycznych. Dokumenty zdobyte na Poznańskiej Spychalski uznał za bardzo cenne — tak o akcji przeciwko Delegaturze Rządu pisał dr Gontarczyk w książce *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941—1944*.

Jerzy Fonkowicz z akcji na Poznańskiej sporządził specjalny raport — był wówczas jednym z najważniejszych pracowników Wydziału Informacji Sztabu Generalnego Armii Ludowej. Niedługo po niej został aresztowany przez Niemców i wywieziony do obozu pracy w Linn koło Kerfeldu. Po zakończeniu wojny Fonkowicz przedostał się do Paryża, skąd — dzięki pomocy Spychalskiego — szybko wrócił do Polski. Po powrocie spotkał się ze swoim protektorem, który zaproponował mu pracę w Informacji Wojskowej — jak czytamy w znajdujących się w IPN aktach Jerzego Fonkowicza — „ponieważ głównym zagadnieniem jest walka tocząca się o obezwładnienie reakcji w kraju”.

W 1945 r. Jerzy Fonkowicz został mianowany szefem Oddziału III Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, który to oddział zajmował się osłoną kontrwywiadowczą jednostek wojskowych. To właśnie będąc żołnierzem Informacji, w czerwcu 1945 r. wraz z Piotrem Jaroszewiczem i Tadeuszem Steciem Fonkowicz brał udział w przejęciu niemieckiego archiwum w Radomierzycach. Według różnych źródeł były tam tysiące teczek dokumentów: wywiadu wojskowego, sztabu generalnego, akta Leona Bluma, archiwum rodziny Rothschildów, zbiór dokumentów dotyczących kolaboracji Francuzów z Niemcami, postępowania Niemców z mniejszościami i z innymi narodami, w tym z Żydami, Polakami, Holendrami. Były tam też dokumenty zawierające informacje o akcjach niemieckich tajnych służb dotyczących przejmowania zasobów finansowych i skarbów kultury w państwach okupowanych przez III Rzeszę (w tym w Polsce). O istnieniu tych dokumentów przypomniał w latach 90. wiceprzewodniczący Komitetu Archiwów Rosji Anatol Prokopienko —

według niego niektóre dokumenty zostały złożone w Moskwie, w budynku przy ul. Wyborskiej 3. Część dokumentów pochodzących z Radomierzyc, Czochy i Książa Rosja przekazała m.in. Holandii 7 czerwca 2001 r. przy okazji wizyty królowej Beatrix w Rosji. Według nieoficjalnych informacji w latach 50. i 60. na podstawie tych materiałów szantażowano i werbowano do współpracy ze służbami specjalnymi państw tzw. demokracji ludowej wielu Francuzów, Holendrów oraz obywateli innych państw Europy Zachodniej. Poza wywiadem sowieckim dokonywały tego także PRL-owskie służby specjalne, które dostały z ZSRS obciążające dokumenty na daną osobę. Wystarczy wspomnieć, że PRL-owski wywiad wojskowy miał w latach 50. właśnie we Francji najlepszą siatkę agenturalną.

W latach 50. Fonkowicz był świadkiem na procesie Mariana Spychalskiego. Co ciekawe, mimo bliskiej współpracy ze Spychalskim Fonkowicz nie został objęty aktem oskarżenia, odszedł jedynie z Informacji Wojskowej do kwatermistrzostwa. Po „odwilży” w 1956 r. Fonkowicz został szefem Departamentu Kadr MON — tę funkcję sprawował do roku 1964, kiedy to wyjechał jako *attaché* wojskowy do Helsinek. W IPN zachowały się liczne dokumenty w teczce zagadnieniowej „Ząbek” prowadzonej przez Wojskową Służbę Wewnętrzną, czyli komunistyczny kontrwywiad wojskowy. Dowództwo w Warszawie było na bieżąco informowane o zachowaniach gen. Fonkowicza, o jego kontaktach towarzyskich i służbowych — w wyniku działań wojskowej bezpieki Fonkowicz został odwołany do Polski rok przed zakończeniem misji w Helsinkach.

W toku przeprowadzonej ze mną rozmowy w dniu 5 b.m. [wrzesień 1967 — red.] szef Zarządu II Sztabu Generalnego WP — tow. gen. brygady [Włodzimierz] Oliwa zakomunikował mi decyzję kierownictwa MON odwołującą mnie ze stanowiska *attaché* wojskowego, morskiego i lotniczego przy Ambasadzie PRL w Helsinkach bez prawa powrotu do Finlandii celem protokolarnego zakończenia mojej misji, w tym wizyty pożegnalne u wojskowych osobistościach fińskich, korpusie dyplomatycznym itp. Podstawą tej decyzji miały być zarzuty wysunięte w stosunku do mnie poza kręgiem mojej instytucji, tzn. Zarządu II Sztabu Generalnego i jego kierownictwa,

powtórzone mi przez generała Oliwę. Zarzuty te są krzywdzące mnie i nie odpowiadają prawdzie. Anonimowość ich źródeł nie pozwala na podjęcie rzeczowej polemiki

— napisał 6 września 1967 r. Jerzy Fonkowicz w raporcie skierowanym do ministra obrony narodowej Mariana Spychalskiego. Ze znajdujących się w IPN dokumentów wynika, że Fonkowicz został odwołany z Helsinek m.in. z powodu forsowania na wyższe stanowiska oficerów i generałów pochodzenia żydowskiego w okresie pełnienia przez niego obowiązków szefa Departamentu Kadr MON oraz z powodu reprezentowania niezgodnego ze stanowiskiem rządu PRL stanowiska w sprawie „agresji Izraela przeciwko krajom arabskim”.

Mimo odwołania się do gen. Spychalskiego, szefa MON, Jerzy Fonkowicz w 1968 r. został zwolniony z wojska. Stało się to na fali antysemitycznych czystek, w których czynnie uczestniczył Wojciech Jaruzelski, wówczas minister obrony narodowej. Zastąpił on na tym stanowisku Mariana Spychalskiego, który w 1968 r. został przewodniczącym Rady Państwa i jego władza nie sięgała już MON.

Po odejściu z wojska gen. Fonkowicz cały czas był objęty działaniami Wojskowej Służby Wewnętrznej — jej funkcjonariusze i agenci donosili o poczynaniach generała. W listopadzie 1968 r. opracowano plan działań operacyjno-profilaktycznych dotyczących gen. rez. „F”.

W operacyjnej kontroli organów WSW znajduje się gen. rez. Jerzy Fonkowicz, który w 1968 r. został zwolniony za prowadzenie działalności rewizjonistycznej i opozycyjną postawę w stosunku do obecnego kierownictwa MON [chodziło m.in. o Wojciecha Jaruzelskiego i ówczesnego zastępcę szefa WSW Czesława Kiszczaka — red.]. Uzyskane materiały wskazują, że taką działalność przejawia on nadal i w dalszym ciągu utrzymuje kontakty ze skompromitowanymi politycznie osobami zajmującymi do niedawna, a częściowo również i obecnie, poważne stanowiska partyjne, administracyjne bądź naukowe (...). Przy współudziale Służby Bezpieczeństwa rozpoznawać będziemy charakter kontaktów figuranta z osobami cywilnymi (...). Wspólnie ze Służbą Bezpieczeństwa i ewentualnie przy pomocy

naszego źródła z Zarządu II Sztabu Gen. w Finlandii rozpoznamy charakter kontaktów figuranta z przedstawicielami ambasady Finlandii w Warszawie ob. Hejsztanem Nejnelem i Vain Lola Osmo dla dokonania operacyjnej oceny tych powiązań

— czytamy w piśmie ppłk. Mirosława Habika, starszego pomocnika szefa Oddziału IV Zarządu I Szefostwa WSW.

Plan przedsięwzięć operacyjnych WSW zakończył się powodzeniem — gen. Fonkowicz został dogłębnie rozpracowany, a cywilna bezpieka zwerbowała go jako swojego informatora.

Jak wynika z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej, gen. Fonkowicz w latach 60. i 70. był zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa — Wydział III Departamentu III MSW — jako kontakt operacyjny o pseudonimie „E”.

W dniu 20.05.1974 r. ko „E” wyjeżdża do Norwegii celem zebrania materiałów do książki. W czasie spotkania wyczulono ko „E” na sprawy mogące mieć istotne znaczenie polityczne i operacyjne. Z Norwegii wróci na początku lipca i przekaże mi szczegółową pisemną relację — czytamy w piśmie płk. Stefana Stochaja, naczelnika Wydziału III Departamentu III MSW.

Ze zgromadzonych w IPN dokumentów wynika, że Jerzy Fonkowicz wielokrotnie powoływał się na pracę w Informacji Wojskowej oraz na wiedzę, jaką uzyskał w okresie całej swojej służby; powoływał się również na rozliczne znajomości, w tym na znajomość z Piotrem Jaroszewiczem. Dzięki koneksjom oraz współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa Jerzy Fonkowicz, będąc już w stanie spoczynku, bez trudu uzyskał paszport i mógł wyjeżdżać na Zachód.

W dokumentach IPN zachowały się raporty pisane przez „E” m.in. na temat fińskich i norweskich polityków — gen. Jerzy Fonkowicz od 1969 r., będąc już w stanie spoczynku, jeździł do Skandynawii i zbierał materiały do swoich książek, m.in. *Helsińskiego ABC*, *Sztokholmskiego ABC* oraz *ABC Oslo*, przewodników po Skandynawii *Kwiaty w dolinach fiordów*, *O czym śpiewa kantele*; przez wiele lat był sekretarzem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Fińskiej.

Zarówno rozpracowanie, jak i kontakty gen. Fonkowicza z cywilną i wojskową bezpieką trwały do 1989 r. Po powstaniu Wojskowych Służb Informacyjnych gen. Fonkowicz przestał być obiektem zainteresowania wojskowych służb specjalnych.

Do pierwszego napadu na gen. Jerzego Fonkowicza doszło 6 września 1996 r. W tym dniu w biały dzień emerytowany wojskowy otworzył drzwi dwóm mężczyznom. Napastnicy zarzucili mu worek na głowę i wtargnęli do mieszkania, które najpierw dokładnie przeszukali, a następnie zabrali telewizor i pieniądze — rabusiów nigdy nie złapano. Niewykluczone, że napastnicy dokładnie wówczas rozpoznali „teren” i wrócili po roku.

Jednorodzinny dom gen. Fonkowicza znajdował się w lesie na obrzeżach Konstancina-Jeziorny. Dostępu do niego broniły ogrodzenie z wysokiej siatki zwieńczonej drutem kolczastym i pies. Razem z generałem od 1 października 1997 r. mieszkała gosposia — Barbara Churska, która opiekowała się emerytowanym wojskowym.

6 października, w dniu poprzedzającym napad, gdy poszła odebrać pocztę ze skrzynki pocztowej, zauważyła stojący przed domem samochód ciemnego koloru, w którym siedziało dwóch mężczyzn w wieku ok. 30—35 lat.

Gosposia wróciła do domu i zajęła się codziennymi obowiązkami. Następnego dnia sprawdziła, ale przed domem nie było już nikogo obcego.

Do brutalnego napadu doszło w nocy z 7 na 8 października. Około północy trzech napastników (tylu widziała gosposia) weszło do domu generała.

Na teren posesji przedostali się przez dziurę wyciętą w siatce ogrodzeniowej od strony lasu, a następnie wyłamali lufcik w drzwiach balkonowych na tarasie i weszli do domu. Najpierw zaatakowali przebywającą w swoim pokoju na parterze gosposię — skrępowali ją kablem elektrycznym, a później sprowadzili do piwnicy. Jeden z napastników był przy niej. Gdy poprosiła o papierosa, dał jej popularnego i przypalił zapalniczką. Wtedy mu się przyjrzała — na głowę miał naciągnięte ciemne rajstopy w celu zamaskowania. Gdy mężczyzna wyszedł z piwnicy, po kilku minutach Barbara Churska

usłyszała krzyk generała. Ze znajdującej się na pierwszym piętrze sypialni wołał ją na pomoc „Baśka, Baśka! Ratunku!”.

Gdy po ponad godzinie kobieta uwolniła się z więzów i poszła na górę, Jerzy Fonkowicz nie dawał już znaku życia. Był skrępowany i ciężko pobity. Sekcja zwłok wykazała, że przed śmiercią torturowano go. Przerażona kobieta około godziny 2 zeszła ponownie do piwnicy i czekała tam do świtu. Gdy się rozwidniło, na bosaka wybiegła z domu, przeszła przez siatkę i pobiegła do najbliższego stojącego w pobliżu budynku — Domu Rencisty. Tam na portierni zastała dwie kobiety, którym opowiedziała o tragicznych nocnych wydarzeniach.

Jedna z kobiet zadzwoniła po policję — na miejsce zbrodni przyjechali lekarz, prokurator i funkcjonariusze Komendy Rejonowej Policji z podwarszawskiego Piaseczna z psem tropiącym.

Przy drzwiach balkonowych użyto psa tropiącego, który podjął ślad, doprowadził do siatki ogrodzeniowej dochodzącej do pobliskiego lasu, gdzie ujawniono pionowe przecięcie, zaś przy powstałym otworze znaleziono rajstopy koloru czarnego. W odległości ok. 8 m od przecięcia siatki pies doprowadził do leżącej na podłożu brązowej rajstopy, następnie po przejściu dalszych kilkuset metrów pies zakończył tropienie, zaś doprowadził do leżącej także w lesie pary skarpet koloru szarego. Na dalszej drodze pies doprowadził do metalowego łomu leżącego w odległości 13 m od ujawnionych poprzednio skarpet. Wszystkie te przedmioty znajdowały się w lesie umiejscowionym przy posesji Jerzego Fonkowicza — czytamy w aktach śledztwa.

Zdaniem śledczych znalezione w lesie rajstopy posłużyły bandytom do zamaskowania — gosposia mówiła o maskach na twarzach bandytów. Technicy kryminalni zabezpieczyli ślady zapachowe zarówno z odnalezionych w lesie przedmiotów, jak i na taśmie i przewodach, którymi posłużyli się bandyci, krępując Barbarę Churską i gen. Fonkowicza.

Prokuratura od początku wykluczyła motyw polityczny zabójstwa i skupiła się jedynie na rabunkowym. Zbagatelizowała także informacje mediów, które pojawiały się zaraz po zabójstwie generała, że sprawcom mogło chodzić o tajne

dokumenty, które Jerzy Fonkowicz miał przechowywać w swoim archiwum.

„Od 30 lat generał był na emeryturze. Przez kilka lat przed emeryturą nie zajmował kierowniczych stanowisk” — mówił ówczesny rzecznik Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie prok. Ryszard Kuciński (późniejszy mecenas Andrzeja Leppera, zmarły tragicznie w maju 2011 r.).

W styczniu 1998 r., trzy miesiące po zabójstwie generała, po porównywaniu przez psy zapachów śladów i osób podejrzewanych do aresztu trafiło pięciu mężczyzn. Ostatecznie na ławie oskarżonych zasiadło sześciu mężczyzn: Stanisław W., Jacek D., Artur K., Marcin B., Piotr R. i Tomasz M., ale przed sądem stanęło tylko czterech. Na jednym z etapów procesu sąd uznał, że ślady zapachowe są jedynie poszlaką, a nie dowodem, i uchylił areszty. W trakcie przerwy Piotr R. został zastrzelony podczas policyjnej interwencji, zaś Tomasz M. przepadł bez śladu.

8 grudnia 2009 r. Sąd Okręgowy w Warszawie VIII Wydziału Karnego w składzie Urszula Krzynówek, Ewa Grochowska-Szmitkowska, ławnicy Ryszard Strzałkowski, Alicja Tomaszewska, Alicja Pawlik w obecności prokuratorów: Barbary Karpińskiej, Małgorzaty Letkiewicz-Madejskiej oraz Iwony Kijek, przy udziale oskarżycielki posiłkowej Ewy Fonkowicz, córki generała, wydał wyrok uniewinniający. Sąd uznał m.in. za wiarygodne wyjaśnienia Artura K., którego podpis widniał na czeku skradzionym z domu gen. Fonkowicza.

Podszedł do mnie nieznanomy mężczyzna, zagadnął, czy nie chcę zarobić „bańki” na zrealizowaniu czeku. Wziął mój dowód, wypisał czek na pocztę. Ja podpisałem przy odbiorze pieniędzy — 300 zł — mówił w sądzie Artur K.

Według sądu w śledztwie popełniono błędy zwłaszcza przy zbieraniu śladów zapachowych.



WYROK
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 8 grudnia 2009r.

Sąd Okręgowy w Warszawie w VIII Wydziale Karnym w składzie:

Przewodniczący SSO Urszula Krzynówek
Sędzia SSO Ewa Grochowska-Szmitkowska
Ławnicy Ryszard Strzałkowski, Alicja Tomaszewska,
Alicja Pawlik

Protokolant Agnieszka Najda, Agata Bastrzyk, Anna Pieczurczyk,
Anna Kopeć, Ludmiła Wójcik, Andrzej Wiszowaty, Małgorzata Morka, Monika
Grzegorzczuk, Anna Grotkowska, Marek Nowak, Katarzyna Świdwa

w obecności prokuratora Barbary Karpińskiej, Małgorzaty Leśkiewicz-Madejskiej,
Iwony Kijek

oraz oskarżyciela posiłkowego Ewy Fonkowicz

po rozpoznaniu w dniach 7.XI., 27.XI., 16.XII.2008r., 30.I., 11.II., 27.III., 9.IV.,
22.V., 3.VI., 14.VII., 8.X., 22.X., 1.XII.2009r.

sprawy:

- 1/ **Stanisława W** [redacted], urodz. 27 października 1967r. w Piasecznie,
syna Aleksandra i Marianny zd. N [redacted]
- 2/ **Jacka D** [redacted], urodz. 25 marca 1964r. w Warszawie,
syna Józefa i Mirosławy zd. Gawlik,
- 3/ **Artura K** [redacted], urodz. 10 września 1970r. w Warszawie,
syna Czesława i Krystyny zd. G [redacted]

Pisemne uzasadnienie wyroku uniewinniającego oskarżonych o zabójstwo Jerzego
Fonkowicza

4/ Marcina [REDACTED], urodz. 6 maja 1974r. w Piasecznie,
syna Władysława i Kamili zd. S [REDACTED]

oskarżonych o to, że:

w nocy z 7/8 października 1997 roku w Konstancinie - Jeziornej, w woj. warszawskim działając wspólnie i w porozumieniu oraz z innymi osobami zabrali w celu przywłaszczenia telewizor marki Sony, niemieckie starodruki, komplet srebrnych sztućców i inne przedmioty o łącznej wartości nie mniejszej niż 15.000 zł na szkodę Jerzego Fonkowicza, doprowadzając go do stanu bezbronności poprzez skrupowanie mu rąk i nóg przewodem elektrycznym oraz grożąc mu niebezpiecznymi narzędziami w postaci noża i metalowego łomu, a nadto działając w zamiarze ewentualnym pozbawienia go życia użyli gwałtu na osobie w/w pokrzywdzonego poprzez bicie go po całym ciele oraz ugięcie przy pomocy drewnianego kija lewej okolicy klatki piersiowej w wymiarze przednio - tylnym, czym spowodowali u niego obrażenia ciała w postaci mnogich złamań żeber po stronie lewej klatki piersiowej ze stłuczeniem ściany klatki piersiowej i rozerwaniem opłucnej skutkującymi jego zgonem, a nadto doprowadzając Barbarę Churską do stanu bezbronności poprzez skrupowanie jej rąk i nóg przewodem elektrycznym oraz używając wobec niej groźby natychmiastowego gwałtu na jej osobie posługując się niebezpiecznymi narzędziami w postaci noża i metalowego łomu, przy czym Artur K [REDACTED] i Marcin B [REDACTED] zarzucanego im czynu dopuścili się w warunkach powrotu do przestępstwa określonych w art. 64 § 2 kk.

tj. o przestępstwo z art. 148 § 1 kk w zb. z art. 280 § 2 kk w zw. z art. 11 § 2 kk, a wobec Artura K [REDACTED] i Marcina B [REDACTED] o przestępstwo z art. 148 § 1 kk w zb. z art. 280 § 2 kk w zw. z art. 11 § 2 kk w zw. z art. 64 § 2 kk

orzeka:

1. oskarżonych **Stanisława W [REDACTED]**, **Jacka D [REDACTED]**, **Artura K [REDACTED]**, **Marcina B [REDACTED]** uniewinnia od popełnienia zarzucanego im czynu;
2. koszty postępowania przejmują na rachunek Skarbu Państwa;

Pisemne uzasadnienie wyroku uniewinniającego oskarżonych o zabójstwo Jerzego Fonkowicza

W konsekwencji wobec braku niezbitych dowodów w zakresie sprawstwa czynu

zarzucanego oskarżonym (...) wątpliwości należało rozstrzygnąć na korzyść oskarżonych. Zgodnie bowiem z art. 5 par. 1 k.p.k oskarżonego uważa się za niewinnego, dopóki jego wina nie zostanie udowodniona. (...) Mając na uwadze całokształt okoliczności niniejszej sprawy, zdaniem Sądu domniemanie niewinności nie zostało obalone — czytamy w uzasadnieniu wyroku uniewinniającego.

Upływ czasu sprawia, że maleją szanse na odnalezienie zabójców Jerzego Fonkowicza. Córki generała, Anna i Ewa, zeznały, że ich ojciec miał poczucie zagrożenia, ale nigdy nie wyjaśniono, z czego naprawdę ono wynikało. Nigdy też nie odnaleziono skradzionych z domu generała przedmiotów.

ROZDZIAŁ 5
MAREK KARP. FILIP ADWENT. CZŁONKOWIE
STOWARZYSZENIA „ARKA”. LESZEK TOBIASZ

Wypadki na zlecenie

**Marek Karp Człowiek, który wiedział o mafii
paliwowej**

W III RP w niespodziewanych wypadkach ginęły osoby, których wiedza była niebezpieczna dla ludzi służb. Jedną z takich osób był Marek Karp, założyciel Ośrodka Studiów Wschodnich, który wiedział o roli zarówno ludzi służb specjalnych PRL, jak i służb rosyjskich wyrosłych na bazie KGB i GRU.

Marek Karp uległ poważnemu wypadkowi w piątek 13 sierpnia 2004 r., gdy jechał na przesłuchanie do Izby Celnej. Wioząca do Czech 20 ton cementu białoruska ciężarówka, którą kierował Białorusin Siergiej Zhuk (czyt. Żuk), wepchnęła prowadzony przez Marka Karpia samochód pod nadjeżdżającego tira.

Na miejscu wypadku niemal natychmiast pojawili się gapie i policja. A także dziennikarze z Polskiego Radia Lublin i operator TVP. Marek Karp przeżył wypadek — był na tyle przytomny, by złożyć zeznania przesłuchującemu go policjantowi. Gdy przewieziono go do szpitala w Białej Podlaskiej, jego stan się pogorszył. Lekarze skierowali go na intensywną terapię, powiadomiwszy o wypadku żonę poszkodowanego. Dzięki wstawiennictwu szefostwa Ośrodka Studiów Wschodnich Marek Karp został przetransportowany śmigłowcem do Centralnego Szpitala MSW w Warszawie.

Marek Karp, mimo bardzo poważnych obrażeń (złamane nogi i żebra; rany krtani i brzucha), szybko dochodził do zdrowia. Przyjaciele i znajomi, którzy odwiedzali go w szpitalu, mówili o jego świetnej formie i planach, które snuł na

przyszłość. Planował podróż do Armenii, miał także jechać na Litwę i Białoruś. Niespodziewanie w niedzielę 12 września 2004 r. Marek Karp poczuł się źle — lekarze nie zdołali go uratować. Oficjalną przyczyną śmierci był zator tętnicy płucnej.

Przesłuchiwani współpracownicy byłego szefa OSW zeznali, że podczas pobytu w szpitalu podawano mu silne leki narkotyczne, po których miał stany lękowe. Nie dowiedzieli się, dlaczego sekcja zwłok Marka Karpią została przeprowadzona dopiero 20 września, osiem dni po śmierci, która nastąpiła w szpitalu. Przeprowadzenie specjalistycznych badań na obecność niektórych leków, środków odurzających i trucizn, które mają szybki proces rozpadu, było niemożliwe właśnie ze względu na odległy termin sekcji, podczas której pobrano materiał biologiczny do badań. Śledztwo toczące się m.in. w sprawie uchybień lekarzy zostało umorzone.

Z akt śledztwa dotyczącego wypadku i śmierci Marka Karpią, które prowadzili prokuratorzy z Wydziału ds. Zwalczenia Przystępczości Zorganizowanej Prokuratury Apelacyjnej w Lublinie, wynika, że Marek Karp obawiał się o życie. W dokumentach znajdują się m.in. protokoły przesłuchań Jacka Cichockiego, ówczesnego szefa OSW, Bartłomieja Sienkiewicza, przyjaciela Marka Karpią, Zbigniewa Wassermanna, posła Prawa i Sprawiedliwości, wiceprzewodniczącego Sejmowej Komisji Śledczej ds. PKN Orlen, Konstantego Miodowicza, posła Platformy Obywatelskiej, członka komisji orlenowskiej, Jana Marii Rokity, posła PO, Macieja Huni, szefa Departamentu Kontrwywiadu ABW.

Maciej Hunia potwierdził, że doszło do spotkania w Magdalence, na którym w ośrodku ABW byli przedstawiciele OSW, w tym także Marek Karp.

Z kolei Jacek Cichocki, który w 2000 r. został wicedyrektorem OSW dzięki rekomendacji Bartłomieja Sienkiewicza, opowiedział prokuratorom kulisy dymisji Marka Karpią. Odszedł on po rozmowie z wicepremierem w rządzie SLD Jerzym Hausnerem, ministrem gospodarki, który nie chciał, by OSW kierowała osoba, wobec której toczy się prokuratorskie śledztwo. Marek Karp uważał, że przed jego dymisją Hausner dostał od ABW notatkę, która była faktycznym powodem jego zwolnienia. Według Cichockiego w lutym 2004 r.

OSW zaprezentował w ośrodku ABW w Magdalence raport na temat Rosji. Marek Karp podkreślał w nim, że Rosja staje się coraz groźniejsza i coraz śmielej sobie poczyną. Sam nie chciał jeździć do Rosji; mówił także o przypadkach kradzieży pasz, mleka, wylewaniu paliwa z maszyn i ich niszczeniu przez nieznanymi sprawców w jego gospodarstwie w Ludwinowie. Kilka miesięcy przed wypadkiem mówił, że spodziewa się ataku na siebie, brał pod uwagę też to, że za jego problemami mogą stać obce służby. Marek Karp obawiał się dezintegracji OSW przez wywiad rosyjski — o tych obawach mówił m.in. Konstanty Miodowicz, który był zaprzyjaźniony z Markiem Karpiem i z którym się bardzo często spotykał. Z kolei Jan Maria Rokita przypuszczał, że wypadek może być zemstą białoruskich służb specjalnych za działania prowadzone przez Marka Karpia w OSW.

W dniu wypadku Marek Karp podwoził w kierunku granicy dwóch Rosjan, którzy u niego nocowali. Wysadził ich przy obwodnicy i pojechał dalej. Kilkanaście minut później białoruska ciężarówka wepchnęła jego samochód pod tira. Śledztwo w sprawie wypadku Marka Karpia początkowo prowadziła Prokuratura Rejonowa w Białej Podlaskiej i już na pierwszy rzut oka widać, że nie sprawdzono wszystkich tropów. Nie wiadomo na przykład, kim był mężczyzna, który podając się za przedstawiciela mediów, wypytywał policjantów przed komendą w Białej Podlaskiej, czy Marek Karp padł ofiarą zamachu i czy przeżył. Do końca nie wiadomo również, dlaczego prokurator, który przesłuchał Białorusina Siergieja Zhuka, kierowcę kamaza, i postawił mu zarzuty, pozwolił mu wyjechać na Białoruś, nie stosując wobec niego żadnego środka zapobiegawczego. Naoczni świadkowie twierdzili, że wypadek wyglądał na egzekucję: białoruska ciężarówka nie hamowała, mimo że kierowca widział przed sobą opla (kierował nim Marek Karp).

Z dokumentów wynika, że Siergiej Zhuk pracował w firmie Rising, której siedziba znajdowała się w gmachu Instytutu Fizyki Doświadczalnej Państwowej Akademii Nauk Białorusi. Już po śmierci Marka Karpia pytani o Zhuka przedstawiciele Risinga stwierdzili, że został zwolniony z firmy po wypadku. Nie było go także pod adresem, który wskazał w polskiej prokuraturze. Kolejnym tropem było ekskluzywne rządowe sanatorium na Litwie, gdzie

leczyły się dzieci członków administracji rządowej Białorusi. Wiadomo, że był tam także leczony syn Zhuka. W aktach śledztwa znajdują się wnioski o pomoc prawną skierowane do białoruskiego ministerstwa sprawiedliwości, które w efekcie okazały się bezskuteczne. Siergiej Zhuk nigdy nie stawiał się na rozprawy sądowe i dlatego wyrok, który zapadł, został zasądzony w trybie zaocznym. Sąd Rejonowy w Białej Podlaskiej skazał go na 800 zł grzywny i rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Siergiej Zhuk do Polski więcej nie przyjechał.

* * *

Marek Karp od początku istnienia OSW miał świadomość, że Ośrodek jest solą w oku rosyjskich i białoruskich służb specjalnych. Pod koniec lat 90. zaobserwował nasilenie działań w Polsce białoruskich służb specjalnych, które w rzeczywistości są forpocztą służb rosyjskich. OSW był dla nich niewygodny ze względu na obszar działania, w którym znalazły się m.in. Kresy i Kaukaz. Nasilenie akcji białoruskich służb nastąpiło po wyborze Władimira Putina na premiera Rosji, czyli po 8 sierpnia 1999 r. W OSW była na ten temat opracowana analiza, która trafiła również do Urzędu Ochrony Państwa. Została zaprezentowana przez Marka Karpia na spotkaniu w Magdalence, w ośrodku UOP. Szef OSW współpracował z rządem Jerzego Buzka nie tylko w zakresie analiz politycznych, ale także w sferze ekonomicznej. Z pomysłu Marka Karpia, by eksportować na Białoruś polskie kombajny górnicze z likwidowanych kopalń, sprowadzając w zamian sól potasową, skorzystało Ministerstwo Gospodarki kierowane przez Janusza Steinhoffa.

W końcowej fazie rządów AWS Marek Karp mówił swoim współpracownikom, że jak SLD dojdzie do władzy, to na pewno politycy lewicy zrobią wszystko, by zrezygnował z kierowania z OSW, a wschodnia polityka zagraniczna ulegnie całkowitej zmianie: politycy lewicy nawiążą sojusze polityczne i gospodarcze z Rosją. Prezydentem Rosji był już Władimir Putin, były funkcjonariusz KGB, a jego najbliższym współpracownikiem Nikołaj Patruszew, także były kagiebista. Na polecenie Putina krwawo rozprawił się on

z walczącymi o wolność czeczeńskimi partyzantami, a kierowana przez niego Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji gorliwie wykorzystywała wszelkie możliwe sposoby do infiltracji wrogich państw oraz instytucji. Za taką był uważany m.in. Ośrodek Studiów Wschodnich, który swoim działaniem obejmował także Czechenię.

Tuż przed wyborami prezydenckimi na Białorusi Marek Karp mówił o działających na zlecenie Łukaszenki (i za przyzwoleniem Moskwy) „szwadronach śmierci”. Ich istnienie potwierdził kilka lat temu były żołnierz specnazu, który uciekł z Białorusi. „Szwadron śmierci” powstał w celu zabijania rywali politycznych prezydenta Łukaszenki. Były żołnierz opowiadał, jak Łukaszenka przed wyborami prezydenckimi w 2001 r. zlecił dowódcy specnazu płk. Dmitrijowi Pawluczenkowowi utworzenie tajnej jednostki.

Najpoważniejszymi rywalami Łukaszenki w wyborach prezydenckich byli wówczas wiceszef parlamentu Witkar Hańczara oraz były minister spraw wewnętrznych Jurij Zacharenka — obydwaj zostali zabici właśnie przez „szwadron śmierci”.

Istnienie „szwadronów śmierci” potwierdzają zeznania przebywających od lat na emigracji białoruskich prokuratorów i wysokich rangą urzędników służb specjalnych.

Dojście do władzy SLD potwierdziły obawy Marka Karpia. W swoim *exposé* ogłoszonym 25 października 2001 r. ówczesny premier Leszek Miller zapowiadał, że będzie konsekwentnie działać, by pogłębić dialog między Polską a Rosją. Jedną z pierwszych podróży zagranicznych Millera była wizyta w Moskwie, gdzie spotkał się m.in. z prezydentem Władimirem Putinem, który z kolei do Polski przyjechał na początku 2002 r. Marek Karp mówił wówczas o zagrożeniach płynących ze strony putinowskiej Rosji i jej forpoczty, czyli białoruskich służb specjalnych. Sytuację komplikował fakt, że nowe kierownictwo Urzędu Ochrony Państwa nie zamierzało kontynuować działań podejmowanych przez Zbigniewa Nowka — szefa UOP od 6 lutego 1998 do 25 października 2001 r. W tym czasie UOP zdemaskował 12 funkcjonariuszy Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji, którzy zostali wydaleny z Polski pod zarzutem szpiegostwa. Zbigniew Siemiątkowski, p.o. szefa UOP, był faktycznie

jego likwidatorem, a swoje urzędowanie zaczął od zwolnienia kilkudziesięciu funkcjonariuszy, którzy nie pochodzili z „zaciągu” lewicy, w tym tych, co mieli kontakty z Ośrodkiem Studiów Wschodnich.

Obawy Marka Karpiaka sprawdziły się także w stosunku do niego samego. W kwietniu 2002 r. funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa zatrzymali podlaskiego biznesmena Mirosława Cieluszeckiego, którego doradcą był Marek Karp. Spółka Cieluszeckiego, Farm Agro, zajmowała się handlem ze Wschodem. Cieluszecki na obrzeżach Puszczy Białowieskiej wybudował terminal przeładunkowy i zaczął sprowadzać sól potasową. Interesy ze Wschodem ułatwiały zbudowane tu szerokie tory aż z Syberii. Do Cieluszeckiego zgłaszali się rosyjscy „biznesmeni” — w rzeczywistości ludzie powiązani z rosyjskimi służbami specjalnymi, proponując odkupienie od niego spółki. Nie było tajemnicą, że w rzeczywistości chodziło o terminal. Cieluszecki konsekwentnie odmawiał sprzedaży swojej firmy. W kwietniu 2002 r., kilka dni po kolejnej wizycie rosyjskich „biznesmenów”, Cieluszecki został aresztowany. Białostocka prokuratura zarzuciła mu oszustwo własnej firmy na kwotę wielu milionów złotych. Biznesmen miał — jako osoba prywatna — kupić, a następnie odsprzedać swojej firmie kilka działek na Białostocczyźnie. Zarzuty usłyszało także 16 innych osób, w tym Marek Karp i Włodzimierz Rembisz, profesor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie zasiadający w radzie nadzorczej spółki Farm Agro Planta. Zdaniem śledczych wszyscy podejrzani mieli działać na niekorzyść spółki, pobierając m.in. wysokie premie i honoraria za doradztwo. Po tym jak prokuratura postawiła Markowi Karpiowi zarzuty, zrezygnował on z kierowania Ośrodkiem Studiów Wschodnich — jego miejsce zajął Jacek Cichocki. Zdaniem przyjaciół Marek Karp miał mówić, że utratę stanowiska „zawdzięcza” Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, który wówczas był ministrem spraw zagranicznych i utrzymywał przyjazne kontakty zarówno z przedstawicielami reżimu Łukaszenki, jak i z administracją Putina. O co dokładnie Markowi Karpiowi chodziło — można się jedynie domyślać. Wiadomo, że w tle była m.in. przeszłość Cimoszewicza, który według dokumentów znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej został zarejestrowany jako tajny współpracownik komunistycznych służb specjalnych o pseudonimie „Carex” (kompilacja słów „car” i „król”).

Działalność Marka Karpiusza była krytykowana przez SLD i sprzyjające Sojuszowi media. Lewicowa „Trybuna” wykorzystwała prokuratorskie śledztwo przeciwko szefowi OSW do ataku na środowisko Jana Rokity i Platformy Obywatelskiej, której Karp był ekspertem.

Akt oskarżenia przeciwko Markowi Karpiuszu i pozostałym podejrzanym w sprawie spółki Farm Agro Planta został skierowany do sądu w maju 2004 r., za rządów SLD. Śledczy uznali, że Marek Karp wyłudził, razem z Ciełuszeckim, pieniądze z firmy biznesmena (blisko 160 tys. zł) za strategiczne doradztwo, dotyczące rozwoju współpracy gospodarczej Farm Agro ze Wschodem. Sprawa do 2013 r. nie została zakończona. Firma Mirosława Ciełuszeckiego została przejęta przez poznańskiego biznesmena, który odgrywał kluczową rolę w śledztwie dotyczącym mafii paliwowej. Należące do niego spółki rozpoczęły współpracę z rosyjskim Łukoilem na terenie przejętego terminala po Farm Agro Planta.

W czasie gdy doszło do dramatycznych zdarzeń z udziałem Marka Karpiusza, działała już Sejmowa Komisja Śledcza ds. PKN Orlen. Były szef OSW miał informacje na temat działalności ludzi powiązanych z KGB i GRU w mafii paliwowej. Marek Karp nie tylko posiadał informacje, miał także dokumenty, w których były m.in. nazwiska i nazwy spółek, przez jakie przepływały pieniądze zdobyte na nielegalnej działalności paliwowej.

13 sierpnia 2004 r. — w dniu, w którym doszło do wypadku — Marek Karp był umówiony na spotkanie ze Zbigniewem Wassermannem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, wiceprzewodniczącym Sejmowej Komisji Śledczej ds. PKN Orlen. Kolejnym etapem podróży miała być Litwa: w Wilnie czekał na niego polski ambasador. Marek Karp nie dotarł na te spotkania — ciężarówka na białoruskich numerach rejestracyjnych wepchnęła jego samochód pod nadjeżdżającego tira. Były szef OSW w stanie krytycznym trafił do szpitala, natomiast jego samochód — na policyjny parking. Teczki z dokumentami, którą Marek Karp zabrał ze sobą, nigdy nie znaleziono.

Marek Karp po raz pierwszy spotkał się ze Zbigniewem Wassermannem w Ośrodku Studiów Wschodnich na początku lipca 2004 r. z inicjatywy wiceprzewodniczącego Sejmowej Komisji Śledczej ds. PKN Orlen. Wassermann

prosił o pomoc — chodziło głównie o ekspertyzy dotyczące wschodniego rynku paliwowego. Następny kontakt miał miejsce 10 sierpnia. Marek Karp mówił o materiałach, które mogą się przydać w pracach komisji i które dotyczyły człowieka znanego w branży paliwowej. Powiedział też Wassermannowi, że czuje się zagrożony. Umówili się na spotkanie 13 sierpnia, na którym Karp miał przekazać posłowi PiS szczegółowe informacje i dokumenty.

Filip Adwent Europoseł, który walczył o polską rację stanu

18 czerwca 2005 r., dziesięć miesięcy po wypadku Marka Karpią, doszło do kolejnego tragicznego w skutkach wypadku samochodowego. Na trasie nr 50 w Grójcu samochód MAN uderza w przyczepę mercedesa, w bok toyoty avensis i czołowo zderza się z polonezem caro. W wypadku ginie dwóch młodych mieszkańców Grójca: 22-letni Maciej Świątek i 25-letni Rafał Morawski, a także 19-letnia córka europosła LPR Filipa Adwenta — Maria, i 85-letni ojciec Stanisław. Filip Adwent oraz jego matka Jeanne umierają w szpitalu w wyniku odniesionych obrażeń osiem dni później. Tragedię przeżywa jedynie 18-letnia Helena Adwent.

Filip Adwent urodził się w Strasburgu w polonijnej rodzinie. Jego mama Jeanne urodziła się w Lille, natomiast babcia, z pochodzenia Polka, pochodziła z Nadrenii Północnej-Westfalii. Ojciec Filipa Adwenta, Stanisław, dotarł do Anglii i tam zamieszkał razem ze swoją matką, która w Londynie prowadziła dom, opiekowała się żołnierzami armii Andersa, niemogącymi wrócić do ojczyzny. Filip Adwent we Francji zdobył wykształcenie medyczne, we francuskich szpitalach pracował jako lekarz anestezjolog. Od momentu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce Filip Adwent przez 15 lat organizował pomoc humanitarną dla mieszkańców Jarosławia, Rzeszowa i Przemyśla. W 1995 r. został za to odznaczony przez ministra zdrowia orderem „Za Zasługi dla Ochrony Zdrowia”. Do Polski Filip Adwent wrócił w roku 1996, a w 2004 r. ukończył studia podyplomowe w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie z zakresu ochrony środowiska. W tym samym roku z

ramienia Ligi Polskich Rodzin został posłem do Parlamentu Europejskiego, startując z Podkarpacia. Na forum PE mówił o konieczności obrony rodziny i życia od poczęcia do naturalnej śmierci.

Zarówno na spotkaniach w Polsce, jak i w PE przestrzegał przed wyprzedaną polskiej ziemi. Alarmował: tyle polskiej własności, ile polskiej ziemi. W swoich publikacjach Filip Adwent podkreślał znaczenie ziemi; przestrzegał przed jej wykupem na przykładzie Lotaryngii i Alzacji, gdzie wiele gruntów zostało wykupionych przez Niemców.

W swojej publicznej działalności stawał w obronie miejsc pracy m.in. w fabryce LU Polska w Jarosławiu, Alima Gerber w Rzeszowie, zakładów mięsnych w Dębicy, Rzeszowskich Zakładów Energetycznych. Interweniował w sprawie dopłat bezpośrednich, unijnych rygorów terminowych, sprowadzania do UE owoców miękkich z Azji, w sytuacji gdy Polska zapewnia połowę unijnej produkcji owoców miękkich, a tuż przed śmiercią rozpoczął organizowanie transportów truskawek do Francji z pominięciem pośredników. Mobilizował rolników do zakładania grup producenckich i aby skuteczniej bronić polskiej ziemi przed wyprzedaną, rozpoczął pracę nad budową Instytutu Ziemi pod Zamościem.

Filip Adwent nie żyje Tajemniczy wypadek

Ciepły dzień w str. 1
Także drugi jego córka i 79-letnia matka, trafiła do szpitala. Córka przeżyła w szpitalu wypadek w szpitalu.
Kierowca ciężarówki nie się nie stało. Wciąż nie wiadomo, dlaczego doszło do wypadku. Oficer dyżurny Miasteczki Konecny Wojewódzkiej Policji z siedzibą w Radomiu mówił. Kierowca ciężarówki mówił, że nie wie, dlaczego tak się stało.
Policja prowadziła w piątek przeszukiwanie w pobliżu domu. Władcy trafili na coś tak ważnego, że postanowiono wykonać egzaminację w sposób standardowy, lecz bardzo brutalny.
Opiszę, co tym wiecie, proszę o ew. korekty (do mnie) i niezaprzeczanie tego saksu.
Dni 18 lipca poseł Filip Adwent z rodziną jechali na cmentarz rodzinny w (czy polski) Głocin. Na szaniec posł Głocinca na cmentarz odjeżdżał samochodem TIR. Zgodnie na miejscu Oficer posła Stanisław (lat 85) i córka Maria lat 19.
Druga córka żyje, poseł jest w szpitalu. Z tyłu na TIR'a

lat życia. Mówił, że sadziła ze strony matki wychylała za chlebem. Z kolei sadziła ze strony ojca, wytknęła, walczyła z bronią w rękę w wieszak. Póki i po wojnie została na Zaskradzie. Jego matka pracowała m.in. w Radzie Europy. W Strzebarze składowy strażnik medyczny. Potem pracował jako lekarz asystujący w francuskich szpitalach. Po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego przez 15 lat opozycjonistą, potem lekarzem, kłosa trafiła do Jasowatki, Roznowa i Przemyśla. W 1995 r. minister zdrowia przyznał mu za to odznaczenie "Za Zasługi dla Odkryty Zdrówia". Był autorem kilku książek na temat Unii Europejskiej, napisał m.in. "Wyzwolenie polskiej ziemi" i "Dziękuję Unii Europejskiej za opiekę dla Polski". Filip Adwent

Z prac w Parlamencie Europejskim Bank Światowy, eurokonstytucja i polska wieś

W trakcie wyjazdu 12 maja 2006 roku o 10:54 do rybaków „Naszego Działania”, Podsekretarz Stanu Ministerstwa Ochrony Środowiska, Pan Zbigniew Witkowski, polecił zejść z pokłonu Piotrem Kraińskim, ujawnił wstrząsającą wiadomość o samobójstwie Bank Światowego rybaków polskich rybaków...
Oto fragment jego wypowiedzi: [...] Nie jestem ostatecznym polskiego rybaków. Poproszę jak nasz kierownik przed skierowaniem do Bank Światowego, aby opowiedzieć, w tym i rybaków rybaków, że Polska w ramach projektu z Bank Światowego, otrzymała, ciężką, która zawiera swoją rybaków rybaków rybaków rybaków...
Ciepły dzień w str. 1

albożyma powierzenia, prosta cząga wprost, naszych i miłostkę podziękowań, ponieważ oburzył polską ziemi rybaków. Kto ją kopie? Nieszy? Hłota dany? Dany? Bank? Prze-...
Jezeli Polska uzyskała politykę od Banku Światowego, nie oblega rybaków, że znacząca rybaków, to rybaków rybaków rybaków rybaków...
Taka się dzieje, bo Polska nie jest już wolna. Tak się dzieje, bo rybaków, że Unii Europejskiej, Polska stała się swoją rybaków rybaków rybaków rybaków...
Taka się dzieje, bo Polska nie jest już wolna. Tak się dzieje, bo rybaków, że Unii Europejskiej, Polska stała się swoją rybaków rybaków rybaków rybaków...
Taka się dzieje, bo Polska nie jest już wolna. Tak się dzieje, bo rybaków, że Unii Europejskiej, Polska stała się swoją rybaków rybaków rybaków rybaków...

Po „wypadku” posła Adwenta

Nad „wypadkiem” europosła Filipa Adwenta zapisała w mediach cała Polska. Władcy trafili na coś tak ważnego, że postanowiono wykonać egzaminację w sposób standardowy, lecz bardzo brutalny.
Opiszę, co tym wiecie, proszę o ew. korekty (do mnie) i niezaprzeczanie tego saksu.
Dni 18 lipca poseł Filip Adwent z rodziną jechali na cmentarz rodzinny w (czy polski) Głocin. Na szaniec posł Głocinca na cmentarz odjeżdżał samochodem TIR. Zgodnie na miejscu Oficer posła Stanisław (lat 85) i córka Maria lat 19.
Druga córka żyje, poseł jest w szpitalu. Z tyłu na TIR'a

stojach jeszcze samochód, w lasy zginęli dwaj ludzie. Kierowca TIR'a podobno nie wie, dlaczego zjechał na gwałtownie w przeciwnym kierunku. Z tego, co wiemy, został przez policję WYPUSZCZONY z arestów. W przypadku takich ciężkich skutków wypadku NIGDY się nie wypuszcza podejrzanych o zabójstwo lub uszkodzenie.
W mediach - (TV, radio, prasa) informujących chętnie o różnych dziurach - NICO WYBĄDKU i jego przypuszczalnych przyczynach. UWAGA! - ZE POSEŁ JAKOŚ trafił w sedno mafijnych spraw w Polsce. Nie wiemy, co to było (i jest).

Zdawało się, że to koniec z dziurką Michała Palumasa w 1991 r. (FOZZ) i Marka Papuły przed 5 (czyli) laty. Tei - Study oczywiście są "niebezpieczne" dla Ogłoszeń.
Prawa tym:
Przyznajemy, że Dariusz Tytus (Przywódcą) został w 1991 (lub 92) WYPU-SZCZONY za granicę z matkami FOZZ i TRAG, po nie drugi został wypuszczony przez ABW w marcu 2005, po skazaniu w prokuraturze FOZZ na (czyli) 3,5 roku...
I "niektóre nie wie, gdzie ON jest..."
Mławsław Dakowski

Przenumerata GŁOSU	Przenumerata GŁOSU	Przenumerata GŁOSU	Przenumerata GŁOSU
za okres:.....	za okres:.....	za okres:.....	za okres:.....
Przenumerata kwartalna = 52 zł Przenumerata półroczna = 104 zł Przenumerata roczna = 208 zł	Przenumerata kwartalna = 52 zł Przenumerata półroczna = 104 zł Przenumerata roczna = 208 zł	Przenumerata kwartalna = 52 zł Przenumerata półroczna = 104 zł Przenumerata roczna = 208 zł	Przenumerata kwartalna = 52 zł Przenumerata półroczna = 104 zł Przenumerata roczna = 208 zł

Przenumerata Krajowa

Filip Adwent
15 maja 2005 r.

14 GŁOS (26/1093)

Po wypadku Filipa Adwenta media podawały w wątpliwość przypadkowość tragicznego zdarzenia

Po wypadku nieprzytomnego Filipa Adwenta oraz jego ciężko ranną matkę Jeanne przetransportowano do szpitala. Europoseł został przewieziony śmigłowcem do Centralnego Szpitala Klinicznego przy ul. Banacha w Warszawie, z którego dzień później, 19 czerwca 2005 r., został przewieziony do kliniki STOCER w Konstancinie. Pięć dni później u Filipa Adwenta stwierdzono zaburzenia pracy mózgu. Ponieważ w konstancińskim szpitalu nie było ani rezonansu magnetycznego, ani tomografu komputerowego, europosła przewieziono na oddział intensywnej terapii szpitala Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ul. Wołoskiej w Warszawie. Badanie wykazało rozległy obrzęk mózgu — dwa dni później, 26 czerwca 2005 r., Filip Adwent zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku. Dzień później zmarła matka europosła Jeanne Adwent.

W trakcie śledztwa okazało się, że sprawca wypadku Radosław Fijoł nie dość że jechał niesprawnym samochodem, to na dodatek był pod wpływem narkotyków. W jego krwi pobranej do badań tuż po wypadku stwierdzono obecność amfetaminy. Prowadzący śledztwo prokurator zażądał zastosowania aresztu tymczasowego wobec Fijoła, jednak Sąd Rejonowy w Grójcu nie uwzględnił tego wniosku, uzasadniając, że materiał dowodowy został w znacznej części zabezpieczony, nie zachodzi obawa matactwa, a wypadek, w którym zginęło sześć osób, Radosław Fijoł spowodował nieumyślnie. Prokurator odwołał się od tej decyzji do Sądu Okręgowego w Radomiu, który podtrzymał decyzję grójeckiego sądu.

Zdaniem Marcina Dybowskiego prowadzący śledztwo nie był zainteresowany wyjaśnieniem rzeczywistych przyczyn wypadku — nie chciał słuchać, co mają do powiedzenia na temat ewentualnych przyczyn tragedii najbliżsi współpracownicy europosła. Krzysztof Witko, szef jarosławskiego biura posła Adwenta, z którym europoseł widział się tuż przed swoją śmiercią, został przesłuchany dopiero dziewięć miesięcy po tragicznym wypadku, podobnie jak inny najbliżsi współpracownicy Filipa Adwenta. Okazało się, że europoseł otrzymywał pogróżki: po jego śmierci nie znaleziono dokumentów, które miał ze sobą w dniu tragedii.

Radosław Fijoł za nieumyślne spowodowanie wypadku został skazany na 5

lat więzienia — wyrok ten utrzymał w mocy najpierw sąd apelacyjny, a później — po kasacji rodziny Filipa Adwenta — Sąd Najwyższy.

W związku z niewyjaśnionymi okolicznościami wypadku posłowie LPR kierowali do prokuratora generalnego interpelacje poselskie. Poniżej treść jednej z odpowiedzi na nie.

5 kadencja Sejmu

Odpowiedź prokuratora krajowego, zastępcy prokuratora generalnego — z upoważnienia ministra — na zapytanie nr 89

w sprawie okoliczności tragicznego wypadku posła do Parlamentu Europejskiego Filipa Adwenta

Szanowny Panie Marszałku! Odpowiadając na przekazane przy piśmie nr SPS-024-89/05 zapytanie Pana Posła Zygmunta Wrzodaka w sprawie działań prokuratury dotyczących zbadania okoliczności wypadku samochodowego, w którym zginął m.in. eurodeputowany Filip Adwent, uprzejmie przedstawiam, co następuje.

W Prokuraturze Okręgowej w Radomiu kontynuowane jest — wszczęte postanowieniem Komendy Powiatowej Policji w Grójcu z dnia 19 czerwca 2005 r. — śledztwo w sprawie wypadku drogowego zaistniałego w dniu 18 czerwca 2005 r. w Grójcu, w następstwie którego na miejscu zdarzenia śmierć poniosły cztery osoby, a dwie doznały obrażeń ciała, tj. o przestępstwo określone w art. 177 § 2 K.k.

W jego toku zarzut spowodowania tego wypadku przedstawiony został Radosławowi Fijołowi, który, kierując samochodem ciężarowym marki MAN, zjechał na lewy pas ruchu i doprowadził do zderzenia z trzema innymi pojazdami, w następstwie czego sześć osób poniosło śmierć.

Z uwagi na konieczność uzyskania opinii co do poczytalności podejrzanego oraz potrzebę przeprowadzenia wszystkich czynności niezbędnych do pełnego wyjaśnienia okoliczności zdarzenia postanowieniem Prokuratury Apelacyjnej w Lublinie z dnia 19 września 2005 r. okres trwania śledztwa przedłużony został o dalsze trzy miesiące.

Z treści wydanej w dalszym jego toku opinii psychiatrycznej wynika, że Radosław Fijoł w czasie popełnienia zarzuczonego mu czynu miał zachowaną zdolność

rozpoznania jego znaczenia i pokierowania swym postępowaniem.

Aktualnie zgromadzony w śledztwie materiał dowodowy uzasadnił zmianę przedstawionego podejrzanemu zarzutu przez zakwalifikowanie zdarzenia jako katastrofy komunikacyjnej, tj. przestępstwa określonego w art. 173 § 2 i 4 K.k.

W ramach weryfikacji wersji celowego doprowadzenia do zderzenia pojazdów kierowanych przez Radosława Fijoła i Filipa Adwenta m.in. zlecono biegłym z zakresu techniki samochodowej i ruchu drogowego przeprowadzenie dodatkowych oględzin obydwu samochodów w celu ujawnienia ewentualnego zamontowania w nich urządzeń elektronicznych umożliwiających zlokalizowanie położenia pojazdów oraz śledzenie toku ich ruchu.

W związku ze stwierdzeniem w wyniku szczegółowych badań toksykologicznych obecności amfetaminy we krwi pobranej od Radosława Fijoła wywołano ponadto kolejną opinię specjalistyczną dla ustalenia wpływu tego na prowadzenie przez podejrzanego pojazdu mechanicznego w dniu zdarzenia. W zależności od jej treści rozważona zostanie potrzeba uzupełnienia Radosławowi Fijołowi zarzutu popełnienia przestępstwa mu zarzucanego w związku z art. 178 K.k.

W najbliższym czasie ukończenie postępowania przygotowawczego nie jest możliwe. Wywołane ostatnio opinie biegłych nie zostały bowiem jeszcze opracowane. Nie zrealizowano także wszystkich zaplanowanych przesłuchań świadków.

Mając na względzie konieczność wykonania wskazanych czynności procesowych i ewentualnie innych, których potrzeba przeprowadzenia może się jeszcze wyłonić, czas trwania śledztwa postanowiono przedłużyć o dalsze trzy miesiące, tj. do 18 marca 2006 r.

Odnosząc się do podniesionej przez Pana posła kwestii odmowy zastosowania tymczasowego aresztowania wobec Radosława Fijoła, uprzejmie informuję, że Sąd Rejonowy w Grójcu postanowieniem z dnia 21 czerwca 2005 r. nie uwzględnił wniosku prokuratora w przedmiocie zastosowania wobec podejrzanego Radosława Fijoła tymczasowego aresztowania. W uzasadnieniu podniósł, że materiał dowodowy w znacznej części został już zabezpieczony, a ze strony podejrzanego nie zachodzi obawa matactwa. Ponadto prowadzi on ustabilizowany tryb życia, nie był dotychczas karany. Zarzucane mu przestępstwo ma zaś charakter nieumyślny.

Na postanowienie to złożył zażalenie prokurator. Zarzucił mu błąd w ustaleniach

faktycznych przyjętych przez sąd za podstawę orzeczenia, polegający na niezasadnym przyjęciu, że brak jest podstaw do zastosowania wobec podejrzanego Radosława Fijoła środka izolacyjnego w sytuacji, gdy prawidłowa ocena przesłanek dotyczących stosowania środków zapobiegawczych w aspekcie zebranego materiału dowodowego wskazuje, iż zastosowanie wobec podejrzanego Radosława Fijoła tymczasowego aresztowania z uwagi na grożącą mu surową karę i wpływającą z tego faktu obawę utrudniania postępowania jest w pełni uzasadnione. W konkluzji prokurator wniósł o zmianę zaskarżonego postanowienia i zastosowanie wobec podejrzanego Radosława Fijoła tymczasowego aresztowania na okres trzech miesięcy.

Sąd Okręgowy w Radomiu uznał jednak, że zażalenie prokuratora nie zasługuje na uwzględnienie. Podkreślił, że Sąd Rejonowy prawidłowo ocenił zebrane dowody, dochodząc do słusznego wniosku, że w niniejszej sprawie — mimo niewątpliwie tragicznych skutków wypadku drogowego — nie ma potrzeby stosowania wobec podejrzanego najsurowszego środka zapobiegawczego, jakim jest tymczasowe aresztowanie. Uznał, że samo zagrożenie surową karą pozbawienia wolności nie może przesądzać o konieczności stosowania tymczasowego aresztowania. Co do podejrzanego uznał, że nie występuje uzasadniona obawa uchylania się przez niego od wymiaru sprawiedliwości. Podejrzanym przyznał się do popełnienia nieumyślnego występku, prowadzi ustabilizowany tryb życia, ma stałe miejsce zamieszkania i nie był dotychczas karany. Sąd przyjął, że sam fakt, iż podejrzanym jest bezrobotny i podejmuje prace dorywcze, nie może — zważywszy na dotychczasowy nienaganny tryb życia — przesądzać o tym, że będzie on utrudniał postępowanie karne w niniejszej sprawie, zaś po spowodowaniu wypadku drogowego zachowywał się tak, jak przewidują to przepisy ruchu drogowego, udzielając niezbędnej pomocy poszkodowanym.

Postanowienie Sądu Okręgowego w Radomiu jest ostateczne w toku instancji i dalszemu zaskarżeniu nie podlega.

Końcowo informuję, że prowadzący śledztwo wnikliwie badają przeszłość zawodową podejrzanego w zakresie niezbędnym dla celów postępowania przygotowawczego. Z ustaleń tych nie wynika, by Radosław Fijoł był zatrudniony w „firmie skórzanej z Biłgoraja, której właścicielem jest B. Bagsik”.

Łączę wyrazy szacunku

Prokurator krajowy

Janusz Kaczmarek

Warszawa, dnia 28 grudnia 2005 r.

Śmierć członków Stowarzyszenia „Arka” Utajnione akta wypadku

Kwiecień 1999 r. Kapitan żeglugi wielkiej Bolesław Hutyra rejestruje Stowarzyszenie Akcjonariuszy i Obrońców Stoczni Gdańskiej „Arka”. W ciągu kilku miesięcy Arka zebrała 2,5 tys. pełnomocnictw drobnych akcjonariuszy Stoczni Gdańskiej i domagała się zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy oraz sądowego unieważnienia sprzedaży.

Przedstawiciele Stowarzyszenia, chcąc uratowania stoczni, spotykają się z przedstawicielami władz. Na 15 września 2000 r. zostaje wyznaczone spotkanie z ówczesnym ministrem skarbu Andrzejem Chronowskim. Na te rozmowy jadą: 63-letni Andrzej Bugajski, 64-letni Bolesław Hutyra i 64-letni Marian Moćko. Jest piękna pogoda i mały ruch na drodze. W okolicach Nidzicy nagle na ich samochód Opel Calibra najeżdża maszyna drogowa, zbierająca asfalt potężna frezarka. Andrzej Bugajski, Marian Moćko giną na miejscu, Bolesław Hutyra umiera w drodze do szpitala. Dzień po tragedii w hali sportowej na gdańskim Przymorzu odbywa się Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy Stoczni Gdańskiej w upadłości zwołane na wniosek Stowarzyszenia Akcjonariuszy i Obrońców Stoczni Gdańskiej „Arka”, którzy chcą unieważnienia upadłości stoczni. Wtedy zgromadzeni dowiadują się o śmierci swoich kolegów. Większość z nich nie wierzy, że był to zwykły wypadek.

Prowadząca na miejscu wypadku czynności śledcze policja nie stwierdza ani śladów poślizgu, ani też śladów intensywnego hamowania. Nie wiadomo też, dlaczego kierowca frezarki uruchomił maszynę akurat o tej porze — według nieoficjalnych informacji w czasie śledztwa stwierdzono nieprawidłowości m.in. w związku z dopuszczeniem frezarki do pracy. Biegli nie potrafili jednoznacznie stwierdzić przyczyn wypadku — 29 sierpnia 2001 r.

śledztwo zostało umorzone.

Według przedstawicieli olsztyńskiej prokuratury, która nadzorowała śledztwo, była to sprawa szczególnej wagi, brano nawet pod uwagę eksplozję ładunku wybuchowego.

Dostawaliśmy różne informacje, w tym o prowokacji służb specjalnych, WSI czy byłej SB, ale ostatecznie nic nie potwierdziło działalności osób trzecich. Samochód rozebraliśmy na czynniki pierwsze — do śrubek. Był sprawny. Znaleźliśmy natomiast świadków mówiących, że pędził znacznie powyżej dozwolonej prędkości. Kierowca prawdopodobnie jechał tak szybko, bo panowie w aucie byli spóźnieni na spotkanie w ministerstwie — mówił dziennikarzom rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Olsztynie Mieczysław Orzechowski.

Sprawą interesował się minister sprawiedliwości Lech Kaczyński — gdy Jerzy Buzek odwołał go z funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, śledztwo w sprawie wypadku zostało umorzone.

W lutym 2015 r., w trakcie zbierania materiałów do niniejszej książki, zwróciłam się do Prokuratury Rejonowej w Nidzicy o dostęp do akt śledztwa w sprawie wypadku drogowego, w którym śmierć ponieśli Andrzej Bugajski, Marian Moćko i Bolesław Hutyra.

Jak czytamy w piśmie z 6 lutego 2015 r., „kierując się dobrem stron postępowania przygotowawczego jak również faktem, iż na podstawie przepisów postępowania karnego każde postępowanie przygotowawcze jest objęte zasadą tajności”, szefowa nidzickiej prokuratury Małgorzata Abucewicz-Pena odmówiła udostępnienia akt; nie uzyskałam także uzasadnienia umorzenia postępowania.

* * *

„Dlaczego Skarb Państwa, który ma 60 procent akcji stoczni, nie egzekwuje prawomocnego wyroku sądu?” — mówił tuż przed wypadkiem Bolesław Hutyra. Członkowie Arki uważali, że ten wyrok pozwala

twierdzić, iż upadłość stoczni była niezgodna z prawem. Domagali się powołania nowych członków rady nadzorczej. Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy rozpoczęło się 26 sierpnia — przedstawiciele Ministerstwa Skarbu Państwa poprosili najpierw o przełożenie spotkania, nie pojawili się także na kolejnym. W związku z tym członkowie Arki postanowili działać i wybrali trzech nowych członków rady: prawnika Romana Giertycha, Jana Piotra Koziatka, przewodniczącego Arki, i Witolda Hatkę, przewodniczącego Rady Nadzorczej Wielkopolskiego Banku Rolniczego z Kalisza. Trzech następnych członków miał zgłosić Skarb Państwa, a kolejnych — załoga Stoczni Gdańskiej.

Po śmierci działaczy [Andrzeja Bugajskiego, Mariana Moćki i Bolesława Hutyry — red.]. Giertych bierze się ostro do działania, gdyż jest wskazany przez stowarzyszenie jako prawnik mający poprowadzić drugą część walnego zgromadzenia akcjonariuszy i mocą Sądu Okręgowego w Gdańsku zatwierdzony do swojej, jak się później okazało, kluczowej roli. Poproszony kilka dni wcześniej o pomoc, a rekomendowany stowarzyszeniu jako uczciwy i wierny Polsce patriota. Jego praca ma być w tych dniach charytatywna i całkowicie oddana idei uratowania stoczni przed upadkiem i grabieżą majątku. W stowarzyszeniu zapanowała euforia, że taki mecenas, z takiego rodu, i z poglądami narodowymi włączy się do pomocy. Kapitan Hutyra głośno mówił, że teraz to dopiero mają superprawnika i sprawy nareszcie ruszą dynamicznie do przodu. Niestety, Bolesława Hutyry i jego najbliższych współpracowników zabraknie na walnym, jednakże Giertych posiada instrukcje, co i jak należy zrobić. Ma również dodatkowe atuty, gdyż na walnym jego drugiej części nie pojawia się większościowy udziałowiec Stoczni Gdańskiej — Skarb Państwa, a zatem nareszcie stoczniowcy mogą przegłosować wszystko. Mecenas Giertych ma niepowtarzalną szansę wprowadzić szereg dodatkowych uchwał, ale przede wszystkim zrealizować plan tych, którzy już nie żyją. Gazety piszą: „Walne pośród zniczy”. Tak, Giertych bierze się „ostro do pracy” i nie robi nic. Na dwa dni przed swoją śmiercią główni działacze stowarzyszenia konstruują plan obrad walnego zgromadzenia. Nadrzędnym celem ma być ukonstytuowanie się nowej Rady Nadzorczej Stoczni Gdańskiej w upadłości, która później będzie miała na celu wybranie nowego zarządu

— tak o roli mec. Giertycha pisał na swoim blogu na stronie radia Wnet Tomasz Hutyra, syn kapitana Hutyry. Jak wiadomo, nie doszło do zrealizowania planowanych zamierzeń — działania Stowarzyszenia „Arka” nie doprowadziły do cofnięcia ogłoszonej upadłości. Jednak przedstawiciele Stowarzyszenia postanowili walczyć w inny sposób — skierowali do sądu pozew, w którym domagali się naprawienia krzywdy, w wysokości 70 mld dolarów, powstałej w wyniku upadku Stoczni Gdańskiej. Jak czytamy w pozwie przeciwko Skarbowi Państwa, członkowie Stowarzyszenia Akcjonariuszy i Obrońców Stoczni Gdańskiej „Arka” nabyli na przełomie lat 80. i 90. ub. wieku z związku z likwidacją stoczni przez premiera Mieczysława Rakowskiego prawa do akcji firmy, ale do dziś ich nie otrzymali. Stocznia Gdańska w stan likwidacji została postawiona 1 listopada 1988 r., mimo najlepszych wyników ekonomicznych ze wszystkich liczących się stoczni polskich. Pretekstem likwidacji były słabe wyniki ekonomiczne; faktycznym — antykomunistyczna działalność stoczniowców.

Pieniądze, o których wypłatę wnieśli do sądu przedstawiciele Arki, zarówno w formie akcji zakładu, jak i odszkodowania, miałyby trafić do ok. 12 tys. byłych i obecnych pracowników stoczni. Proces w tej sprawie rozpoczął się w 2014 r. przed Sądem Okręgowym w Gdańsku. Przed sądem reprezentantem Stowarzyszenia został Wincenty Koman, prezes „Arki”.

* * *

Działalność Bolesława Hutyry budziła sprzeciw tych, którym zależało na ostatecznej likwidacji stoczni. Jak pisała „Gazeta Polska”, w 1956 r. Bolesław Hutyra aktywnie uczestniczył w protestach przeciwko pozostawieniu sowieckich doradców wojskowych w jednostkach Wojska Polskiego. Sprzeciwiał się także ówczesnemu ministrowi obrony narodowej Konstantemu Rokossowskiemu.



Wincenty Koman, prezes Stowarzyszenia „Arka”, nie uwierzył, że wypadek jego kolegów był zwykłym przypadkiem

Grudzień 1970. Na ulicach Trójmiasta trwają walki uliczne. ZOMO brutalnie rozprawia się z protestującymi stoczniovcami. Walki toczą się w dymie gazów łzawiących i petard, milicjanci używają broni palnej, giną pierwsi ludzie. Od kilku dni na terenie całego Wybrzeża trwa stan wyjątkowy. W Sztapie Marynarki Wojennej w Gdyni rozpoczyna się odprawa służbowa dowódców okrętów. Wszystkie jednostki mają być w pełnej gotowości bojowej. W każdej chwili mogą być użyte przeciw protestującym. „Do robotników strzelać nie będę” — oświadcza zdumionym przełożonym młody kapitan. Rzuca na ziemię czapkę, zdejmuje oficerski pas, wychodzi z sali trzaskając drzwiami. Oficerowie są tak zaskoczeni, że nikt nawet nie próbuje zatrzymać buntownika. Jego postawa imponuje nie tylko kolegom, ale także części przełożonych. W rezultacie Marynarka Wojenna nie uczestniczy w pacyfikacji Wybrzeża. Do Trójmiasta zostaje wysłany pułk zmechanizowany z Wałcza. Żołnierze dokonują masakry. Na ulicach słychać krzyki ludzi rozjeżdżanych przez gąsienice czołgów. Ostateczny bilans wydarzeń grudniowych — przynajmniej 44 osoby zabite, ponad tysiąc rannych. Rodziny ofiar nie mogą nawet ustalić miejsca pochówku

swoich bliskich. Stoczniovcy i ich rodziny na zawsze zapamiętają te dni. Zapamiętają też kapitana Marynarki Wojennej Bolesława Hutyre, który jako pierwszy oficer odmówił strzelania. Spalił w ten sposób za sobą mosty w wojsku. Zyskał szacunek i ogromną sympatię stoczniovców

— czytamy w artykule *Zginął z miłości do stoczni* autorstwa Przemysława Harczuka i Piotra Łuczuka zamieszczonym na łamach „GP” w lipcu 2007 r.

Po śmierci Bolesława Hutyry pojawiły się informacje o jego konflikcie z o. Tadeuszem Rydzykiem, który w 1997 r. powołał Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej. Komitet zbierał dobrowolne wpłaty, a na jego czele stanął właśnie Bolesław Hutyra. Poza kapitanem w skład komitetu weszli o. Tadeusz Rydzyk, biskup sandomierski Edward Frankowski, ówczesna senator Jadwiga Stokarska, senator LPR Adam Biela, prof. Jacek Trznadel, były rektor KUL ks. prof. Mieczysław Krąpiec, prof. Piotr Jaroszyński i Zbigniew Sulatycki, wiceminister transportu w rządzie Jana Olszewskiego.

Pojawiły się oskarżenia o współpracę Bolesława Hutyry ze służbami specjalnymi PRL — kpt. Hutyra złożył w sądzie wnioski o autolustrację, jednak ten odmówił — w myśl ówczesnych przepisów nie można było przeprowadzić procesu wobec osoby, która nie zajmowała funkcji publicznych. W archiwach IPN zachowała się deklaracja Bolesława Hutyry, że nie będzie działać przeciwko władzom PRL.

W związku ze zbiórką pieniędzy na ratowanie stoczni przez o. Tadeusza Rydzyka Prokuratura Okręgowa w Toruniu wielokrotnie umarzała postępowania w sprawie pieniędzy przekazanych na ratowanie Stoczni Gdańskiej — decyzje te są prawomocne.

PROKURATURA REJONOWA
13-100 NIDZICA
ul. Kościuszki 28
tel./fax (0-89) 625 28 75
(0-89) 625- 40-56
Sygn. akt: **Ds. 659/01**

ODPIS

Nidzica, dn.16 lutego 2015 r.

ZARZĄDZENIE

Małgorzata Abucewicz-Pena Prokurator Rejonowy w Nidzicy, po zapoznaniu się z pismem przesłanym drogą elektroniczną przez Dorotę Kania z Gazety Polskiej z dnia 5 lutego 2015 r. o wyrażenie zgody na wgląd i sfotografowanie akt umorzonych postępowania o sygn. Ds. 659/01

na podstawie art. 4 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. Prawo prasowe (Dz. U. z 1984 r. Nr 5, poz. 24 ze zm.) w zw. z art. 326 § 3 pkt 4 kpk

zarządził

odmówić Dorocie Kania z Gazety Polska informacji prasowej polegającej na umożliwieniu wglądu do akt postępowania sygn. Ds. 659/01 oraz ich sfotografowania

Uzasadnienie

Prokurator Rejonowy w Nidzicy postanowieniem z dnia 29 sierpnia 2001 r. umorzył postępowanie sygn. Ds. 659/01 o czyn z art. 177§ 2 kk.

Pismem przesłanym w formie maila z dnia 5 lutego 2015 r. Dorota Kania i Robert Karuz z Gazety Polskiej zwrócili się o udzielenie informacji prasowej poprzez wgląd do akt postępowania Ds. 659/01 i ich sfotografowania.

W związku z powyższym, mając na uwadze treść art. 4 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. Prawo prasowe (Dz. U. z 1984 r. Nr 5, poz. 24 ze zm.) stwierdzić należy, iż organ postępowania przygotowawczego może odmówić zgody na udzielenie prasie informacji, gdy informacja jest objęta tajemnicą na podstawie odrębnych przepisów lub gdy narusza ona prawo do prywatności uczestników-stron postępowania.

W niniejszej sprawie, kierując się dobrem stron postępowania przygotowawczego, jak również faktem, iż na podstawie przepisów kodeksu postępowania karnego, każde postępowanie przygotowawcze jest objęte zasadą tajności, należało zarządzić jak na wstępie.

PROKURATOR REJONOWY

Małgorzata Abucewicz-Pena

Pouczenie:

Na powyższe zgodnie z art. 4 ust. 4 ustawy dnia 26 stycznia 1984 r. Prawo prasowe (Dz. U. z 1984 r. Nr 5, poz. 24 ze zm.) służy skarga do Sądu Administracyjnego w terminie 30 dni.

Zarządzenie:

Stosownie do art. 100 §2 kpk doręczyć składającej pismo.

Pismo Prokuratury Rejonowej w Nidzicy, w którym odmówiono dostępu do akt śledztwa w sprawie śmiertelnego wypadku członków Stowarzyszenia „Arka”

Odpowiedź zastępcy prokuratora generalnego — z upoważnienia ministra —

na interpelację nr 4022

**w sprawie postępowania przygotowawczego prowadzonego przez prokuratury
dotyczącego zbierania przez Radio Maryja środków na ratowanie Stoczni
Gdańskiej**

Szanowny Panie Marszałku! Odpowiadając na przekazaną przy piśmie z 2 lipca 2008 r. (numer SPS--023-4022/08) interpelację panów posłów Cezarego Tomczyka i Krzysztofa Tyszkiewicza w sprawie postępowania przygotowawczego dotyczącego zbierania przez Radio Maryja środków na ratowanie Stoczni Gdańskiej, uprzejmie informuję, że w zakresie zagadnień podniesionych w interpelacji panów posłów prowadzono następujące postępowania karne.

I. Sprawa o sygn. 2 Ds 358/01 ówczesnej Prokuratury Rejonowej w Toruniu zainicjowana została zawiadomieniem osoby fizycznej z 10 stycznia 2001 r., w którym wskazano na bliżej niesprecyzowane nieprawidłowości zaistniałe podczas rozpropagowanej w mediach akcji zbierania pieniędzy na ratowanie Stoczni Gdańskiej.

Przesłuchany w charakterze świadka zawiadamiający zeznał, że nie dokonał żadnych wpłat na rzecz Stoczni Gdańskiej lub Radia Maryja, a informacje o zbiórce czerpał jedynie z prasy. Postępowanie zakończono postanowieniem z 5 marca 2001 r. o odmowie wszczęcia dochodzenia wobec braku danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia przestępstwa.

II. Postępowanie o sygn. V Ds 10102 Prokuratury Okręgowej w Gdańsku dotyczyło przywłaszczenia pieniędzy zebranych w drodze zbiórki publicznej w 1998 r. na terenie całego kraju na ratowanie Stoczni Gdańskiej.

Zawiadomienie w tej sprawie złożyła osoba fizyczna, która przesłuchana w charakterze świadka podała, że w wyniku akcji miano zebrać 160 mln USD, które w całości zostały zgromadzone na koncie Radia Maryja.

Prokurator po zapoznaniu się z treścią materiałów zgromadzonych w toku postępowania sprawdzającego uznał, że fakt popełnienia przestępstwa nie został uprawdopodobniony i w związku z tym, postanowieniem z 18 października 2002 r., odmówił wszczęcia śledztwa o przestępstwo z art. 284 § 2 K.k. wobec stwierdzenia, że brak jest danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia czynu na

podstawie art. 17 § 1 pkt 1 K.p.k.

III. Postępowanie sprawdzające o sygn. V Ds 9/02 Prokuratury Okręgowej w Toruniu wdrożono w wyniku pism kolejnej osoby fizycznej, która zwróciła się do prokuratury o pomoc w udostępnieniu dokumentacji źródłowej w postaci dowodów wpłat pieniędzy na konto banku PKO w Toruniu na ratowanie Stoczni Gdańskiej, żeby pozyskać odsetki od tych kwot dla reprezentowanego przez siebie Klubu Juliusza Krukowskiego działającego przy Ogólnopolskim Związku Akcjonariatu Pracowniczego we Wrocławiu.

W toku podjętych w tej sprawie czynności m.in. uzyskano z Sądu Rejonowego dla Wrocławia-Fabrycznej Wydziału Gospodarczego wyciąg z rejestru stowarzyszenia o nazwie Ogólnopolski Związek Akcjonariatu Pracowniczego we Wrocławiu, z którego wynikało, że zawiadamiający nie reprezentował wskazanego podmiotu. Nadto ustalono, że autor tych pism zmarł w dniu 26 listopada 2001 r.

Wobec poczynionych ustaleń postanowieniem z dnia 30 kwietnia 2002 r. odmówiono wszczęcia śledztwa w sprawie przywłaszczenia odsetek bankowych naliczonych od kwot przekazanych na konto Radia Maryja w Toruniu przez darczyńców w ramach akcji zbierania funduszy na rzecz ratowania Stoczni Gdańskiej i polskiego przemysłu okrętowego, tj. o czyn z art. 284 § 2 K.k., z uwagi na brak uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa, na podstawie art. 17 § 1 pkt 1 K.p.k.

IV. Kolejne postępowanie o sygn. V Ds 14/06 Prokuratury Okręgowej w Toruniu wdrożono na podstawie między innymi publikacji prasowych zatytułowanych: „Przyboczny Rydzyska stracił na giełdzie miliony”, „Ryzykowne akcje”, „Nieudane gry giełdowe Radia Maryja” zamieszczonych w „Gazecie Wyborczej” z 8–9 kwietnia 2006 r. i 10 kwietnia 2006 r.

W toku postępowania sprawdzającego w tej sprawie ustalono, że wiosną 1997 r. zawiązał się Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej i Przemysłu Okrętowego. Zadaniem komitetu była zbiórka środków finansowych na ratowanie Stoczni Gdańskiej poprzez wykupienie akcji Skarbu Państwa. Komitet ten korzystał z pomocy Radia Maryja, które rozpropagowało akcję oraz udostępniło swoje konto bankowe dla wpłat na ratowanie stoczni. Nadto ustalono też, że po sprzedaży Stoczni Gdańskiej i w związku z tym brakiem możliwości realizacji celu zbiórki Radio Maryja

ogłosiło komunikat informujący o możliwości zwrotu pieniędzy wpłaconych na ratowanie upadającej stoczni po okazaniu dowodu wpłaty lub polecenia przelewu.

Po emisji tego komunikatu do rozgłośni wpływały wnioski o zwrot wpłat, a także oświadczenia o ich przeznaczeniu na Radio Maryja. Kserokopie kilkunastu takich oświadczeń oraz wniosków i dokumentów potwierdzających zwrot wypłaconych kwot dołączono do akt sprawy V Ds 14/08.

Postępowanie zostało zakończone postanowieniem z 10 maja 2006 r. o odmowie wszczęcia śledztwa w sprawie:

1) doprowadzenia w latach 1997—1998 w Toruniu i innych miejscowościach na terenie Polski osób dokonujących wpłat, w ramach zbiórki prowadzonej przez Radio Maryja na ratowanie upadającej Stoczni Gdańskiej, do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w postaci środków pieniężnych o wartości co najmniej kilkudziesięciu milionów złotych oraz co najmniej 600 000 świadectw udziałowych Narodowych Funduszy Inwestycyjnych o wartości 6 000 000 zł przez wprowadzenie wpłacających w błąd co do faktycznego przeznaczenia zgromadzonych w trakcie zbiórki środków finansowych, tj. o czyn z art. 286 § 1 K.k., z uwagi na brak znamion czynu zabronionego, na podstawie z art. 17 § 1 pkt 2 K.p.k.;

2) prowadzenia przez Radio Maryja w latach 1997—1998 w Toruniu i innych miejscowościach na terenie Polski bez wymaganego prawem zezwolenia publicznej zbiórki środków finansowych na ratowanie upadającej Stoczni Gdańskiej, tj. o czyn z art. 56 § 1 K.w., z uwagi, że czyn nie zawiera znamion przestępstwa, a stanowi wykroczenie, którego karalność ulega przedawnieniu na podstawie art. 17 § 1 pkt 2 K.p.k.;

3) narażenia Skarbu Państwa na uszczuplenie podatku od darowizn poprzez nieujawnienie właściwemu organowi skarbowemu i niezłożenie deklaracji o uzyskaniu przez Radio Maryja w latach 1997—1998 w Toruniu darowizn w wysokości co najmniej kilkudziesięciu milionów złotych oraz świadectw udziałowych NFI o wartości 6 000 000 złotych, tj. o czyn z art. 54 § 1 K.k.s., z uwagi na przedawnienie karalności na podstawie art. 17 § 1 pkt 6 K.p.k. w zw. z art. 44 § 1 pkt 2 i § 3 K.k.s. i art. 2 § 2 K.k.s. oraz art. 113 K.k.s.

W uzasadnieniu tego postanowienia wskazano, że poczynione w toku postępowania ustalenia nie pozwoliły na stwierdzenie, aby w chwili rozpoczęcia

zbiórki i w trakcie jej trwania Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej i Przemysłu Okrętowego wspólnie z Radiem Maryja miał zamiar zmiany przeznaczenia środków finansowych pochodzących z przyjmowanych wpłat i świadectw udziałowych na inny niż deklarowany cel publiczny.

Odnosnie publicznej zbiórki środków finansowych uznano, że czyn polegający na prowadzeniu publicznej zbiórki ofiar nie jest przestępstwem, a stanowi wykroczenie z art. 56 § 1 K.w., którego karalność uległa przedawnieniu z końcem 1999 r.

W zakresie czynu opisanego w pkt 3 podstawą takiej decyzji była ujemna przesłanka procesowa w postaci przedawnienia karalności czynu polegającego na uchylaniu się od opodatkowania i nieujawnieniu właściwemu organowi przedmiotu lub podstawy opodatkowania. W tym przypadku karalność ewentualnego występku karnoskarbowego upłynęła bowiem z końcem 2004 r.

Natomiast, jak wynika z ustaleń przedstawionych przez prokuratora apelacyjnego w Warszawie, w jednostkach prokuratury okręgu warszawskiego nie ujawniono postępowań, którego przedmiotem były zagadnienia związane ze zbieraniem przez Radio Maryja środków na ratowanie Stoczni Gdańskiej.

W tych warunkach, odnosząc się do pytań sformułowanych przez panów posłów, uprzejmie przedstawiam, co następuje:

1. Kwestia sprawozdania z wyniku oraz sposobu zużytkowania środków uzyskanych ze zbiórki prowadzonej przez Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej i Przemysłu Okrętowego przy pomocy Radia Maryja nie była bezpośrednim przedmiotem postępowania karnego. Tym niemniej z ustaleń dokonanych w toku opisanych powyżej postępowań nie wynika, aby organizatorzy zbiórki uzyskali pozwolenie na jej przeprowadzenie, a tym samym aby podali do wiadomości organu udzielającego pozwolenia dane o wyniku zbiórki i sposobie wydatkowania zebranych środków.

2. i 3. W toku opisanych powyżej postępowań sprawdzających nie podejmowano czynności zmierzających do precyzyjnego ustalenia łącznej wartości ofiar zgromadzonych w wyniku zbiórki prowadzonej na rzecz ratowania Stoczni Gdańskiej przez Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej ani nie badano sposobu rozdysponowania uzyskanych środków, gdyż dane te nie miały znaczenia dla rozstrzygnięcia prowadzonych spraw karnych.

Jak wynikało z uzyskanego w toku postępowania o sygn. V Ds 14/06 prokuratora okręgowego w Toruniu oświadczenia przedstawiciela Radia Maryja, które udostępniło swoje konto bankowe, na wyodrębnione dla celów zbiórki subkonto wpłynęło nieznacznie ponad 7 mln zł i około 1000 świadectw udziałowych. Ponadto Radio Maryja otrzymywało również darowizny w postaci świadectw udziałowych, które zawierały odręczne zapiski o treści „dar dla Radia Maryja”.

Świadectwa te po zdematerializowaniu zainwestowano na giełdzie.

4. W związku z interpelacją panów posłów zasadność decyzji o odmowie wszczęcia postępowania przygotowawczego w opisanych powyżej sprawach o sygn. 2 Ds 358/01, V Ds 10102, V Ds /2 i V Ds 14/06 została poddana analizie w trybie nadzoru w Prokuraturze Apelacyjnej w Gdańsku.

Przeprowadzone badanie aktowe nie doprowadziło do ujawnienia okoliczności pozwalających na zakwestionowanie decyzji o odmowie wszczęcia postępowania karnego lub uzasadniających podjęcie na nowo i kontynuowanie postępowania.

Wcześniej akta spraw o sygn. 2 Ds 358/01, V Ds 101/02 i V Ds 9/02 podlegały również badaniu z urzędu w Biurze Postępowania Przygotowawczego Prokuratury Krajowej. Badanie to nie doprowadziło do wzruszenia prawomocnych orzeczeń o odmowie wszczęcia postępowania przygotowawczego w tych sprawach.

5. Jak wynika z przedstawionych ustaleń, podniesione przez panów posłów okoliczności dotyczące zbiórki ofiar na ratowanie Stoczni Gdańskiej prowadzonej przez Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej i Przemysłu Okrętowego przy udziale Radia Maryja były już przedmiotem odpowiednich ustaleń i oceny w toku prowadzonych wcześniej postępowań.

Przeprowadzona w tym względzie analiza prawnokarna wykazała, że prowadzenie zbiórki publicznej bez wymaganego pozwolenia stanowi wykroczenie stypizowane w art. 56 ust. 1 Kodeksu wykroczeń, którego karalność ustała najpóźniej z końcem 1999 r. W tej sytuacji, zgodnie z art. 5 § 1 pkt 4 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia, nie wszczyna się postępowania, a wszczęte umarza.

Przeprowadzona przy udziale Radia Maryja zbiórka była oceniana również przez pryzmat przepisów karnoskarbowych, przy założeniu, że przekazywane na rzecz Radia Maryja pieniądze i świadectwa udziałowe NFI stanowiły darowiznę podlegającą opodatkowaniu. W sytuacji, gdy podatek od tej darowizny nie zostałby

zapłacony, mogłoby to stanowić podstawę do odpowiedzialności z art. 54 § 1 Kodeksu karnego skarbowego, jednak w tym zakresie prowadzenie postępowania nie byłoby już możliwe, albowiem karalność tego występkę uległa przedawnieniu z końcem roku 2004. Z kolei ocena zachowania kierownictwa Radia Maryja przez pryzmat przepisów Kodeksu karnego, w tym zwłaszcza pod kątem oszustwa na szkodę darczyńców, nie wykazała, aby doszło do popełnienia czynu zabronionego. Z poczynionych ustaleń wynikało bowiem, że wobec braku możliwości realizacji celu prowadzonej zbiórki publicznej, co nastąpiło po przejęciu Stoczni Gdańskiej SA w upadłości przez Stocznę Gdynia SA, Radio Maryja wspólnie ze Społecznym Komitetem Ratowania Stoczni Gdańskiej i Przemysłu Okrętowego podjęło decyzję o zwrocie pieniędzy osobom, które dokonały wpłat. W tym celu nadano w Radiu Maryja stosowny komunikat. Po jego emisji wpłynęły do rozgłośni zarówno wnioski o zwrot, jaki i oświadczenia o przeznaczeniu przekazanych kwot na Radio Maryja. Z poczynionych ustaleń wynikało, że wpłaty zostały zwrócone osobom, które takie wnioski złożyły. W świetle tych ustaleń brak było przesłanek do stwierdzenia, że doszło do popełnienia przestępstwa oszustwa lub innego czynu zabronionego przez ustawę karną. W tej sytuacji brak jest podstaw do podejmowania przez prokuraturę dalszych działań w tym względzie.

W zakresie zagadnień związanych ze zbiórką prowadzoną przez Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej i Przemysłu Okrętowego przy pomocy Radia Maryja prokuratura podejmowała już bowiem przewidziane prawem działania karnoprosesowe i wydała stosowne decyzje merytoryczne, a obecnie nie ujawniono przesłanek uzasadniających podjęcie na nowo któregośkolwiek z prawomocnie zakończonych postępowań lub wdrożenie nowego postępowania w tej kwestii.

Z poważaniem

Zastępca Prokuratora Generalnego

Marek Staszak

Warszawa, dnia 24 lipca 2008 r.

Leszek Tobiasz Tajemnica aneksu i „afery marszałkowska”

Tajemnicza śmierć płk. Leszka Tobiasza i jego uwikłanie w „afere marszałkową”, której głównym bohaterem stał się ówczesny marszałek Sejmu Bronisław Komorowski, sprawiły, że cała historia znakomicie nadaje się na scenariusz szpiegowskiego filmu. Sprawa jest tym bardziej ciekawa, że ani Prokuratura Rejonowa w Zwoleniu, prowadząca śledztwo w sprawie śmierci płk. Tobiasza, ani nadzorująca ją Prokuratura Okręgowa w Radomiu nie odpowiedziała na moje pisma, w których zwracałam się o udostępnienie akt śledztwa dotyczącego śmierci pułkownika WSI.

Na pogrzebie płk. Leszka Tobiasza pojawili się Rosjanie oraz polscy dyplomaci z naszej ambasady w Moskwie i cała plejada funkcjonariuszy z byłych Wojskowych Służb Informacyjnych, z gen. Markiem Dukaczewskim i Markiem Mackiewiczem, byłym funkcjonariuszem oddziału Y w WSI, absolwencie kursów GRU (sowieckiego wywiadu wojskowego). Mackiewicz był także doradcą Andrzeja Leppera oraz sejmowej komisji ds. służb specjalnych z rekomendacji Samoobrony. Ten skład żałobników nie dziwi, biorąc pod uwagę fakt, że Tobiasz jako żołnierz Wojskowej Służby Wewnętrznej po 1990 r. został żołnierzem WSI — nowej-starej specjalnej służby wojskowej.

* * *

W latach 80. Leszek Tobiasz był podwładnym szefa kontrwywiadu WSW płk. Lucjana Jaworskiego. W tym czasie służba podlegała płk. Jaworskiemu zabezpieczała obóz internowania w Jaworzu, gdzie trafił Bronisław Komorowski.

Jak wynika z „Raportu z weryfikacji WSI”, to właśnie podczas internowania Bronisław Komorowski po raz pierwszy zetknął się z późniejszym tajnym współpracownikiem WSI, a wówczas Wojskowej Służby Wewnętrznej, który nosił pseudonim „Tomaszewski”.

„Zadaniem WSW w tym czasie było odizolowanie internowanych od wpływu z zewnątrz, przez co również zapewnienie im wojskowej opieki lekarskiej. W zakresie leczenia stomatologicznego funkcjonował ws. [tajny współpracownik — przyp. red.] «Tomaszewski», który miał bieżące kontakty z w/w dysydentami

(Bronisławem Komorowskim, Maciejem Rayzacherem) z racji ich leczenia, a następnie również charakteru osobistego. Kontakty takie łatwo nawiązywał, mając wesołe usposobienie i będąc otwartym, chętnym do udzielania pomocy. Z tej sytuacji korzystał niejednokrotnie por. Henryk Gut, będący w tym czasie oficerem KW w Olesznie. Jego prośby ws. «Tomaszewski» dot. ustalenia wypowiedzi, zachowania internowanych — były przez źródło spełniane. Podrzucał np. prasę zachodnią internowanym i informował o ich reakcji na powyższe, itp. Por. Gut nie starał się jednak uformalnić praktycznie istniejącego kontaktu operacyjnego” — czytamy w „Raporcie z weryfikacji WSI”.

W 2007 r. w „Raporcie z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych” ukazała się informacja o pieniądzach ulokowanych przez Bronisława Komorowskiego i aktora Macieja Rayzachera (był w Komitecie poparcia Komorowskiego na prezydenta) w parabanku.

Służby interesowały się również kontaktami finansowymi Komorowskiego i Rayzachera z Januszem Paluchem, który prowadził tzw. działalność parabankową. Komorowski, Rayzacher i Benedyk mieli zainwestować w przedsięwzięcie Palucha 260 tys. DEM. (...) W notatce WSI stwierdzono, że Rayzacher i Komorowski nie mieli „możliwości żądania zwrotu pieniędzy drogą prawną”. „WS Tomaszewski” dowiedział się, że „generałom udało się odzyskać pieniądze przy pomocy kontrwywiadu wojskowego”. Próba odzyskania pieniędzy zajął się w imieniu Komorowskiego i Rayzachera „WS Tomaszewski” [tajny współpracownik WSI, ten sam, którego Komorowski poznał w ośrodku internowania w Jaworzu — red.] — czytamy w „Raporcie z weryfikacji WSI”.

Sprawę szeroko komentowały zarówno media, jak i Bronisław Komorowski i Maciej Rayzacher, który w latach 1991—1993 był zastępcą dyrektora Departamentu Oświatowo-kulturalnego w Ministerstwie Obrony Narodowej; Komorowski w tym czasie był wiceministrem obrony narodowej ds. wychowawczo-społecznych.

Wymienianie mojego nazwiska w kontekście nadużyć dokonanych przez niejakiego Janusza Palucha to kolejny przykład opowiadania w stylu: „On ukradł albo jemu ukradli, dość, że zamieszany w kradzież”. Otóż to mnie ukradziono wówczas pieniądze, które pożyczyłem od rodziny i powierzyłem p. Rayzacherowi, który je umieścił w jakiejś piramidzie. To nie miało nic wspólnego z WSI. Tyle że WSI rozpracowywały aferę, w której pieniądze utracili też niektórzy oficerowie — stwierdził na łamach „Gazety Wyborczej” w lutym 2007 r. Bronisław Komorowski.

W „Rzeczpospolitej” z 19 lutego 2007 r. ukazał się artykuł „*Politycy toczą wojnę o raport WSI*”. Gazeta streściła część raportu w ramce pt. *Komorowski, oskarżony i ofiara*. (...) Jestem w niej wymieniony wraz z ówczesnym moim przełożonym, wiceszefem MON Bronisławem Komorowskim jako powiązani rzekomo interesami z panem Paluchem. Pragnę wyjaśnić, że w trakcie internowania w obozie w Jaworzu, podczas wizyt u stomatologa nawiązałem kontakt z wojskowym lekarzem Michałem Benedykiem [ws. „Tomaszewski” — red.], który podjął się przekazać naszą korespondencję do rodzin, a następnie także do Ojca Świętego oraz prymasa Józefa Glempa. Benedyk ryzykował wtedy wiele. Dlatego, kiedy odezwał się do mnie w 1991 r., potraktowałem go z sympatią. Zaproponował mi „zainwestowanie” oszczędności w parbank prowadzony przez pana Palucha. Kwoty, które przekazałem przez Benedyka, były wielokrotnie niższe od wymienionej w ramce, gdyż cały stan posiadania naszej rodziny nie sięgał tej sumy. Po kilkakrotnych wpłatach (zawsze przez Benedyka) z prasy dowiedziałem się o aferze. Bronisław Komorowski udzielił mi kilkutyśięcznej pożyczki na rzecz mej „inwestycji” i na tym polega jego udział w sprawie. Informacje zawarte w raporcie o WSI są równie „wiarygodne”, jak notka o moim rzekomym „senatorowaniu” — napisał w marcu 2007 r. Maciej Rayzacher w liście do „Rz”.

Komorowski — jak sam wspomina — po mianowaniu przez premiera Tadeusza Mazowieckiego na stanowiska wiceministra obrony narodowej dostał nadzór nad reformą Wojskowej Służby Wewnętrznej. Pierwszym zadaniem było uporządkowanie sprawy palenia akt WSW. Komorowski nie tylko temu nie zapobiegł, ale swoim opieszałym działaniem doprowadził do tego, że poza gen.

Edmundem Bułą nikt nie poniósł odpowiedzialności za te skandaliczne działania. Nawet ówczesny Sejm był tak wzburzony powolnością Komorowskiego wobec służb, że powołano specjalną podkomisję Komisji Obrony Narodowej, kierowaną przez posła Janusza Okrzesika, w celu zanalizowania sytuacji w WSW.

Raport tej podkomisji był dla Komorowskiego kompromitujący: wykazano, że utrzymał w WSW ludzi związanych ze służbami PRL i służbami radzieckimi oraz że nie dokonał żadnych istotnych zmian. Przykładem był szef zarządu I szefostwa WSW płk Aleksander Lichocki, który odszedł ze służby dopiero z końcem 1991 r., i to z etatem i pensją generalską, którą otrzymał właśnie od Komorowskiego. Wcześniej Komorowski po ustaleniu tego z gen. Siwickim mianował na szefa kontrwywiadu WSI płk. Lucjana Jaworskiego — jak czytamy wyżej — przełożonego Leszka Tobiasza.

Po 1989 r. Komorowski — jako wiceminister obrony narodowej w latach 1990—1993 (z przerwą w 1992) — zgodził się, żeby do WSI (które w rzeczywistości były kontynuacją WSW i Zarządu II Sztabu Generalnego) trafili ludzie z komunistycznych służb wojskowych.

Na ten temat pisze dr hab. Sławomir Cenckiewicz w *Długim ramieniu Moskwy*:

W jednej z relacji o pracy w MON w 1990 r. B. Komorowski powiedział, że premier Mazowiecki polecił mu „zapropionować kandydata na szefa kontrwywiadu wojskowego”. „Gen. Siwicki [Florian, oskarżony o masakrę robotników na Wybrzeżu — red.] postawił mi wtedy warunek — kontynuuje Komorowski — że musi to być fachowy oficer. Znalazłem takiego”. Tym „fachowcem” był właśnie Jaworski.

Potwierdził to płk Lucjan Jaworski, który zeznał przed komisją weryfikacyjną, że „min. Komorowski zgodził się, abym mógł dobierać sobie ludzi do kontrwywiadu”. Jednym z takich „dobrych” ludzi był właśnie płk Tobiasz. „Gazeta Polska” ujawniła mało znany etap z życia pułkownika, dotyczący jego pracy w Moskwie. W latach 1996—1999 był tam ekspertem w ataszacie wojskowym. Co ciekawe, w tym samym czasie w polskiej ambasadzie

w Moskwie przebywał Tomasz Turowski, słynny szpieg cywilnego wywiadu. Na przyjęciach w ambasadzie często gościł wówczas Władimir Grinin, który w 2010 r., gdy przygotowywano wizytę prezydenta Kaczyńskiego w Katyniu, był ambasadorem Rosji w Polsce.

Płk Tobiasz był delegowany przez WSI do wykonywania operacji o szczególnym znaczeniu. Jedną z nich była przeprowadzona w latach 2002—2003 nielegalna operacja WSI skierowana przeciwko księżom katolickim o kryptonimie „Anioł”, której jednym z głównych bohaterów był abp Juliusz Paetz.

Szczegóły operacji znalazły się w Teczce Nadzoru Szczęólnego Kryptonim „Anioł”. Płk Leszek Tobiasz za pośrednictwem Jerzego Wójcickiego, ministra energetyki w okresie PRL, przekazał jednemu z dziennikarzy dokładne wskazówki, gdzie szukać materiałów mających wskazywać na homoseksualne skłonności duchownego oraz informacji mogących obciążyć arcybiskupa.

* * *

We wtorek 14 lutego 2012 r. portal Niezalezna.pl podał informację, którą natychmiast podjęły inne media: nie żyje płk Leszek Tobiasz, jeden z głównych bohaterów „afery marszałkowej”, jedyny świadek oskarżenia w sprawie rzekomej korupcji przy weryfikacji żołnierzy byłych Wojskowych Służb Informacyjnych. Za dwa tygodnie miał po raz pierwszy złożyć zeznania przed sądem, miało także dojść do konfrontacji płk. Tobiasza z Bronisławem Komorowskim.

Leszek Tobiasz zmarł w Zwoleniu tuż po północy, na imprezie integracyjnej pracowników Mazowieckiej Wojewódzkiej Komendy OHP, na którą przyjechał autokarem razem z kilkudziesięcioma osobami. Płk Tobiasz po rozwiązaniu WSI był zatrudniony w OHP jako fachowiec od obronności i spraw niejawnych. Po obiedzie uczestnicy imprezy pojechali do Kazimierza na wycieczkę. Wieczorem, po powrocie, rozpoczęła się zabawa karnawałowa, która trwała do późnej nocy.

Z oficjalnej wersji wynika, że ok. 23.40 Tobiasz podczas tańca z partnerką nagle upadł, uderzył głową o parkiet i stracił przytomność. Wezwano pogotowie

— lekarz stwierdził zgon, który nastąpił o godzinie 0.10, a ponieważ okoliczności śmierci były dla niego niejasne, zawiadomił policję i prokuraturę, która zarządziła sekcję zwłok.

Tyle można było się dowiedzieć z oficjalnego komunikatu prokuratury. Reporterzy „Gazety Polskiej”, którzy pojechali do Zwolenia, usłyszeli jednak inną wersję wydarzeń. „Kiedy pogotowie przyjechało na miejsce, większość towarzystwa była już mocno wstawiona. Mówili, że w czasie wieczoru płk Tobiasz stał z jakimś mężczyzną przy oknie i nagle przewrócił się, uderzając głową w parapet. Niewykluczone, że został popchnięty” — relacjonowała jedna z osób przebywających w ośrodku, w którym odbywała się impreza OHP. Przeprowadzający sekcję zwłok anatomopatolog stwierdził „ranę w okolicach zausznych, która powstała przed śmiercią”, i „rozległą niewydolność krążenia”. Nie są znane okoliczności powstania rany. Pracownicy ośrodka, w którym odbywała się impreza, dostali zakaz rozmowy z dziennikarzami i postronnymi osobami, chcącymi się dowiedzieć czegoś o przebiegu zdarzeń, w wyniku których poniósł śmierć płk Tobiasz.

* * *

1 marca 2012 r. płk Tobiasz po raz pierwszy miał zeznawać przed sądem w sprawie rzekomej korupcji przy weryfikacji żołnierzy WSI, miała się też odbyć jego konfrontacja z Bronisławem Komorowskim.

Pułkownik był najważniejszym świadkiem w sprawie — na podstawie jego zeznań doszło do przeszukania domów członków komisji weryfikacyjnej: Piotra Bączka i Leszka Pietrzaka. Od chwili wszczęcia śledztwa do momentu tego przeszukania ABW prowadziła działania operacyjne, podsłuchiwała rozmowy i stosowała obserwację m.in. historyka Sławomira Cenckiewicza (z komisji weryfikacyjnej WSI) i politologa Piotra Woyciechowskiego (z komisji likwidacyjnej WSI).

Śledztwo zostało wszczęte „w sprawie ujawnienia pracownikom spółki akcyjnej Agora informacji stanowiących tajemnicę państwową w postaci treści aneksu do raportu w sprawie działalności Wojskowych Służb Informacyjnych”

— ten zapis zniknął jednak w późniejszej fazie śledztwa.

„Afera marszałkowa” zaczęła się jesienią 2007 r. od wizyty płk. Leszka Tobiasza w gabinecie ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego. Żołnierza WSI miała skontaktować z parlamentarzystą PO posłanka Platformy Jadwiga Zakrzewska, która pytana o szczegóły pośrednictwa, zasłaniała się niepamięcią. Kilka miesięcy później okazało się, że płk Leszek Tobiasz nagrywał swoich rozmówców — część nagrań z „afery marszałkowej” trafiła do Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. W związku z rzekomą korupcją oskarżono dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego i pułkownika byłych WSI Aleksandra L., który dobrowolnie poddał się karze.

Ostatecznie okazało się, że wszczęte śledztwo ws. afery było w rzeczywistości prowokacją wymierzoną w komisję weryfikacyjną i jej szefa Antoniego Macierewicza.

* * *

Niedługo przed śmiercią płk Tobiasza, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, 21 grudnia 2011 r., zmarł Marian Cypel — były dyplomata i rezydent wywiadu PRL w Wiedniu. Jego pogrzeb odbył się 27 grudnia w Warszawie. To właśnie za pośrednictwem płk. Cypla Leszek Tobiasz starał się dotrzeć do kościelnych hierarchów — bp. Antoniego Pacyfika Dydycza i bp. Sławoja Leszka Głódzia. Ci z kolei mieli mu ułatwić kontakt z Antonim Macierewiczem — likwidatorem Wojskowych Służb Informacyjnych.

„Gazeta Polska” opublikowała fragmenty złożonych w prokuraturze zeznań, m.in. płk. Leszka Tobiasza — jedyne świadka oskarżenia, płk. Mariana Cypla, ówczesnego szefa ABW Krzysztofa Bondaryka oraz Bronisława Komorowskiego, który był przesłuchiwany w czasie, kiedy pełnił funkcję marszałka Sejmu.

Nie miałem pełnego zaufania do L. Tobiasza. Przez okres naszej znajomości spotkaliśmy się może 10—15 razy, i to zawsze z jego inicjatywy. (...) Było tak, że kiedyś prosił mnie o umożliwienie mu kontaktu z biskupem Dydyczem i biskupem Głodziem, zgodziłem się spytać o to biskupów. Tak mu powiedziałem, jednak w

sumie nie pytałem o to obu biskupów, a L. Tobiaszowi powiedziałem, że po rozmowie z biskupami nie widziałem możliwości zorganizowania spotkania z nimi — zeznał w prokuraturze 13 lutego 2009 r. płk Cypel.

O znajomości z płk. Cyplem Leszek Tobiasz zeznawał w kontekście przyjęcia, które zostało zorganizowane przez płk. Cypla w okolicach Janowa Podlaskiego:

„Ja tego gospodarza poznałem przez L. [drugiego oskarżonego — red.]. Nie chciałem mieszać tego gospodarza w tę sprawę, bo nie ma z nią nic wspólnego, ale nazywa się Marian Cypel” — zeznał płk Tobiasz, a prokurator nie zadał mu żadnych pytań dotyczących spotkania z biskupami.

Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski zeznał w prokuraturze 24 lipca 2008 r.:

Nie było dla mnie zaskoczeniem pojawienie się mojego nazwiska w aneksie. Wcześniej prasa sugerowała, że moja osoba ma być objęta treścią tego raportu. Ja wyraziłem wstępnie zainteresowanie jego propozycją [chodzi o Aleksandra L. — red.]. Umówiliśmy się, że on odezwie się, gdy będzie na pewno miał możliwość dotarcia do tych dokumentów. Miał się wtedy do mnie odezwać poprzez telefon mojego biura. Jednak po kilku dniach pani Jadwiga Zakrzewska, poseł PO, przekazała mi, że chce się ze mną spotkać pułkownik z WSI, który jest jej sąsiadem. Spotkanie odbyło się w moim biurze poselskim. Rozmówcą okazał się nieznamy mi wcześniej płk Leszek Tobiasz (...). Płk Tobiasz powiedział mi, że ma dowody na korupcyjną działalność Komisji Weryfikacyjnej (...). Tobiasz parokrotnie odwiedzał mnie w biurze. Próbował mi dalej opowiadać, był zaniepokojony, że nie udzielono mu instrukcji, jak ma się zachowywać. Ja wiedząc, że jest już prowadzone postępowanie, odsyłałem go do ABW.

Z protokołów przesłuchań świadków afery wyłania się obraz „polowania” na komisję weryfikacyjną i niespotykany pośpiech, z jakim to robiono. Zaledwie tydzień po tym jak p.o. szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego został Krzysztof Bondaryk (16 listopada 2007 r.), zadzwonił do niego Paweł Graś.

Zaproponował spotkanie na terenie Sejmu w tym samym dniu. (...) Minister Graś poinformował mnie w skrócie, że istnieje potrzeba — prośba ze strony Marszałka Komorowskiego — abym się udał do jego biura poselskiego, ponieważ jest u niego w tym momencie ktoś, kto ma ważne informacje dla bezpieczeństwa kraju. Minister Graś powiedział, że jest to prawdopodobnie oficer, a sprawa dot. korupcji związanej z Komisją Weryfikacyjną. Minister Graś poinformował mnie, że Marszałek tam na mnie oczekuje i żebym tam się udał i osobiście podjął czynności służbowe — czytamy w protokole przesłuchania Krzysztofa Bondaryka z 28 listopada 2008 r.

W dalszej części przesłuchania były szef ABW opisuje, że 23 listopada 2007 r. razem z nim do biura marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego pojechało trzech oficerów ABW, którzy — co ciekawe — nie weszli razem z Bondarykiem do środka, lecz czekali na zewnątrz. Bez świadków Komorowski poinformował Bondaryka, że jest u niego oficer, który ma dowody na korupcję w komisji weryfikacyjnej oraz posiada informacje związane z bezpieczeństwem państwa. Komorowski przedstawił Bondarykowi Leszka Tobiasza, który opowiedział o rzekomej korupcji w komisji weryfikacyjnej i zgodził się złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

Uznałem, że biuro Marszałka Sejmu nie jest właściwym miejscem do przyjmowania zawiadomienia o przestępstwie, że właściwym miejscem będą pomieszczenia urzędowe ABW. Zaproponowałem Leszkowi Tobiaszowi, żeby się udał ze mną do siedziby ABW i tam złożył zawiadomienie i przekazał dowody

— zeznał dalej Krzysztof Bondaryk, który osobiście zawiózł Tobiasza do siedziby Agencji, gdzie żołnierz WSI złożył zeznania.

Co ciekawe, z zeznania Komorowskiego wynika natomiast, że płk Tobiasz 3 grudnia (a więc już po wszczęciu śledztwa w sprawie rzekomej korupcji przy weryfikacji WSI) przyniósł mu dowody w postaci nagrań. Komorowski zeznał, że po wizycie Tobiasza zawiadomił ministra Grasia i ABW. Do dziś nie wiadomo, dlaczego Bronisław Komorowski skłamał podczas przesłuchania, twierdząc, że dopiero w grudniu zawiadomił służby specjalne, podczas gdy

faktycznie, jak wynika z dokumentów, miało to miejsce w listopadzie.

Przesłuchiwany w prokuraturze 17 grudnia 2007 r. płk Leszek Tobiasz nie wspominał ani słowem o swojej wizycie u Bronisława Komorowskiego, mówił natomiast o swoich nagraniach.

L. podczas rozmowy miał do mnie pretensje, że nie udzieliłem mu informacji o osobach i rzekomych sprawach, którymi rzekomo miało się zajmować biuro wewnętrzne SKW. Było to nawiązanie do rozmowy wcześniej z 20 listopada 2007 r., którą nagrałem — zeznał płk Tobiasz.

To właśnie wtedy płk Tobiasz i Aleksander L. rozmawiali o tym, jak Lecha Wałęsę przywiózł do stoczni na strajk szkolony w ZSRS admirał marynarki wojennej Romuald Waga, który zmarł w 2008 r.

* * *

Już po udziale płk. Tobiasza w „aferze marszałkowej” Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego miała zaproponować, by Tobiasz objął jeden z wojskowych ataszatów. W grę wchodziły Turkmenistan i Uzbekistan, czyli kraje leżące blisko Gruzji, których atutem jest potencjał energetyczny. Wyjazd nie doszedł jednak do skutku. Nie zgodził się na niego ówczesny szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego Grzegorz Reszka, kiedy zapoznał się z teczką ochrony kontrwywiadowczej płk. Tobiasza z czasów, gdy był on ekspertem ataszatu wojskowego w Moskwie.

Grzegorz Reszka z funkcji szefa SKW został odwołany 20 lutego 2008 r., gdy trwała „afery marszałkowa”. 10 kwietnia 2010 r. kilka godzin po katastrofie smoleńskiej, w której zginął prezydent RP prof. Lech Kaczyński, marszałek Sejmu Bronisław Komorowski został p.o. prezydenta RP. Jedną z jego pierwszych decyzji było mianowanie p.o. Biura Bezpieczeństwa Narodowego (szef BBN Aleksander Szczygło także zginął w katastrofie) gen. Stanisława Kozieja, który w latach 80. przeszedł przeszkolenie w Moskwie. Aneks do raportu z weryfikacji WSI, który znajdował się w BBN, a do którego

tak bardzo chciał dotrzeć Bronisław Komorowski, przestał być dla p.o. prezydenta tajemnicą. Komorowski przez pięć lat prezydentury nie zdecydował się na ujawnienie aneksu.

Tajny aneks dotyczący Wojskowych Służb Informacyjnych był przez lata najbardziej pożądanym dokumentem.

WSI powstały z połączenia wojskowych służb specjalnych komunistycznej bezpieki: Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (wywiadu wojskowego PRL) oraz Wojskowej Służby Wewnętrznej (kontrwywiadu wojskowego PRL). Żołnierze WSI nigdy nie przeszli weryfikacji, a „nową” służbę wojskową — jak zauważyła „Gazeta Wyborcza” — „tworzyła już solidarnościowa ekipa — minister Janusz Onyszkiewicz i wiceminister Bronisław Komorowski”. Szefami WSI zostali ludzie szkoleni przez KGB lub GRU — związki z Moskwą były zaletą, a nie wadą.

Opublikowanie raportu z weryfikacji WSI wywołało wściekłość w wielu środowiskach, które — jak wynikało z dokumentu — były pośrednio bądź bezpośrednio związane z WSI, a wcześniej z komunistyczną bezpieką wojskową. Największe fortuny wyrosły właśnie na bazie tych związków, a wiele karier w mediach czy polityce nie mogłoby się rozwinąć, gdyby nie zaplecze wojskowej bezpieki.

Mimo nieustannych ataków medialnych komisja weryfikacyjna pracowała nadal, a zwieńczeniem jej prac był tajny aneks do raportu z weryfikacji WSI. Prezydent Kaczyński otrzymał go na początku listopada 2007 r., tuż po przegranych przez PiS wyborach parlamentarnych, a w czasie gdy urzędującym premierem był Jarosław Kaczyński, który zapoznał się z tajnym dokumentem.

Jako przewodniczący komisji weryfikacyjnej doprowadziłem prace nad aneksem do końca. Oddałem gotowy dokument w takim kształcie, jak wymagało tego orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego — mówił w 2015 r. „Gazecie Polskiej” Antoni Macierewicz, wiceprezes PiS.

Orzeczenie, o którym mowa, zapadło w czerwcu 2008 r. Sędziowie Trybunału Konstytucyjnego orzekli, że prezydent miał prawo opublikować

raport z weryfikacji WSI, jednak z publikacją aneksu prezydent musi się wstrzymać do czasu nowelizacji ustawy, na mocy której rozwiązano WSI, a powołano nowe służby, czyli Służbę Wywiadu Wojskowego i Służbę Kontrwywiadu Wojskowego. Chodziło o to, by ta ustawa była uzupełniona o „gwarancję praw człowieka”.

W rzeczywistości Trybunał Konstytucyjny skutecznie zablokował publikację tajnego aneksu na wiele miesięcy — w tym czasie członkowie komisji weryfikacyjnej musieli tak opracować dokument, by można go było opublikować.

W związku z orzeczeniem TK przesuwiał się termin publikacji, aż do czasu tragicznej śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku. Warunkiem Trybunału było zanonimizowanie niektórych nazwisk pojawiających się w aneksie, i ten warunek został spełniony.

Zanim doszło do sporządzenia ostatecznej wersji aneksu, zgodnej z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego, członkowie komisji weryfikacyjnej mieli problemy, które zaczęły się jeszcze przed decyzją Trybunału.

W listopadzie 2007 r. Bronisław Komorowski, zaraz po tym jak został nominowany na stanowisko marszałka Sejmu, zmusił posła Antoniego Macierewicza do ustąpienia z funkcji przewodniczącego komisji weryfikacyjnej — został nim były premier Jan Olszewski.

Kilka miesięcy później, w marcu 2008 r., kilku członkom komisji weryfikacyjnej odebrano dostęp do tajnych dokumentów — było to w czasie, gdy szefem ABW był już Krzysztof Bondaryk. Cofnięcie certyfikatów poprzedziły publikacje Agnieszki Kublik i Wojciecha Czuchnowskiego w „Gazecie Wyborczej” o rzekomym nielegalnym kopiowaniu dokumentów; wspomniany duet opublikował także nazwiska członków komisji weryfikacyjnej.

Kolejną próbą zablokowania publikacji aneksu były doniesienia prasowe o tym, że tajny dokument można rzekomo „kupić na bazarze”. Pisała o tym Anna Marszałek w „Dzienniku”.

W maju 2008 r. wybuchła „afery marszałkowa” — szybko okazało się, że jest to operacja byłych żołnierzy Wojskowych Służb Informacyjnych, która miała na celu skompromitowanie członków komisji weryfikacyjnej WSI.

Bronisław Komorowski nigdy nie odpowiedział prawnie za próbę nielegalnego zdobycia aneksu do raportu z weryfikacji WSI. We wrześniu 2009 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie uznała: „Bronisław Komorowski swoim zachowaniem nie wyczerpał znamion czynu zabronionego, bo uzyskane przez niego informacje miały charakter ogólny i nie były poparte dowodami”.

Co kryje tajny aneks do raportu z weryfikacji WSI? Z nieoficjalnych danych wynika, że opisuje on świat nielegalnych działań i powiązań polityki, biznesu, wojskowych służb specjalnych.

W aneksie — według nieoficjalnych informacji — pojawia się nazwisko Bronisława Komorowskiego w związku z nielegalną inwigilacją, o której w 2007 r. pisałam w tygodniku „Wprost”. Komorowski odmówił stawienia się na wysłuchanie przed komisją weryfikacyjną, a opisanie afery z jego udziałem nazwał „metodami SB”.

Sprawa dotyczyła wydarzeń z 2000 r., kiedy to byli nielegalnie inwigilowani przez Wojskowe Służby Informacyjne posłowie z Sejmowej Komisji Obrony Narodowej, z operacji tej zachowały się m.in. tajne notatki i sprawozdania. Tajna grupa oficerów działała w Sejmie i hotelu sejmowym. Stosowała techniki operacyjne, m.in. podsłuchiwanie rozmów z telefonów komórkowych. Funkcjonariusze mieli też zbierać materiały obciążające parlamentarzystów. W tle operacji WSI były ogromne pieniądze. W 2001 r. miała nastąpić gruntowna modernizacja techniczna sił zbrojnych, przygotowywano decyzje o unowocześnieniu armii i zakupach uzbrojenia oraz sprzętu wojskowego. Posłowie zajmowali się też opiniowaniem rządowego projektu dotyczącego wyboru samolotu wielozadaniowego. Ważyły się także losy szkół wojskowych. Fakt inwigilacji potwierdził Krzysztof Borowiak, dyrektor Departamentu Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON. Jego zdaniem zdobyte w czasie inwigilacji materiały mogły trafić do ówczesnego szefa MON Bronisława Komorowskiego. Borowiak twierdzi, że ministerstwo reprezentowało stanowisko odmienne od opinii kierowanego przez niego departamentu.

Kiedy zwróciłem się w tej sprawie do przewodniczącego Komisji Obrony Narodowej Stanisława Głowackiego (AWS), utraciłem zaufanie ministra. Doszło do przedziwnej

sytuacji. Podczas rozmowy z szefem MON Bronisławem Komorowskim puścił mi on nagranie z poczty głosowej telefonu komórkowego Głowackiego. Było to moje nagranie. Minister zaprezentował mi je z komentarzem, że to dowód na moją nielojalność i brak możliwości współpracy. Ciekawe, skąd wziął to nagranie — mówił Borowiak.

Ostatecznie w 2001 r. nie doszło do zaplanowanych przez Sztab Generalny WP zmian w szkolnictwie wojskowym ani do rozstrzygnięcia przetargu na samolot wielozadaniowy. Materiały z nielegalnej operacji wojskowych służb trafiły do archiwum WSI.

Bronisław Komorowski — poza stwierdzeniem, że cała sprawa jest „jedną wielką bzdurą” — nigdy nie odniósł się merytorycznie do tego skandalu.

ROZDZIAŁ 6

REMIGIUSZ MUŚ – KLUCZOWY ŚWIADEK KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ

Rodzina nie uwierzyła w samobójstwo

Maj 2013 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie kończy śledztwo w sprawie śmierci chor. Remigiusza Musia, technika pokładowego samolotu Jak-40, który wylądował w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r. tuż przed katastrofą rządowego samolotu Tu-154 M. Prokuratura uznaje, że Remigiusz Muś 27 października 2012 r. popełnił samobójstwo i nikt mu w tym nie pomógł. Z zeznań rodziny wynika jednak coś zupełnie innego, a niedługo przed śmiercią miały miejsce dziwne zdarzenia.

Niecałe dwa miesiące przed śmiercią, we wrześniu 2012 r., Remigiusz Muś, jadąc samochodem, zjechał nagle z drogi i uderzył w płot przydrożnej posesji w podwarszawskiej Starej Iwicznej. Policja, która przyjechała na miejsce, stwierdziła, że był on trzeźwy, jednak ze względu na dziwne zachowanie przewieziono go do szpitala w Piasecznie. Z uwagi na zaburzenia zachowania przetransportowano go następnie do szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Podczas przyjęcia lekarze stwierdzili m.in. brak rzeczowego kontaktu słownego i dziwne wypowiedzi niemające związku z tematem pytań. Muś został przyjęty do szpitala, w którym został poddany obserwacji i badaniom psychiatrycznym. Przeprowadzone analizy nie wykazały we krwi chorego obecności alkoholu, narkotyków ani środków psychotropowych. Przeprowadzone badania psychiatryczne i psychologiczne nie ujawniły u niego choroby psychicznej, w tym depresji ani też innych zakłóceń czynności psychicznych. Po trzech dniach został wypisany na własną prośbę „z uwagi na brak przesłanek do dalszej hospitalizacji wbrew woli pacjenta”. Lekarze nigdy nie ustalili, co było

przyczyną dziwnego zachowania Remigiusza Musia.

* * *

10 kwietnia 2010 około 6.50 czasu środkowoeuropejskiego letniego samolot Jak-40, należący do 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego im. Obrońców Warszawy (oddział lotnictwa transportowego Sił Powietrznych RP) wylądował w Smoleńsku. Na pokładzie było trzech członków załogi, stewardesa oraz 14 dziennikarzy, którzy po wylądowaniu pojechali do Katynia, skąd mieli relacjonować obchody upamiętniające 70. rocznicę sowieckiego ludobójstwa polskich oficerów. W samolocie została załoga: dowódca por. Artur Woszytył, II pilot por. Rafał Kowaleczko, technik pokładowy mł. chor. Remigiusz Muś oraz stewardesa Aneta Żulińska.

To, co się działo później, zostało zapisane w ich zeznaniach złożonych w śledztwie prowadzonym przez Wojskową Prokuraturę Okręgową w Warszawie w sprawie „nieumyślnego spowodzenia katastrofy w ruchu powietrznym, w wyniku której śmierć ponieśli wszyscy pasażerowie samolotu Tu-154 M nr boczny 101 Sił Powietrznych RP, w tym Prezydent RP Lech Kaczyński, oraz członkowie załogi wskazanego statku powietrznego” — jak czytamy na stronie internetowej Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Remigiusz Muś był jednym z niewielu Polaków, którzy weszli na miejsce tragedii, w jakiej zginęli przedstawiciele polskiej elity.

Do dziś nie znamy szczegółów katastrofy, ale zeznania naocznych świadków jednoznacznie wskazują na to, że to nie był zwykły wypadek, jak stwierdziła Tatiana Anodina i jej komisja MAK (Międzypaństwowy Komitet Lotniczy, organizacja powołana 30 grudnia 1991 w celu badania przyczyn cywilnych wypadków lotniczych na terenie państw będących wcześniej republikami Związku Radzieckiego, a następnie skupionych wokół Wspólnoty Niepodległych Państw) oraz polska komisja Jerzego Millera, ministra spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Donalda Tuska.

To właśnie MAK wspólnie z rosyjską prokuraturą prowadzącą śledztwo w sprawie smoleńskiej tragedii forsowali tezę o „pijanym generale”, co się później

okazało bezczelnym kłamstwem, oraz o niedouczonej polskiej pilotach, co również było nieprawdą.

Zeznania Remigiusza Musia złożone w polskim śledztwie ws. katastrofy są bezcenne — to on mówił o sprowadzeniu Tu-154 m na niebezpieczną wysokość, to właśnie Muś widział, co robili Rosjanie tuż po tragedii na smoleńskim lotnisku.

Jeżeli chodzi o wskazania radiolatarni dalszej znajdującej się przed lotniskiem w Smoleńsku, to nie miałem żadnych zastrzeżeń co do ich wiarygodności. Wskazania tego urządzenia były prawidłowe. Po przelocie nad dalszą radiolatarnią por. Wosztyl powinien kontynuować lot na bliższą radiolatarnię. Przełączył się na bliższą radiolatarnię i po przełączeniu por. Wosztyl stwierdził, że nie podobają mu się wskazania bliższej radiolatarni. Ja wtedy spojrzałem na wskaźnik NPP jak również na wskaźnik IKU. Stwierdziłem, że wskazania na w/w urządzeniach wychylają się w lewo i następnie wracają na prawidłowy kurs. Świadczyć to mogło, że są chwilowe zaniki sygnału z bliższej radiolatarni. Wobec tego por. Wosztyl przełączył się na wskazania dalszej radiolatarni i kontynuował podejście według jej wskazań, tzn. od niej. Po przełączeniu jej wskazania były prawidłowe. (...) Ponadto opieraliśmy się na wskazaniach GPS. Chciałbym w tym miejscu zeznać, że wskazania GPS w porównaniu ze wskazaniami dalszej radiolatarni różniły się. Gdybyśmy oparli się tylko na wskazaniach GPS, to wyszlibyśmy 50 do 70 metrów z lewej strony od osi pasa. Jeżeli chodzi o GPS, do niego wprowadziliśmy dane z tzw. karty podejścia. Określają one topografię lotniska i sposób podejścia do lądowiska na tym lotnisku, tzn. Siewiernyj w Smoleńsku. Na karcie w lewym górnym rogu znajduje się opis IPU (w języku rosyjskim), tzn. pod nim są współrzędne punktu, które mają odzwierciedlać środek pasa. Na pasie punkt ten zaznaczony jest w formie kółka z krzyżykiem. Te dane — współrzędne — zostały wprowadzone przez por. Kowaleczko do GPS. Jeżeli te dane byłyby prawidłowe, to GPS wskazywałby odchylenia w lewą stronę od osi pasa, tak jak by miało miejsce w dn. 10.04.2010 r. W trakcie lotu wyglądało to w ten sposób, że GPS nakazywał nam skręcać w lewo, a NPP i IKU nakazywał nam korygować w prawo. Ostatecznie na wysokości bliższej radiolatarni zobaczyliśmy 2XAPM, tzw. bramkę, i ona wtedy była jeszcze z prawej w odniesieniu do naszego

lotu, por. Wosztyl skorygował wtedy lot. Następnie weszliśmy w bramkę i wylądowaliśmy. Podczas lądowania widoczność wynosiła 1500 metrów. Na zadane pytanie zeznaję: podczas podchodzenia do lądowania ja nie widziałem żadnego innego oświetlenia oprócz APM. Na zadane pytanie: podczas podchodzenia do lądowania ja nie przypominam sobie, aby ze strony kontrolera z lotniska padały jakiegokolwiek informacje, takiego typu jak jaką mamy odległość od pasa, na jakiej jesteśmy wysokości, czy jesteśmy na kursie. Kontroler wydał nam tylko zgodę na zejście do lądowania i po naszym potwierdzeniu, że jesteśmy na prostej, wydał zgodę na lądowanie. W trakcie ostatniej fazy lotu nie podawał żadnych komend. Ja nie słyszałem komendy ze strony kontrolera, aby nakazał nam odejście na drugi krąg. Po wylądowaniu kontroler pochwalił nas: „maładiec, abarot 180 rulitie na stajaniu”— zeznał Remigiusz Muś, opisując lądowanie Jaka w Smoleńsku 10 kwietnia 2010.

Następnie ustawiliśmy się na drodze kołowania równoległej do pasa 300 metrów od jej końca, blokując ją w ten sposób. Na zadane pytanie zeznaję: słyszałem komendy podawane przez kontrolera Ił, który lądował po nas. Przypuszczam, iż Ił lądował, korzystając z RSBN. Urządzenie to emituje fale radiowe, które pozwalają załodze samolotu ustalić kierunek i odległość od pasa (...). W końcowej fazie lotu kontroler zapytał się, czy chcą lądować. Załoga odpowiedziała, że warunkowo podejziemy. Kontroler wyraził zgodę na podejście. Ja nie słyszałem, aby kontroler zabronił im lądowania i odejście na zapasowe. Wydaje mi się, że kontroler powiedział Tu-154M, że mają być gotowi do odejścia na drugi krąg z wysokości nie mniejszej niż 50 metrów. Po tym wyszliśmy z Jaka — zeznał w prokuraturze Remigiusz Muś.

Po wyjściu z samolotu Remigiusz Muś poszedł na miejsce katastrofy. Jego relacja, która znajduje się w zeznaniach, jednoznacznie wskazuje na to, że Rosjanie najbardziej interesowali się częściami rządowego Tu-154M.

Na miejsce katastrofy udaliśmy się po około 1 godzinie od jej zaistnienia. Kiedy przybyliśmy na miejsce, to pracowały już tam służby ratownicze. Ja widziałem dużo nagich ciał. Leżały one pomiędzy częściami samolotu. Jedno ciało ludzkie było całe. Pozostałe to były części ludzkich ciał, ręce, nogi. Kiedy my tam byliśmy, to nikt się nimi nie interesował, tzn. nie przykrywał ich, nie zbierał. Byliśmy tam około 15 minut. W trakcie pobytu tam zauważyłem, że do poszczególnych stanowisk,

utworzonych przez służby, znoszono części samolotu. Tych stanowisk było tam już wtedy kilka. Stanowiska te wyglądały w ten sposób, że był to stół, na nim dokumentacja, laptop itp. Przy stanowiskach znajdowali się ludzie — czytamy w zeznaniach Remigiusza Musia.

Po tragedii smoleńskiej w mainstreamowych mediach rozpoczął się festiwal kłamstw i pomówień kierowanych pod adresem pilotów Tu-154M oraz Jaka-40 — chciano wyrobić przekonanie, że to oni są winni katastrofy. Takie podejście spotkało się z ostrym sprzeciwem rodzin ofiar, ekspertów i członków Parlamentarnego Zespołu ds. Zbadania Przyczyn Katastrofy Tu-154M z 10 kwietnia 2010 r. pracującym pod kierownictwem Antoniego Macierewicza oraz członków Zespołu Ekspertów Niezależnych (zasiadali w nim gen. brygady Sławomir Petelicki, prof. Krzysztof Rybiński, gen. broni Waldemar Skrzypczak, dr Przemysław Guła i Marcin Gomoła).

Piloci elitarnego 36. Pułku Lotnictwa Transportowego traktowani byli przez VIP-ów bez należytego im szacunku i dbałości o ich kompetencje i umiejętności. Minister obrony narodowej [był nim wówczas Bogdan Klich — red.] nie stworzył pilotom odpowiednich warunków do treningu pozwalającego sprostać ogromnej odpowiedzialności, jaką na nich nałożono. Obarczanie odpowiedzialnością pilotów za katastrofę jest ogromnym nadużyciem i niesprawiedliwością hańbiącą pamięć tych dzielnych i odważnych ludzi! Nieustanne, coraz głębsze oszczędności, niefrasobliwość w dysponowaniu publicznymi pieniędzmi przeznaczonymi na modernizację parku maszyn w 36. Pułku Lotnictwa musi skutkować obniżeniem jakości szkoleń. Nie ponoszą za to odpowiedzialności żołnierze, którzy nie mają możliwości odebrania należytego wyszkolenia, ale ich najwyżsi przełożeni z ministrem obrony narodowej na czele, którzy prowadzą trudną do racjonalnego wytłumaczenia politykę dzielenia biedy, i to w sposób najgorszy z możliwych — czytamy w raporcie zatytułowanym „Dlaczego musiało dojść do katastrofy smoleńskiej”.

Spory udział w deprecjonowaniu pilotów, w tym Remigiusza Musia, mieli

również polscy wojskowi śledczy.

W styczniu 2015 r. na konferencji prasowej prokuratorzy wojskowi sugerowali, że chor. Remigiusz Muś w 2012 r. zmienił swoje zeznania ws. komendy rosyjskich kontrolerów, by piloci rządowego Tu-154M zeszli na wysokość 50 metrów. Zacytowano fragmenty jego zeznań, jednak dopiero po zapoznaniu się z całością zeznań Remigiusza Musia widać manipulacje wojskowych śledczych.

„Po wysłuchaniu zapisu słyszę 100 m, a nie 50 m” — cytował zeznania Remigiusza Musia mjr Marcin Maksjan z Naczelnej Prokuratury Wojskowej. W zeznaniach technika Jaka-40 te słowa rzeczywiście padły, tyle tylko że Remigiuszowi Musiowi przedstawiono inny fragment nagrania, w którym jest mowa o 100 metrach: chorąży potwierdził jedynie to, co przed chwilą usłyszał.

W tym samym protokole jest zapis, w którym Remigiusz Muś nie ma wątpliwości i stwierdza, że komenda „50 metrów” padła ze strony rosyjskich kontrolerów.

Pamiętam swoje zeznania z dnia 23 czerwca 2010 r. W trakcie tych zeznań, pamiętam, iż podałem, że słyszałem, jak kontroler na lotnisku Smoleńsk „Siewiernyj” w dniu 10 kwietnia 2010 r. przekazał zarówno Ił-76, jak i Tu-154M komendę „odejście na drugi krąg nie mniej niż 50 metrów”. Jestem tego pewny — czytamy w zeznaniach Remigiusza Musia.

* * *

Remigiusz Muś czterokrotnie składał zeznania w śledztwie ws. smoleńskiej katastrofy — ostatni raz 30 stycznia 2012 r., już po rozwiązaniu 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego, co miało miejsce w grudniu 2011 r. Kilka miesięcy wcześniej, w lutym 2011 r., do Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Warszawie wpłynęło doniesienie dotyczące możliwości popełnienia przestępstwa w ruchu lotniczym przez lądowanie w warunkach, do których załoga nie była wyszkolona. Złożył je ówczesny dowódca Sił Powietrznych RP gen. Lech Majewski (ur. 1952), absolwent sowieckiego

szkolnictwa wojskowego, w latach 1983—1986 słuchacz Wojskowej Akademii Lotniczej ZSRS. W czasach rządów SLD Lech Majewski został dowódcą Centrum Operacji Powietrznych; największy skok w karierze zrobił jednak po katastrofie smoleńskiej. 20 maja 2010 r. został dowódcą Sił Powietrznych, a 17 grudnia 2013 r. prezydent Bronisław Komorowski powołał go na stanowisko dowódcy Generalnych Rodzajów Sił Zbrojnych.

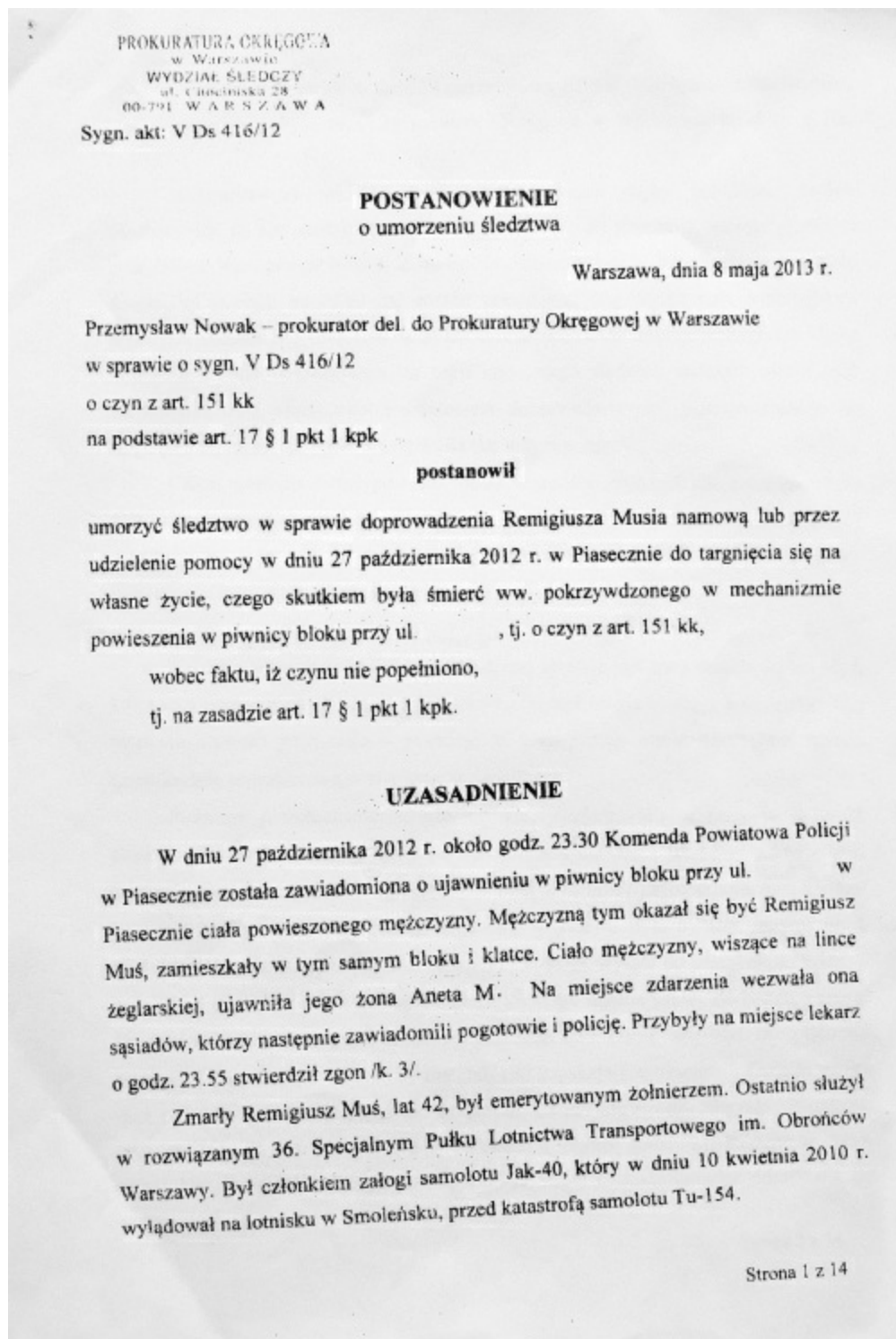
Gen. Majewski związki z Rosją miał także w III RP. 13 sierpnia 2012 r. Lotniczapolska.pl w artykule pt. *Wspólne niebo w Moskwie* zamieściła relację, w której czytamy: „dowódca Sił Powietrznych generał broni pilot Lech Majewski wraz z małżonką Elżbietą przebywał od 9 do 12 sierpnia w Moskwie. Wziął udział w obchodach 100-lecia Sił Powietrznych Federacji Rosyjskiej”. Częścią obchodów była międzynarodowa konferencja „Wspólne niebo”, którą zainaugurował minister obrony Federacji Rosyjskiej Anatolij Sierdiukow. Jedną z centralnych uroczystości były pokazy lotnicze, które otworzył prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin.

Pretekstem do złożenia przez gen. Majewskiego zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez pilotów Jaka-40 Artura Woszytła (dowódcę załogi), por. Rafała Kowaleczko (II pilota) oraz chor. Remigiusza Musia (technika pokładowego) były ustalenia Wojskowej Komisji Wypadków Lotniczych, która na podstawie raportu MAK i materiałów komisji Jerzego Millera stwierdziła, że „załoga Jaka-40 wykonała lądowanie poniżej warunków minimalnych lotniska określonych w kartach podejścia i zniżając się poniżej wysokości minimalnej, naruszyła zasady regulaminu lotów”. Warto podkreślić, że Wojskowa Komisja Wypadków Lotniczych została powołana przez... gen. Lecha Majewskiego.

W tym czasie w mediach zaczęły się pojawiać oskarżenia pod adresem pilotów, w czym prym wiodła „Gazeta Wyborcza”.

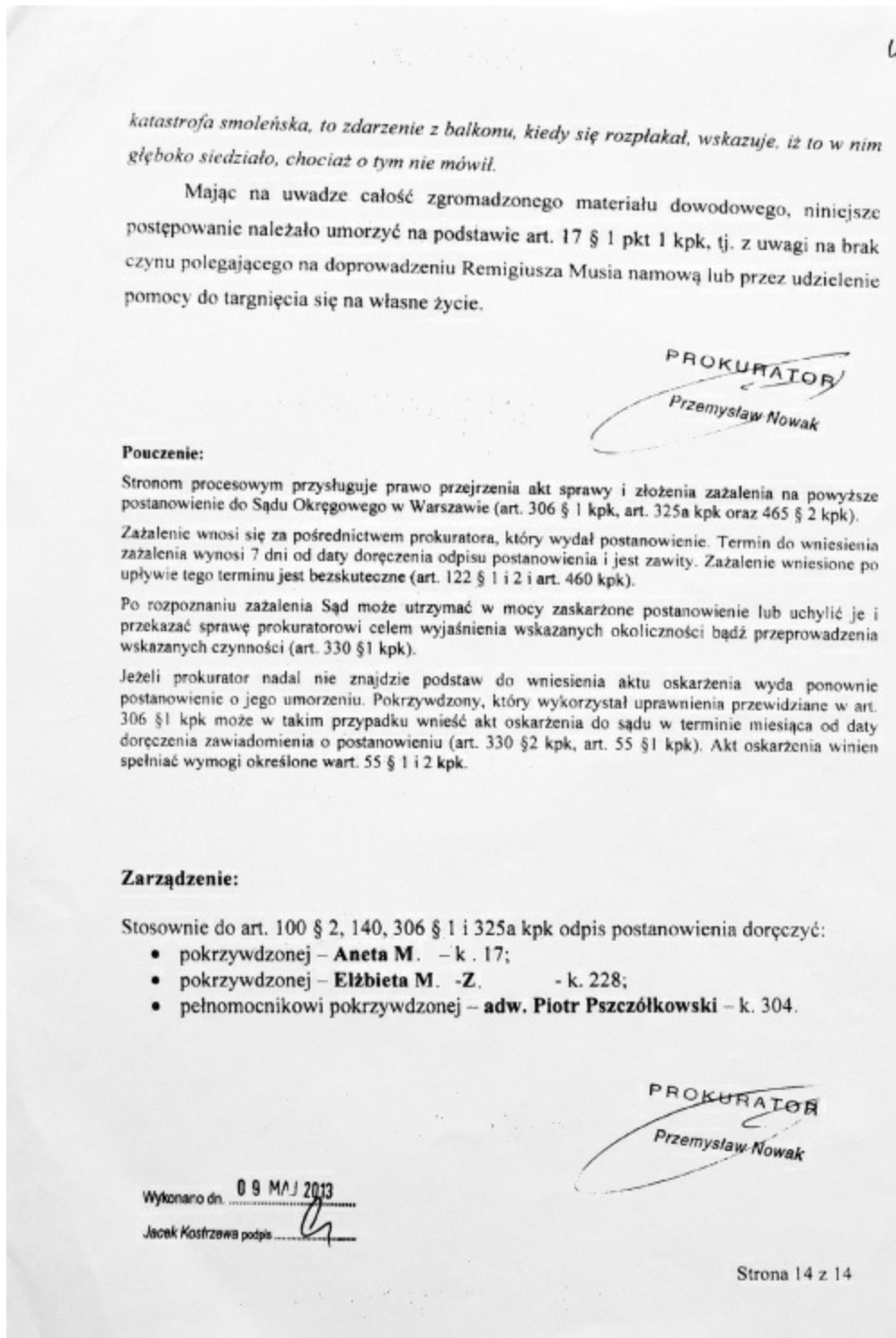
Por. Woszytł 10 kwietnia kontaktował się z załogą zbliżającego się do Smoleńska Tu-154. W maju 2010 r. w rozmowie z „Gazetą” nie chciał przyznać, że zachęcał kolegów z tupolewa, by mimo warunków poniżej minimum spróbowali wylądować. Mówił wtedy, że „przekazał informacje meteo i ostrzegł, że warunki są nieciekawe —

pisali w „GW” 26 lutego 2011 r. Paweł Wroński i Agnieszka Kublik w artykule *Lądowanie jaka w prokuraturze*.



Postanowienie Prokuratury Okręgowej w Warszawie z 8 maja 2013 r. o umorzeniu

śledztwa w sprawie śmierci Remigiusza Musia



Ostatnia strona uzasadnienia umorzenia śledztwa w sprawie śmierci Remigiusza Musia

172

Prak/38

Sygn. akt

PROTOKÓL PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA

Przesłuchanie rozpoczęto o godz. 20.00 zakończono o godz. 21.00
 Nazwa Wojkowa Prokuratura Okręgowa data 10.04.2010
 (adres, nagłówekowa)
 (stanowisko, stopień wojskowy, imię i nazwisko przesłuchującego)
 Przesłuchanie przeprowadził Krzysztof Duda
 (imię, nazwisko, stopień wojskowy, imię i nazwisko przesłuchującego)
 przy udziale protokolanta-stenografa*) Abdulla
 od którego odebrano przyrzeczenie określone w art. 144 § 3 kodeksu postępowania karnego*) oraz
 w obecności 2
 przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka, po uprzedzeniu go w myśl art. 190 kpk
 o odpowiedzialności karnej za złożenie fałszywego zeznania z art. 233 § 1 kk, co świadek stwierdził
 swym podpisem [podpis]
 (podpis świadka)
 i zeznał:

1. Imię, nazwisko i imię ojca Remigiusz Stanisław Mus s. Leszek
2. Data i miejsce urodzenia 13.11.1970r. Toruń
3. Wykształcenie średnie
4. Zawód, zatrudnienie Żołnierze 7U 2159 Warszawa
5. Stopień wojskowy i przynależność wojskowa ml. chor. 1701 7U 2159 Warszawa
6. Miejsce zamieszkania (adres) [redacted]
7. Karalność za fałszywe zeznania według oświadczenia nie karany
8. Stosunek do stron duży

Świadka uprzedzono o treści art. 182, 183, i 185 kodeksu postępowania karnego, na co świadek
 oświadczył pozwolenie zeznać

Tożsamość świadka ustalono na podstawie paszportu serie AK
nr 2215741

STARSZY INSPEKTOR
 WOJSKOWEJ PROKURATURY OKRĘGOWEJ
 w Warszawie
 [podpis]
 ROSTKA

MON-Prak/38. Druk STAFIZ, zam. nr 105/2002.

Protokół przesłuchania Remigiusza Musia w śledztwie prowadzonym przez warszawską Wojskową Prokuraturę Okręgową w sprawie przyczyn katastrofy smoleńskiej

Korte trene przesłuchanie Remigiusza Musia 17/4

a na 500 metra. Wylądował z samolotu w połowie
tępalca. Pogoda widocznie pogorszyła się podczas
wzlotu do samolotu i podczas przelotu nad lasami
"niech teraz widzi jak 200 m przed samolotem".

Drógiem po tym przed samolotem. Po kilku
minutach wstąpił do samolotu i zaczął
branicie silnika tępalca, typowe dla samolotów
obrotu przy zwlecaniu. Nagle dobiegł usłyszał do
mających się, po chwili samolot uderzył
i tuż wylądował i wójtowski dróg zatrzymał
się jednego silnika a potem jak cieżko
właśnie wylądował tak że nie widać było
oddalonego od samolotu. Obserwatorowi tylko
poczuł się obok nosa pojeżdżać samolotem do około
5 minutami naprzeciwko samolotu i nie zapomniał
"co z niego trzęsł", odpowiedział mi "leży w powietrzu
z samolotem bo on stacją 50 metra od samolotu
leży przy samolocie. Spokojnie się widać, dróg
odpowiedzialnie nam że tępalca spadł. Po około godzinie
kiedy to miałem się nie interesować postawieniem
pupki na miejsce zdarzenia. Okazało się że uderzenie
to nie jest oddalone o 1100 metra jak wcześniej
nas informowano lecz 400 - 500 metra od progu
pasa i 10 metra od lewej strony z licznikiem
podawanie z samolotem tu 15% wleciał jedynie
kontakt stacją, przez którą nie było go cieżko
przed podaniem listy tępalca nie zaktualizowano
żadnych problemów technicznych. Nie mam pojęcia
nie wiem jaka jest przyczyna tej katastrofy.
To wszystko co mam do zeznania w tej sprawie.

Protokół przesłuchania - jest zgodny z moimi zeznaniami

RM



STARSZY INSPEKTOR
WOJSKOWEJ PROKURATURY OKRĘGOWEJ
w Warszawie

Janina Kłosa

Protokół przesłuchania Remigiusza Musia w śledztwie prowadzonym przez warszawską Wojskową Prokuraturę Okręgową w sprawie przyczyn katastrofy smoleńskiej

4 marca 2011 r. Agnieszka Kublik w artykule *Piloci wiedzieli o mgle* pisała:

O bardzo złych warunkach w Smoleńsku załogę prezydenckiego tupolewa informował też pilot Jaka-40, który wylądował w Smoleńsku kilkanaście minut przed startem Tu-154 z Warszawy. — Już wtedy warunki na lotnisku były trudne, poniżej minimum bezpieczeństwa, i ciągle się pogarszały. Mgła gęstniała, nie było widać chmur — opowiadał „Gazecie” por. Artur Wosztyl, dowódca Jaka-40. Sam wylądował, choć warunki były poniżej minimum widoczności. Teraz bada to wojskowa prokuratura. Zgodnie z regulaminem lotów Lotnictwa Sił Zbrojnych, w sytuacji gdy prognoza przewiduje złą pogodę, samolot nie powinien lecieć do Smoleńska, tylko od razu na zapasowe lotnisko. Potwierdza to gen. Pacek [Bogusław — red.]: — Załoga miała dwa wyjścia: albo nie startować, albo lecieć na zapasowe lotnisko. Tuż przed startem miało dojść do burzliwej wymiany zdań między dowódcą sił powietrznych gen. Andrzejem Błasikiem a kpt. Protasiukiem. Zarejestrowały ją kamery na wojskowym lotnisku Okęcie (jest obraz bez dźwięku). Słyszał ją chorąży BOR, jeden z trzech oficerów z tzw. zespołu lotniskowego, który kontroluje pod względem pirotechniczno-radiologicznym pasażerów wchodzących na pokład. Według jego relacji (pisaliśmy o tym w zeszłym tygodniu) „Protasiuk nie chciał lecieć, bo wiedział o pogarszających się warunkach. Generał miał zwymyślać go w wulgarnych słowach. Kazał mu iść do kokpitu i sam meldował prezydentowi samolot gotowy do odlotu. Wyglądało, jakby Protasiuk nie chciał lecieć, jakby coś przeczuwał — czytamy w „GW”.

Doniesienia „Gazety” okazały się wierutną bzdurą — nawet prokuratura wojskowa wydała *dementi* w tej sprawie. Tak więc próby obciążenia pilotów Jaka-40 odpowiedzialnością, że narażali życie pasażerów, spełzły na niczym.

W marcu 2015 r., po czterech latach śledztwa, Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła postępowanie ws. lądowania rządowego Jaka-40 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku z powodu „braku danych potwierdzających popełnienie przestępstwa”. Wojskowi śledczy uznali, że por. Artur Wosztyl, por. Rafał Kowaleczko oraz chor. Remigiusz Muś nie narażili pasażerów na niebezpieczeństwo.

W śledztwie przesłuchano m.in. Pawła Plusnina — rosyjskiego kierownika lotów z 10 kwietnia 2010 r. — oraz załogę Jaka-40.

Stwierdzić należy, iż brak jest dostatecznych danych, że manewr lądowania wykonany przez pilotów samolotu Jak-40 PLF 031, w dniu 10 kwietnia 2010 r. o godz. 7.15 na lotnisku Smoleńsk — „Północny”, został wykonany poniżej minimalnych warunków atmosferycznych, określonych dla dowódcy załogi — por. Artura Woszytyła, tj. przy podstawie chmur poniżej 100 m i widoczności 1000 m, oraz że dowódca załogi miał świadomość wydania pod jego adresem przez kontrolera lotniska Smoleńsk — „Północny” polecenia przerwania lądowania — czyli odejścia na drugi krąg, a mimo to polecenia tego nie wykonał — czytamy w uzasadnieniu umorzenia.

Mimo trwającego śledztwa i wstrząsających ustaleń niezależnych dziennikarzy na temat katastrofy smoleńskiej załoga Jaka-40 nie została objęta żadną ochroną Służby Kontrwywiadu Wojskowego. A powinna, na co wielokrotnie wskazywał Antoni Macierewicz, twórca SKW, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Zbadania Przyczyn Katastrofy Tu-154M z 10 kwietnia 2010 r. Wielokrotnie podkreślał on, że Remigiusz Muś był kluczowym świadkiem: słyszał komendę Rosjan sprowadzającą polskiego rządowego Tu-154M na wysokość 50 metrów, mówił też w swoich zeznaniach o wybuchach w tupolewie.

Wyszliśmy z samolotu wypatrywać tupolewa. Pogoda, widoczność pogorszyła się ponownie. Wróciłem do samolotu i nadałem przez radiostację „Arek, teraz widać już dwieście”, odpowiedział „Dzięki”. Wróciłem po tym przed samolot. Po kilku minutach usłyszeliśmy charakterystyczne gwizdzące brzmienie silników tupolewa, typowe dla zmniejszanych obrotów przy zniżaniu. Nagle obroty wzrosły do maksymalnych. Po dwóch sekundach uderzenie i trzy wybuchy i krótko trwający dźwięk zatrzymującego się jednego silnika, a potem już cisza (...). Sytuacja nasza wyglądała tak, że nie wiedzieliśmy, czy możemy oddać się od samolotu. Obserwowaliśmy tylko przejeżdżające obok nas pojazdy ratownicze. Po około 5 minutach nawiązałem

łącność z wieżą, zapytując, „co z naszą tutką”, odpowiedział mi „żebym wysiadł z samolotu, bo oni stacjonują 50 metrów od samolotu, którym przylecieliśmy”. Spotkaliśmy się z nim, drżącym głosem odpowiedział nam, że tupolew spadł. Po około godzinie, kiedy nikt się nami nie interesował, postanowiliśmy pójść na miejsce zdarzenia. Okazało się, że miejsce to nie jest oddalone 1500 metrów, jak wcześniej nas informowano, lecz 400-500 metrów od progu pasa i 50 metrów w lewo zgodnie z kierunkiem lądowania — czytamy w zeznaniach Remigiusza Musia.

* * *

Tuż przed północą 27 października 2012 r. Komenda Powiatowa Policji w Piasecznie została zawiadomiona o tragicznym zdarzeniu: w piwnicy jednego z bloków znaleziono na linie żeglarskiej ciało powieszzonego Remigiusza Musia.

Śmierć tak ważnego świadka, jakim był Remigiusz Muś, nastąpiła w szczególnym momencie: kilka dni po zakończeniu konferencji naukowej, na której przedstawiono dowody, iż na pokładzie tupolewa doszło do podwójnej eksplozji; w czasie gdy służby rosyjskie rozgrywały kombinację operacyjną związaną z publikacją zdjęć ofiar tragedii; oraz tuż po tym, jak szef zespołu smoleńskiego przypomniał o zeznaniach świadków, którzy słyszeli lub widzieli wybuchy — napisał kilka dni później Aleksander Ścios w „Gazecie Polskiej”.

Wszczęte po śmierci Remigiusza Musia śledztwo pokazało skandaliczne podejście przełożonych do pilotów wojskowych, których pozostawiono samym sobie. Armia nie wykorzystała umiejętności doskonale przeszkolonych pilotów, którzy odeszli z wojska, nie godząc się na fatalne warunki pracy.

Na podstawie informacji uzyskanych od Dowódcy Sił Powietrznych ustalono, iż mł. chor. szt. Remigiusz Muś w dniu 31 grudnia 2011 r. utracił zajmowane stanowisko służbowe w związku z „rozformowaniem” 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego. W dniu 28 września 2011 r. zaproponowano mu nowe stanowisko starszego oficera w nowo formowanej 1. Bazie Lotnictwa Transportowego w

Warszawie. Remigiusz Muś nie wyraził zgody na objęcie ww. stanowiska. Pismem z dn. 27 października 2011 r. Remigiusz Muś oświadczył, iż wyraża zgodę na zwolnienie go z zawodowej służby wojskowej. Z dniem 31 stycznia 2012 r. został on zwolniony z zawodowej służby wojskowej. W trakcie prowadzonych rozmów ze swoimi przełożonymi nie przedstawił żadnych powodów uzasadniających decyzję o odejściu na emeryturę. Z zeznań świadków wynika, iż w tym okresie podobną decyzję podjęło wielu żołnierzy z byłego 36. specpułku. Świadek Wojciech M., kolega z 36. specpułku, zeznał, iż przyczyną odejścia Remigiusza Musia i innych żołnierzy był fakt zaproponowania im „niekorzystnych etatów”, tj. z mniejszym uposażeniem

— czytamy w postanowieniu o umorzeniu śledztwa z 8 maja 2013 r. Było ono prowadzone w sprawie „doprowadzenia Remigiusza Musia namową lub przez udzielenie pomocy w dniu 27 października 2012 r. w Piasecznie do targnięcia się na własne życie, czego skutkiem była śmierć”.

W trakcie śledztwa ustalono, że z zabezpieczonych nagrań ze wszystkich kamer z okolic bloku, w którym zginął Remigiusz Muś, wynika, że kamera nie obejmowała wejścia na klatkę schodową, gdzie mieści się mieszkanie chorego.

Zabezpieczono między innymi zapis z wejścia do podziemnego garażu przyległego do piwnic [w jednej z nich znaleziono ciało Remigiusza Musia — red.], jednakże słaba jakość nagrania uniemożliwia identyfikację zarejestrowanych osób, nawet po przeprowadzonej obróbce technicznej obrazu. Ustalono, że na samej klatce schodowej oraz w pomieszczeniach piwnicznych nie było kamer monitoringu — czytamy w dokumentach prokuratury.

Śmierć Remigiusza Musia nastąpiła w sobotę, natomiast sekcję zwłok wykonano w poniedziałek. Poza obecnością 0,8 promila alkoholu w jego krwi nie znaleziono żadnych substancji psychotropowych i odurzających. W stężeniu terapeutycznym stwierdzono obecność dekstrometofanu, składnika m.in. acodinu, leku na kaszel. Przedawkowanie dekstrometofan może powodować napady paniki, wzrost ciśnienia lub wręcz paraliż dróg oddechowych.

Z przeprowadzonych badań wynika m.in., że na lince, na której było ciało chorego, nie stwierdzono śladów żadnych odcisków palców. Ślady DNA Remigiusza Musia zabezpieczono jedynie tylko na krótszym fragmencie linki, gdzie wykonano pętlę, natomiast na dłuższym fragmencie, jak napisał prokurator, „nie ujawniono materiału biologicznego nadającego się do badań”.

W niniejszym postępowaniu nie ustalono w sposób kategoryczny, jaka była przyczyna podjęcia przez Remigiusza Musia decyzji o samobójstwie. Remigiusz Muś nie zostawił listu pożegnalnego, nie ujawnił wprost motywów swojego działania żadnemu znanemu świadkowi. Nie ustalono, aby cierpiał na chorobę psychiczną. Nie miał problemów finansowych, poważnych problemów zdrowotnych lub innych obiektywnie poważnych problemów. W takiej sytuacji procesowe ustalenie przyczyny podjęcia decyzji o samobójstwie jest w zasadzie niemożliwe — czytamy w uzasadnieniu umorzenia śledztwa.

Jednak w aktach śledztwa znajdują się zeznania dwóch osób z rodziny Remigiusza Musia, według których został on nakłoniony do samobójstwa.

„Uważam, że były na niego naciski z zewnątrz, aby uczynił taki krok. Celem tego było, by nie składał kolejnych zeznań w sprawie smoleńskiej” — czytamy przytoczone zeznania w uzasadnieniu umorzeniu postępowania.

Z kolei inna osoba z rodziny Remigiusza Musia powiedziała prokuratorowi: „Nie sądzę, aby on tak nagle sam odszedł bez przyczyny, mogę domniemywać, tak mi się wydaje, że jakby stanął przed wyborem: zagrożenie rodziny, dzieci, żona a jego śmierć — wybrałby śmierć”.

Przemysław Nowak, prokurator prokuratury rejonowej delegowany do Prokuratury Okręgowej w Warszawie, uznał, że są to jedynie przypuszczenia nieoparte wiedzą o faktach i „nie mogą stanowić podstawy do dokonywania ustaleń faktycznych”. Sprawa została umorzona i trafiła do archiwum.

ROZDZIAŁ 7 SŁAWOMIR PETELICKI

Dwa życiorysy

16 czerwca 2012. W garażu luksusowych apartamentów z raną postrzałową głowy zostaje znaleziony Sławomir Petelicki. Lekarz, który przyjechał na miejsce razem z policją, stwierdza zgon.

Gen. Petelicki nie zostawił listu pożegnalnego, nie był chory, nie miał problemów rodzinnych i finansowych. Nie pozostawił testamentu i nie miał powodu, by się zabić. Mimo to po rocznym śledztwie prokuratura uznała, że śmierć gen. Sławomira Petelickiego — wieloletniego funkcjonariusza wywiadu MSW i jednego z najaktywniejszych szpiegów PRL — była wynikiem samobójstwa i nie przyczyniły się do niej osoby trzecie.

Gen. Sławomir Petelicki zginął 16 czerwca 2012 r. około godziny 17. Ciało znalazła żona, która zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością męża, zeszła na dół.

Zamontowany w budynku monitoring zarejestrował ostatnie minuty z życia generała: widać na nim jedynie, jak gen. Petelicki w jasnej koszuli i dżinsach znika za załomem podziemnego korytarza.

Garaż, do którego w zasadzie każdy może wejść, był właściwie jedynym miejscem, w którym Sławomir Petelicki nie był bezpieczny. Wystarczyło przejść przez otwartą bramę, kiedy wjeżdżał nią samochód któregoś z lokatorów. Bez użycia specjalnego kodu i karty nie można natomiast dostać się do części mieszkalnej, gdzie znajdują się apartamenty.

Z uzasadnienia umorzenia śledztwa w sprawie „doprowadzenia Sławomira Petelickiego namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia się na własne życie przy użyciu broni palnej w dniu 16 czerwca w garażu podziemnym budynku na ul. Tagore” wynika, że „czynu nie popełniono”. Prokuratura,

uznając, że było to samobójstwo, nie odpowiedziała na pytanie, co się takiego stało, że Petelicki targnął się na własne życie.

Ustalenie konkretnych motywów podjęcia decyzji o targnięciu się na własne życie wobec brzmienia art. 151 kk (namawianie lub pomoc w samobójstwie) wykracza poza ramy tego śledztwa — czytamy w uzasadnieniu umorzenia.

Przesłuchane przez prokuratora członkowie rodziny, znajomi (także z jednostki wojskowej GROM) i sąsiedzi zeznali, że nic nie wskazywało na to, że Sławomir Petelicki może popełnić samobójstwo. Świadcowie wskazywali na bardzo dobre relację rodzinne i równie dobry stan zdrowia 67-letniego generała.

Dokumentacja medyczna nie potwierdziła, aby S. Petelicki chorował na chorobę Alzheimera (okoliczność taka pojawiła się w doniesieniach prasowych). W toku śledztwa przesłuchano w charakterze świadków członków rodziny S. Petelickiego. Z ich zeznań wynika, iż generalnie przed śmiercią S. Petelicki zachowywał się normalnie, nie okazywał negatywnych emocji, nic nie wskazywało, aby mógł popełnić samobójstwo. S. Petelicki regularnie wykonywał badania lekarskie i nie chorował na żadne przewlekłe schorzenia, brał jedynie leki na nadciśnienie

— czytamy w uzasadnieniu umorzenia śledztwa prowadzonego przez prok. Lesława Bożka z Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście delegowanego do Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Lektura dokumentu nie rozwiewa wątpliwości, czy śmierć gen. Petelickiego była rzeczywiście wynikiem samobójstwa. Biegli na jego ciele nie stwierdzili śladów wskazujących na gwałtowną obronę, ale nie potrafili wyjaśnić pochodzenia pojedynczych siniaków w okolicach kolan i na plecach. Na pistolecie marki Heckler & Koch, z którego padł strzał, znaleziono odcisk palca lewej ręki Sławomira Petelickiego, który był praworęczny. Na dodatek na nabojach oraz magazynku nie odnaleziono ani odcisków palców, ani też śladów DNA.

Sekcja zwłok została przeprowadzona dwa dni po śmierci (gen. Petelicki

zginął w sobotę, sekcja odbyła się w poniedziałek) — badania nie wykazały obecności alkoholu, narkotyków i leków.

„To był cholernie twardy facet. Potrafił odizolować się od wielu spraw i iść wytyczoną drogą wbrew wszystkiemu. Poza tym kochał nade wszystko swoją rodzinę, żonę, dzieci” — podkreślał w publicznych wypowiedziach Janusz Wójcik, były trener reprezentacji Polski w piłce nożnej i były poseł Samoobrony, przyjaciel Sławomira Petelickiego.

Jego znajomi i byli podwładni zwracali uwagę na to, że Petelicki wiele mówił o honorze żołnierza polskiego, o mundurze, epatował tymi pojęciami, często ich nadużywając. Podkreślali, że gdyby rzeczywiście sam z własnej woli popełnił samobójstwo, zrobiłby to w mundurze, z listem pożegnalnym, w którym wskazałby przyczyny tak desperackiego kroku.

Prokuratura nie zbadała, czy przeszłość mogła mieć wpływ na śmierć gen. Petelickiego. A historia jego życia jest historią człowieka służb uczestniczącego w różnego rodzaju operacjach, głównie w czasach komunizmu. Sam o sobie mówił: „byłem szpiegiem”, ale poznając tajniki jego kariery, trudno uwierzyć, że po 1989 r. jako szpieg przeszedł w stan spoczynku.

* * *

26 marca 1990 r. Hotel Plaza w Nowym Jorku. Trwa spotkanie premiera RP Tadeusza Mazowieckiego z przedstawicielami Amerykańskiego Kongresu Żydów. Jest to kontynuacja rozmów, które rozpoczął Wojciech Jaruzelski na polecenie Michaiła Gorbaczowa, przywódcy ZSRS. W trakcie spotkania zapadają decyzje o przerwaniu przez Polskę do Izraela z terenu Związku Sowieckiego mieszkających tam Żydów.

Ta operacja otwiera mu drogę do dalszej kariery — zostaje szefem jednostki specjalnej GROM, a później robi karierę w biznesie. Od połowy lat 90. jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych ludzi służb specjalnych. Polacy nic nie wiedzą o jego przeszłości w PRL (podobnie jak o przeszłości innych funkcjonariuszy komunistycznych służb specjalnych) — ta wiedza jest zamknięta w archiwach. Dopiero odtajnienie przez prof. Janusza Kurtykę w

2006 r. archiwów komunistycznej bezpieki cywilnej i wojskowej powoduje przedostanie się do opinii publicznej udokumentowanych informacji na temat funkcjonariuszy służb specjalnych PRL.

Nie wszystkie informacje na temat gen. Petelickiego oraz innych funkcjonariuszy wywiadu PRL ujrzały światło dzienne — teczki dotyczące ich pracy „pod przykryciem” w Ministerstwie Spraw Zagranicznych znajdują się w archiwach MSZ. W 2009 r. Radosław Sikorski, ówczesny minister spraw zagranicznych, nie zgodził się na ich udostępnienie.

Sławomir Petelicki w 1989 r. był funkcjonariuszem Wydziału X Departamentu I.

Po powrocie z rezydentury, od września 1988 r. z-ca naczelnika w wydz. X. Umiejętnie kierował podległymi mu zespołami, uzyskując konkretne rezultaty w pracy. Ceniony w kolektywie za zaangażowanie i duże doświadczenie operacyjne. Zdyscyplinowany, posiada zdolności kierownicze. W październiku 1989 skierowany do instytucji przykrycia. Przewidziany do awansu na stanowisko wicedyrektora w instytucji przykrycia — czytamy w teźce personalnej Sławomira Petelickiego (IPN BU 003175/862).

Instytucja, o której mowa, to oczywiście Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Pod koniec lat 80. było wiadomo, że nastąpi zmiana w polityce, a ludzie służb PRL — konstruktorzy przemian, skutecznie o siebie zadbali. Niektórzy z nich trafili do „nowych” służb, inni odnaleźli się w biznesie.

Sławomir Petelicki wykorzystał szansę, jaką dała mu operacja MOST.

U schyłku lat 80. na terenie Związku Sowieckiego mieszkało około 1,7 mln osób narodowości żydowskiej. W lipcu 1988 r. ówczesny premier Izraela Icchak Szamir otrzymał raport wywiadu, w którym opisano fatalną sytuację gospodarczą Związku Sowieckiego — analitycy postawili tezę, że koniec ZSRS jest bliski. Zdaniem Mossadu sytuacja była groźna dla mieszkających tam Żydów, zwłaszcza w obliczu narastających antysemickich nastrojów.

WNIOSEK

w sprawie uzgodnienia kandydata do dostępu do wiadomości

stanowiących tajemnicę państwową

porządzonej na podstawie § 2 ust. 1 zarządzenia nr 01/83 Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 29 czerwca 1983 r.)
z zakresu zagadnień występujących na zajmowanym stanowisku pracy

Kandydat: na stanowisko kierownika Wydziału Obrony Państwa Departamentu
Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych

1. DANE DOTYCZĄCE KANDYDATA

- a) nazwisko i imię PETELICKI Sławomir
b) imiona rodziców (nazwisko panięskie matki) MIRONOW, HANNA ROMOSA
c) nazwisko panięskie (dla mężatek) nie dotyczy

2. Data i miejsce urodzenia 1946-09-13 WARSZAWA

3. Stan cywilny żonaty

4. Wykształcenie:

- a) podstawowe, średnie, wyższe — nazwa szkoły i rok ukończenia Uniwersytet Warszawski
1969 r.
b) tytuł naukowy magister

5. Przynależność do partii politycznych i organizacji społecznych (aktualnie i w przeszłości) ZSP
1965-1970, PZPR 1972-

6. Obecny i poprzedni adres zamieszkania (z ostatnich 2 lat) WARSZAWA ul.
Złotej Góry 13 m.6.

7. PRZEBIEG PRACY ZAWODOWEJ

Okres		Nazwa zakładu pracy	Zajmowane stanowisko	Miejscowość
od	do			
1969	1970	Rada Obrony Państwa, Studium	sekreterz	WARSZAWA
1970	1972	Centr. Klub. Studentów, UW	biurowy / kł. program	WARSZAWA
1972	1978	Minis. Spraw Zagranicznych	klasa	WARSZAWA
1978	1980	Urząd Rady Ministrów	doradca	WARSZAWA
1980	1988	Minis. Spraw Zagranicznych	radca min.	WARSZAWA
1988		Urząd Rady Ministrów	doradca	WARSZAWA

Wniosek do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o dopuszczeniu do tajemnicy państwowej pracującego „pod przykryciem” w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Sławomira Petelickiego

Sygn. akt V Ds 263/12

POSTANOWIENIE
o umorzeniu śledztwa

Dnia 6 czerwca 2013 r.

Lesław Bożek prokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście
delegowany do Prokuratury Okręgowej w Warszawie
w sprawie doprowadzenia Sławomira Petelickiego namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia się na własne życie przy użyciu broni palnej w dniu 16 czerwca 2012 r. w garażu podziemnym budynku na ul. Tagore 3 w Warszawie tj. o czyn z art. 151 kk
na podstawie art. 17 § 1 pkt 1 kpk

postanowił

umorzyć śledztwo w sprawie doprowadzenia Sławomira Petelickiego namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia się na własne życie przy użyciu broni palnej w dniu 16 czerwca 2012 r. w garażu podziemnym budynku na ul. [REDAKTOWANE] w Warszawie tj. o czyn z art. 151 kk

na podstawie art. 17 § 1 pkt 1 kpk wobec stwierdzenia, iż czynu nie popełniono

Uzasadnienie

Prokuratura Okręgowa w Warszawie prowadziła za numerem V Ds 263/12 śledztwo dotyczące doprowadzenia Sławomira Petelickiego namową lub poprzez udzielenie pomocy do targnięcia się na własne życie przy użyciu broni palnej w dniu 16 czerwca 2012 r. w garażu podziemnym budynku na ul. [REDAKTOWANE] w Warszawie tj. o czyn z art. 151 kk. W toku tego postępowania ustalono następujący stan faktyczny :

Pierwsza strona postanowienia z 13 maja 2013 r. o umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci Sławomira Petelickiego

1075

1. Stronom procesowym przysługuje prawo przejżenia akt sprawy i złożenia zażalenia na powyższe postanowienie do sądu właściwego do rozpoznania sprawy w pierwszej instancji (art. 306 § 1 i 2 kpk, art. 325a § 2 kpk oraz art. 465 § 1 i 2 kpk i art. 329 § 1 kpk). Sąd może utrzymać w mocy zaskarżone postanowienie lub uchylić je i przekazać sprawę prokuratorowi celem wyjaśnienia wskazanych okoliczności bądź przeprowadzenia wskazanych czynności (art. 330 § 1 kpk).

Jeżeli prokurator nadal nie znajdzie podstaw do wniesienia aktu oskarżenia, wyda ponownie postanowienie o odmowie wszczęcia śledztwa lub dochodzenia. W takim wypadku pokrzywdzony, który wykorzystał uprawnienia przewidziane w art. 306 § 1 kpk, może wnieść akt oskarżenia do sądu w terminie miesiąca od daty doręczenia zawiadomienia o postanowieniu (art. 330 § 2 kpk, art. 55 § 1 kpk). Akt oskarżenia powinien spełniać wymogi określone w art. 55 § 2 kpk. Inny pokrzywdzony tym samym czynem może aż do rozpoczęcia przewodu sądowego na rozprawie głównej przyłączyć się do postępowania (art. 55 § 3 kpk).

W sprawach z oskarżenia prywatnego zażalenie na postanowienie prokuratora o umorzeniu postępowania przygotowawczego rozpoznaje prokurator nadzzędny, jeżeli postanowienie zapadło z uwagi na brak interesu społecznego w ściganiu z urzędu sprawy (art. 465 § 2a kpk).

2. Na rozstrzygnięcie co do dowodów rzeczowych zażalenie przysługuje podejznanemu, pokrzywdzonemu oraz osobie, od której odebrano te przedmioty lub zgłosiła do nich roszczenie (art. 323 § 2 kpk).

3 Zażalenie na powyższe postanowienie wnosi się za pośrednictwem prokuratora, który wydał postanowienie. Termin do wniesienia zażalenia wynosi 7 dni od daty doręczenia odpisu postanowienia i jest zawity. Zażalenie wniesione po upływie tego terminu jest bezskuteczne (art. 122 § 1 i 2 i art. 460 kpk).

Zarządzenie:

Stosownie do art. 100 § 2 kpk, art. 305 § 4 kpk i art. 325a § 2 kpk doręczyć odpis postanowienia:

- pokrzywdzonym: [REDACTED]

PROKURATOR

Lesław Bożek

07 CZE. 2013

Wykonano dnia

Hanna Felczyńska podpis

Ostatnia strona postanowienia z 13 maja 2013 r. o umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci Sławomira Petelickiego

Żydów oskarżało się tam o spowodowanie kłopotów gospodarczych i o udział we wprowadzeniu sankcji ekonomicznych, którymi Moskwa została obłożona po inwazji na Afganistan w 1980 r.

(...) Gdyby prognozy wywiadu spełniły się, ludziom tym [Żydom mieszkającym na terenie ZSRS — red.] groził pogrom na niespotykaną dotąd skalę, a do tego Szamir nie chciał dopuścić. W ciągu kolejnych miesięcy przy wsparciu USA zorganizował ofensywę dyplomatyczną

— tak kulisy operacji MOST opisywał Andrzej Fedorowicz w miesięczniku „Focus Historia” w marcu 2013 r. w artykule *MOST. Tajna operacja Mossadu w Polsce*.

Celem ofensywy dyplomatycznej było uzyskanie zgody od Gorbaczowa na masową emigrację Żydów.

W rewanżu miały być złagodzone sankcje gospodarcze i udzielone korzystne kredyty dewizowe, których upadająca gospodarka imperium potrzebowała jak powietrza. Gorbaczow zgodził się, stawiając warunek, że majątek pozostawiony przez emigrantów przejdzie na własność komunistycznego państwa i nie będą oni w przyszłości rościć do niego pretensji.

Pozostawał jednak poważny problem. Emigracja do Izraela musiała odbywać się drogą lotniczą — pisał Andrzej Fedorowicz.

Było jasne, że istnieje poważne zagrożenie dla tej operacji ze strony terrorystów: 30 marca 1989 r., cztery dni po spotkaniu Tadeusza Mazowieckiego z przedstawicielami Amerykańskiego Kongresu Żydów, doszło do zamachu na *attaché* handlowego polskiej ambasady w Libanie Bogdana Serkisa i jego żonę Ewę. Zostali oni ostrzelani z przejeżdżającego samochodu na parking dla dyplomatów w handlowej dzielnicy Hamra w zachodnim Bejrucie, kontrolowanej przez wojska syryjskie. Do zamachu przyznała się, w oświadczeniu dla lewicowego pisma „As-Safir”, palestyńska grupa terrorystyczna Organizacja Akcji Rewolucyjnej, Front Oporu Arabów, Oddział męczennika Suleimana al Halabi.

Bogdan Serkis został poważnie ranny w głowę oraz brzuch i przeszedł operację w amerykańskim szpitalu uniwersyteckim w Bejrucie. Do tego samego szpitala trafiła ranna w nogę jego żona.

Przedstawiciele organizacji terrorystycznej nie kryli, że zamach jest reakcją na deklarację pomocy sowieckim Żydom ze strony polskiego rządu. Zamachami terrorystycznymi na Polaków zagroził także Islamski Front Wojskowy działający na terenie Libanu. Wcześniej sympatyzująca z Iranem organizacja Islamska Święta Wojna Wyzwolenia Palestyny zapowiedziała akcje terrorystyczne przeciwko wszystkim krajom i liniom lotniczym, które udzielą pomocy sowieckim Żydom.

Po zamachu na małżeństwo Serkisów Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą czasowo zawiesiło działalność bejruckiego Biura Radcy Handlowego — przedstawiciel Biura przeniósł się do Damaszku.

W Polsce trwały natomiast przygotowania do tranzytu sowieckich Żydów do Izraela. Operacja zakończyła się powodzeniem — sowieccy obywatele narodowości żydowskiej pociągami przyjechali do Polski, a następnie samolotami zostali przerzuceni do Izraela.

W akcję były zaangażowane m.in. służby amerykańskie, polscy esbecy z komunistycznego wywiadu, służby izraelskie, a także KGB. W Warszawie działała jeszcze Grupa Operacyjna „Narew”, powołana do kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa. Operację MOST sfinansowali aferzyści Andrzej Gąsiorowski i Bogusław Bagsik, właściciele spółki Art-B.

Rok później uciekli z Polski po tym, jak wyszły na jaw ich bankowe machinacje — zastosowali tzw. oscylator, na czym zarobili gigantyczne pieniądze. Mechanizm polegał na lokowaniu pieniędzy w bankach, a następnie pobieraniu czeków gwarantowanych przez bank na ulokowane kwoty i — w dalszej kolejności — na realizowaniu tych czeków w innym banku, gdzie zakładana była kolejna lokata i pobierany kolejny czek gwarantowany.

Dyrektorem generalnym Art-B był Zbigniew Sajkowski, były wiceminister oświaty, a także zastępca Aleksandra Kwaśniewskiego w Urzędzie Kultury Fizycznej i Turystyki, zaś wicedyrektorem generalnym Wiktor Adamczyk, kolega Sławomira Petelickiego z komunistycznej bezpieki. W 1988 r. Adamczyk

podpisał — w imieniu Wydziału Zagranicznego KC PZPR — porozumienie z PKO BP w sprawie utworzenia kont dewizowych partii w zachodnich bankach: zgromadzono na nich co najmniej 14 mln franków szwajcarskich i około miliona dolarów. Pieniądze te wróciły następnie do X Oddziału PKO BP w Warszawie, gdzie Adamczyk od 15 lutego do 30 listopada 1990 r. był zastępcą dyrektora. To wtedy rozdysponowano wszystkie pieniądze z kont dewizowych byłej PZPR i do dziś nie wiadomo, gdzie się one podziały. Prowadząca śledztwo w sprawie Art-B prokuratura stwierdziła, że gdy Wiktor Adamczyk pracował w X Oddziale PKO BP, umożliwił Bąsikowi i Gąsiorowskiemu realizację oscylatora. W czasie działalności Art-B jej właściciele sfinansowali operację MOST.

Funkcjonariusz SB Sławomir Petelicki natychmiast po zakończeniu operacji MOST został dowódcą formacji GROM, która znajdowała się w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Po zamachu w Libanie na małżeństwo Serkisów Petelicki przyszedł do ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Krzysztofa Kozłowskiego i zaproponował mu, aby jednostka GROM — złożona z doskonale wyszkolonych komandosów — ochraniała ambasady.

W MSW istniała już grupa antyterrorystyczna utworzona przez gen. Edwina Rozłubirskiego, twórcę wojsk powietrzno-desantowych w LWP. Powodem powstania formacji były wydarzenia, które miały miejsce 6 września 1982 r. w Ambasadzie PRL w Bernie — uzbrojony oddział Polskiej Powstańczej Armii Krajowej zajął Attaszat Wojskowy, przejmując dokumentację operacyjną Zarządu II.

Po tych wydarzeniach gen. Edwin Rozłubirski w 1982 r. został oddelegowany z MON do dyspozycji gen. Czesława Kiszczaka, gdzie opracował m.in. koncepcję centralnego ośrodka szkolenia antyterrorystycznego, który później przekształcił się w GROM. Co ciekawe, nazwa ta funkcjonowała już w latach 80., po ataku na ambasadę w Bernie. Kryptonim GROM miał być użyty w razie ataku na zagraniczne placówki PRL. Po 1989 r. Rozłubirski — już jako emeryt wojskowy — trafił do spółki Art-B. Bogusława Bąsika i Andrzeja Gąsiorowskiego.

Sławomir Petelicki przejął komandosów z oddziału stworzonego przez gen.

Rozłubirskiego, a dzięki wsparciu logistycznemu Amerykanów mógł rozbudować formację, która mimo że była w MSW, nosiła nazwę Jednostki Wojskowej 2305. Sformowanie jednostki nastąpiło 13 lipca 1990 r.

Dzięki objęciu dowództwa w GROM-ie Sławomir Petelicki uniknął weryfikacji, która zaczęła się w połowie 1990 r., po rozwiązaniu Służby Bezpieczeństwa i powołaniu Urzędu Ochrony Państwa. Można przypuszczać, że nawet najłagodniejsza komisja weryfikacyjna nie wydałaby pozytywnej opinii Petelickiemu, który do końca kariery w SB zwalczał opozycję.

Czwarty rok kieruje rezydenturą w obsadzie 5 oficerów. Wyniki operacyjne i informacyjne dobre. Operatywny, wyjątkowo ambitny i uparty. Postawa ideowo-polityczna nie budzi zastrzeżeń — tak w 1987 r. służbę Petelickiego oceniał jego przełożony gen. Zdzisław Sarewicz, dyrektor Departamentu I MSW.

* * *

Ze znajdujących się w IPN dokumentów wynika, że Sławomir Petelicki złożył podanie o przyjęcie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych 13 czerwca 1969 r., tuż przed zdaniem końcowego egzaminu na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Petelicki poszedł w ślady swojego ojca Mirosława Petelickiego, który był m.in. żołnierzem II Zarządu Sztabu Generalnego i członkiem oddziału sowieckiej partyzantki. W aktach komunistycznej bezpieki znajduje się dokument, z którego wynika, że Sławomir Petelicki dzięki ojcu został studentem prawa Uniwersytetu Warszawskiego — Mirosław Petelicki 16 lipca 1964 roku zwrócił się z prośbą do rektora UW o przyjęcie syna na studia.

Kariera ojca Sławomira Petelickiego, a także i jego samego została opisana w książkach *Cień tajnych służb* oraz *Resortowe dzieci. Służby*. Petelicki, mówiąc o swoim ojcu, podkreślał, że był on wielokrotnym mistrzem Polski w strzelectwie sportowym i że jako jeden z dowódców Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego dowodził akcją, w której 26 polskich spadochroniarzy zabiło w zasadzce ponad 100 esesmanów.

W rzeczywistości Mirosław Petelicki należał do Brygady „Grunwald”,

będącej oddziałem sowieckiej partyzantki. Brygada „Grunwald” była faktycznie jednostką bojową NKWD — jej spadochroniarze walczyli na Kielecczyźnie z żołnierzami Narodowych Sił Zbrojnych.

* * *

W I Departamencie MSW (wywiad) Sławomir Petelicki zrobił błyskawiczną karierę. Najpierw przeszedł kurs indywidualny na oficera I Departamentu, a już w 1973 r., mimo niewystarczającej znajomości języka angielskiego, został wysłany do pracy w Nowym Jorku, gdzie zajmował się m.in. inwigilacją środowisk polonijnych. Po powrocie do kraju na początku lat 80. Petelicki najpierw został zastępcą naczelnika Wydziału VIII Departamentu I MSW, który to wydział prowadził sprawy ekonomiczne. W lutym 1980 r. powołano go na zastępcę szefa Wydziału XI, który zajmował się dywersją ideologiczną. Rok później otrzymał od przełożonych premię specjalną za skuteczne zrealizowanie przedsięwzięć inspiracyjno-propagandowych.

W lutym 1983 r. Petelicki został skierowany do pracy w charakterze rezydenta w ambasadzie polskiej w Londynie, gdzie oficjalnie miał być I sekretarzem ds. politycznych. Zgodę na jego wyjazd wydał ówczesny szef wywiadu MSW gen. Władysław Pożoga.

Petelicki, działając „pod przykryciem”, miał kierować w Londynie pracą rezydentury, ponieważ — jak napisali w raporcie jego przełożeni — znał doskonale problematykę dywersji ideologicznej. Przedsięwzięcie to spaliło jednak na panewce, bo Petelickiemu nie przyznano wizy. „Fakt nieudzielenia wizy przez władze brytyjskie wskazuje, że może on być znany zachodnim służbom jako oficer wywiadu” — pisał w notatce służbowej ówczesny dyrektor Departamentu I MSW płk Fabian Dmowski.

Po odmowie wjazdu do Wielkiej Brytanii Sławomir Petelicki został skierowany do pracy w rezydenturze w ambasadzie polskiej w Sztokholmie, gdzie używał pseudonimu „Raja”. Rozpracowywał m.in. środowisko gdańskiej Solidarności; jednym ze sposobów były kontrolowane przesyłki zawierające materiały poligraficzne, sprzęt oraz pieniądze, które przewozili pracownicy

polских promów — w rzeczywistości byli to funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa pracujący „pod przykryciem” jako załoga na promach.

Sławomir Petelicki brał m.in. udział w akcji przejęcia sprzętu w 1987 r. Służba Bezpieczeństwa uzyskała informację, że z Francji do Warszawy poprzez Szwecję mają być przesłane radiotelefony, maszyny do pisania i materiały do druku. Do grupy, którą rozpracowywała bezpieka, wprowadzono tajnego współpracownika posiadającego licencję kapitana jachtowego, który zajął się przetrzaniem sprzętu. Akcja zakończyła się zatrzymaniem całego ładunku oraz osób, które zorganizowały przewóz materiałów.

Jak pisali w 2012 r. w tygodniku „Uważam Rze” dr Sławomir Cenckiewicz i Piotr Woyciechowski (*Petelickiego życie skrywane*), Petelicki skupił się na pozyskiwaniu informacji o działalności Biura Informacyjnego Solidarności, Kongresu Polaków w Szwecji, kanałów przetrzutu pomocy materialnej i finansowej dla podziemia w Polsce oraz relacji pomiędzy polskimi organizacjami a szwedzkimi związkami zawodowymi i partiami politycznymi. Sławomir Petelicki rozpoznawał nastroje wśród Polonii szwedzkiej po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki i Grzegorza Przemyka.

Udało mu się uplasować agenturę w Kongresie Polaków w Szwecji. W raporcie ze spotkania ze źródłem „Boraks” w marcu 1987 r. Petelicki pisał: „W załączeniu przekazuję wewnętrzne dokumenty Kongresu Polaków w Szwecji uzyskane od źródła krypt. «Boraks», w tym wykaz organizacji członkowskich KPS, sprawozdanie z działalności KPS w 1986 r., sprawozdanie z realizacji uchwał Zarządu KPS i protokół z zebrań Zarządu KPS z dnia 20 grudnia 1986 r. — napisali Cenckiewicz i Woyciechowski.

Po powrocie do Polski 1 lipca 1988 r. pracował jednocześnie na dwóch etatach: był funkcjonariuszem MSW i MSZ: odpowiadał za zabezpieczenie pracowników wywiadu i służb dyplomatycznych przed infiltracją ze strony zachodnich służb specjalnych oraz tropienie ukrywających się zdrajców, a oficjalnie był doradcą ministra — kierownikiem wydziału w Departamencie Łączności MSZ. W tym czasie posługiwał się nazwiskiem operacyjnym Andrzej

Malicki — jeszcze w 1989 r. pod tym nazwiskiem wyjeżdżał do Wiednia, gdzie realizował zadania PRL-owskiego wywiadu. Po wyborach 4 czerwca 1989 r. roku Sławomir Petelicki, podobnie jak inni funkcjonariusze komunistycznych służb specjalnych, zadeklarował swoje poparcie dla USA.

* * *

Sławomir Petelicki kilka razy rozstawał się z jednostką GROM. Pierwszy raz odszedł 19 grudnia 1995 r. Pięć miesięcy później, 13 maja 1996 r., został pełnomocnikiem rządu Włodzimierza Cimoszewicza ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej. Powołanie pełnomocników uzgodnili premierzy Rady Państw Morza Bałtyckiego. Pełnomocnicy mieli wspólnie opracować zasady współpracy w walce z przestępczością zorganizowaną i terroryzmem na terenie Europy. Petelicki pełnomocnikiem w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza był zaledwie miesiąc — podał się do dymisji 13 czerwca 1996 r., a swoją decyzję ogłosił na konferencji prasowej, na której odczytał list do premiera.

Informuję, że sekretarz stanu Grzegorz Rydlewski nie wykonał polecenia, które przekazał mu Pan w mojej obecności (...) i nie określił do 7 bm. mojego statusu urzędniczego oraz zakresu obowiązków i kompetencji — napisał Petelicki.

Po odejściu z funkcji pełnomocnika Petelicki zaangażował się w Ruch Stu, którego został ekspertem. Prezesem tej partii był Czesław Bielecki, zaś przewodniczącym rady politycznej Andrzej Olechowski. W Ruchu Stu działali też m.in. Paweł Graś i Krzysztof Piesiewicz.

W grudniu 1997 r. Petelicki ponownie został dowódcą GROM-u — na to stanowisko powołał go ówczesny minister spraw wewnętrznych i administracji Janusz Tomaszewski. Jego zastępcą był wówczas Wojciech Brochwicz, który w 1990 r. był razem z Petelickim w GROM-ie.

Ostatecznie z dowodzeniem tą jednostką Petelicki rozstał się 28 października 1999 r. w atmosferze skandalu. Ze stanowiska odwołał go

ówczesny koordynator do spraw służb specjalnych Janusz Pałubicki. Postawą odwołania Petelickiego i jego zastępców był raport Inspektoratu Kontroli i Nadzoru MSWiA, w którym opisano nieprawidłowości przy realizacji zamówień publicznych w jednostce wojskowej GROM. Po miesiącu niespodziewanie Janusz Pałubicki, Jerzy Widzyk, szef Kancelarii Premiera, oraz sam premier Jerzy Buzek stwierdzili, że nieprawidłowości w GROM-ie nie było i że „zostali wprowadzeni w błąd”. Jednak szef MSWiA Marek Biernacki nie zdecydował się na przywrócenie Petelickiego do służby — nowym dowódcą GROM-u został Roman Polko.

Później okazało się, że tuż przed odejściem Sławomir Petelicki udostępnił część należących do GROM-u budynków Wojskowym Służbom Informacyjnym, co spotkało się z krytyką części żołnierzy.

* * *

Po odejściu z GROM-u Sławomir Petelicki zaczął funkcjonować w biznesie: pracował w polskim oddziale firmy doradczej Ernst & Young, z której odszedł w 2009 r. Zasiadał m.in. w radzie nadzorczej Biotonu — firmy należącej do Ryszarda Krauzego, i w radzie nadzorczej Pol-Aqua, której założycielem był Marek Stefański. Znaleźli tu posady m.in. byli żołnierze Wojskowych Służb Informacyjnych, którzy wcześniej byli żołnierzami Zarządu II Sztabu Generalnego, czyli komunistycznego wywiadu wojskowego.

Do firmy Pol-Aqua Sławomir Petelicki trafił w październiku 2008 r., dokładnie rok po tym jak zarejestrowano w Moskwie spółkę Pol-Aqua Wostok, w której 51 proc. udziałów miała Pol-Aqua, 24 proc. Prokom Ryszarda Krauzego, a resztę partner rosyjski. Spółka otrzymała koncesję na poszukiwanie ropy naftowej i gazu, budownictwo paliwowe i ogólne.

Sławomir Petelicki w latach 2009—2011 był członkiem rady nadzorczej innej spółki związanej z Markiem Stefańskim — IDS Group, firmy inżynieryjno-budowlanej.

Skupiając w swoich szeregach doświadczonych pracowników o wysokich

kwalifikacjach, inżynierowie spółki oraz jej pozostała kadra pracowali przy skomplikowanych i prestiżowych realizacjach w kraju, takich jak budowy: Trasy Mostu Północnego, Złote Tarasy, Arkadia, CH Auchan i CH Tesco wraz z infrastrukturą zewnętrzną, pierwszego etapu Stadionu Narodowego, III nitki rurociągu „Przyjaźń”, rurociągów dla PKN Orlen SA, Grupy Lotos — czytamy na stronie internetowej IDS.

Sławomir Petelicki był również w spółce JMP Windsor Commercial Enterprises. Jej współwłaścicielem był obywatel Laosu Bounthanh T., a oprócz niego udziały w firmie posiadali m.in. Wojciech Brochwicz, gen. Petelicki, spółka Prokom Investments biznesmena Ryszarda Krauzego. Spółka miała poszukiwać złóż miedzi w Laosie, jednak do poszukiwań nigdy nie doszło. Laotańczykiem zainteresowała się Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w związku ze śledztwem dotyczącym próby gigantycznego oszustwa na szkodę banku PKO SA. W tej sprawie został oskarżony Bounthanh T., ale gdy w 2010 r. akt oskarżenia trafił do sądu, spółka JMP Windsor Commercial Enterprises nie prowadziła już żadnej działalności.

Sławomir Petelicki, zasiadając w kilku radach nadzorczych, zarabiał rocznie kilkaset tysięcy złotych, od 1999 r. pobierał generalską emeryturę z MSW (na ten stopień awansował go prezydent Aleksander Kwaśniewski), miał też swoją firmę doradczą. Forsowana więc przez media teza, że przyczyną targnięcia się na własne życie były potężne kłopoty finansowe, okazała się wierutna bzdurą.

Po katastrofie smoleńskiej Sławomir Petelicki w kwietniu 2011 ujawnił, że politycy PO rozsyłali SMS-y o następujące treści: „Katastrofę spowodowali piloci, którzy zeszli we mgłę poniżej 100 metrów. Do ustalenia pozostaje, kto ich do tego skłonił”.

Informacja ta ukazała się na portalu www.wprost.pl 9 kwietnia 2011 r. w wywiadzie przeprowadzonym z gen. Petelickim, członkiem Zespołu Ekspertów Niezależnych (jego członkami byli dr Przemysław Guła — były szef rządowego Centrum Antykryzysowego, gen. brygady Sławomir Petelicki, prof. Krzysztof Rybiński — ekonomista, były wiceprezes NBP, gen. broni Waldemar

Skrzypczak — były dowódca Wojsk Lądowych, i Marcin Gomoła — prawnik, były wiceprzewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego).

Raport ZEN ukazał skalę zaniechań, jakie były udziałem rządu Tuska w sprawie szeroko pojętego bezpieczeństwa państwa, oraz dezinformacji i przeinaczeń, krętactw, matactw.

To nie Rosjanie ośmieszyli nas i upokorzyli przed całym cywilizowanym światem. Zrobił to polski premier, oddając śledztwo i wmawiając Polakom, że nasza prokuratura może prowadzić równoległe śledztwo bez posiadania czarnych skrzynek, wraku samolotu i dostępu do miejsca katastrofy. To, że jest to niemożliwe, nie wymaga dowodu. (...) jeśli po ocenie raportu komisji szefa MSWiA i wyników prac polskiej prokuratury Sejm nie podejmie decyzji o postawieniu premiera Donalda Tuska i ministra obrony narodowej Bogdana Klicha przez Trybunałem Stanu, będzie to oznaczało, że nawet największa narodowa tragedia od zakończenia II wojny światowej nie jest w stanie nic w Polsce zmienić, a system bezpieczeństwa naszego państwa będzie ulegał dalszej degradacji — czytamy w raporcie.

Tuż po publikacji raportu Sławomir Petelicki w wywiadzie dla „Wprost” mówił m.in. o zaniechaniach rządu, które doprowadziły do katastrofy smoleńskiej. Po kilku godzinach wywiad z nim został jednak usunięty ze stron www.wprost.pl. Redaktorem naczelnym tygodnika był wówczas Tomasz Lis.

W wywiadzie dla „Super Expressu” Sławomir Petelicki ujawnił, że autorem SMS-a jest Donald Tusk, Tomasz Arabski lub Paweł Graś. Gen. Petelicki stwierdził też, że Graś doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że to właśnie generał ma SMS-a rozsyłanego do polityków PO.

Głównym powodem, dla którego zdaniem gen. Petelickiego czołowi politycy Platformy mieliby wysyłać instrukcję do swoich partyjnych kolegów, był strach.

Po zaangażowaniu się w obronę załogi Tu-154 (wcześniej mówił też o rażących zaniechaniach w związku z katastrofą samolotu wojskowego Casa w styczniu 2008 r., w której zginęło 20 wojskowych) Sławomir Petelicki zaczął tracić pozycję w biznesie — przestał zasiadać w radach nadzorczych, przestały też płynąć intratne zlecenia. Zaczął otrzymywać „ostrzeżenia” od ludzi

związanych z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi, by się nie angażował w sprawy wojskowe. Jak podkreślają jego bliscy znajomi, gen. Petelickiemu dano odczuć, że jest pod stałą obserwacją — zwłaszcza po tym jak zaczął publicznie krytykować rząd w związku z katastrofą smoleńską.

Polskie siły zbrojne będą skazane na różne rozwiązania zastępcze, dopóki będą zarządzane i dowodzone przez ludzi wychowanych w doktrynie wojennej Układu Warszawskiego, którzy nie rozumieją procedur NATO ani nie realizują wizji sojuszu.

Polacy nie po to tak długo i usilnie zabiegali o członkostwo w NATO, żeby po 20 latach wolności kierownictwo naszego Ministerstwa Obrony Narodowej wydało komunikat, że Polska nie ma obowiązku informowania NATO, nawet gdy zginą wszyscy najważniejsi dowódcy Wojska Polskiego — czytamy w raporcie, którego współautorem był Sławomir Petelicki.

Petelicki krytykował nie tylko rząd — publicznie mówił też o tym, jak Bronisław Komorowski — najpierw jako minister obrony narodowej, a później jako prezydent, zwierzchnik sił zbrojnych, doprowadził do zapaści w armii.

Komorowski to sobie zapamiętał. Gdy na początku czerwca 2015 r. w związku z 25. rocznicą powstania jednostki GROM prezes Zarządu Stowarzyszenia „Siła i Honor” im. gen. Sławomira Petelickiego zwrócił się wnioskiem o nadanie gen. bryg. Sławomirowi Petelickiemu Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Komorowski mu tego odznaczenia nie przyznał. A wniosek po pozytywnym zaopiniowaniu przez ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka został 15 czerwca 2015 r. przesłany do Kancelarii Prezydenta RP.

* * *

Niemal natychmiast po podaniu przez media informacji o śmierci Sławomira Petelickiego większość dziennikarzy jednoznacznie wskazywała na samobójstwo, chociaż w pierwszych godzinach jego bliscy znajomi temu zaprzeczali. Gromosław Czempiński, który był razem ze Sławomirem

Petelickim w Służbie Bezpieczeństwa, początkowo mówił, że jest „nieprawdopodobne, by Sławek sam się zabił”, ale już dzień później powtarzał tezę większości mediów o samobójczej śmierci gen. Petelickiego.

Sławek opowiadał, że czuje się izolowany, że nie ma dostępu do mediów jak kiedyś, że ma kłopoty ze znalezieniem sobie pracy, że ma kłopoty z realizacją projektów, nad którymi pracuje. Mówił, że jest to pokłosie tego, co myśli o obecnej ekipie rządzącej. Tak to odczuwał — mówił Gromosław Czempiński w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” 19 czerwca 2012 r.

Co ciekawe, rok później prokuratura przyjęła, że powodem desperackiego kroku generała mogło być to, że był on odsunięty od głównego nurtu i coraz rzadziej zapraszano go do mediów. Decyzje o umorzeniu postępowania śledczy podjęli na podstawie zeznań znajomych Sławomira Petelickiego oraz jego portretu psychologicznego.

ROZDZIAŁ 8 JÓZEF SZANIAWSKI

Na celowniku WSI

4 września 2012. Komenda Powiatowa Policji w Zakopanem zostaje poinformowana o śmiertelnym wypadku w Tatrach Wysokich na szlaku prowadzącym z przełęczy Zawrat na Świnicę. Policjanci jadą do szpitala, gdzie przewieziono zwłoki ofiary wypadku. Na miejscu okazuje się, że zmarły to prof. Józef Szaniawski, ostatni więzień polityczny PRL, pełnomocnik płk. Ryszarda Kuklińskiego; człowiek, który w 1991 r. opublikował listę nazwisk oficerów WSW i Zarządu II Sztabu Generalnego szkolonych w Moskwie. Przed śmiercią prof. Szaniawski przygotował materiały do kolejnej książki, jednak nigdy ich nie odnaleziono.

Nie ulega wątpliwości, że najwięcej dla upamiętnienia wiedzy na temat Kuklińskiego zrobił Józef Szaniawski, publikując przez lata wiele cennych materiałów źródłowych, zwłaszcza rozproszonych relacji pamiątkarskich” — napisał dr hab. Sławomir Cenckiewicz w książce *Atomowy szpieg* poświęconej płk. Kuklińskiemu, zastępcy szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP PRL, który od sierpnia 1972 r. współpracował z CIA. Zagrożony dekonspiracją, został ewakuowany z Polski na Zachód wraz z żoną i synami Bogdanem i Waldemarem w nocy z 7 na 8 listopada 1981 r. Trzy lata później, 23 maja 1984 r., został skazany zaocznie przez sąd wojskowy w Warszawie na karę śmierci. Gdy już nastała III RP, w 1990 r. wyrok ten złagodowano do 25 lat więzienia, a pięć lat później został on uchylony, a Ryszardowi Kuklińskiemu przywrócono stopień pułkownika. Stało się to za sprawą I prezesa Sądu Najwyższego Adama Strzembosza, który wniósł rewizję od wyroku z 1990 r. We wrześniu 1997 r., po ponownym skierowaniu sprawy do prokuratury wojskowej, śledztwo umorzono — wojskowy prokuratorzy uznali, że płk Kukliński działał w stanie wyższej konieczności.

O rehabilitację pułkownika walczył prof. Józef Szaniawski, który był pełnomocnikiem Ryszarda Kuklińskiego w Polsce.

Gdy tylko do opinii publicznej przedostała się informacja o śmierci prof. Szaniawskiego, wiele osób zastanawiało się, czy był to zwykły wypadek czy też zaaranżowany przez służby — tak jak w przypadku dwóch synów płk. Kuklińskiego, którzy zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Waldemar Kukliński w sierpniu 1994 r. został kilkakrotnie przejechany przez terenowy samochód w kampusie uniwersyteckim w Phoenix na oczach świadków. Sprawców nie ujęto, a w odnalezionym samochodzie nie odkryto żadnych odcisków palców. Drugi syn, Bogdan Kukliński, według oficjalnej wersji zaginął bez śladu podczas morskiego rejsu w 1993 r., a jego ciała nigdy nie znaleziono.

Płk Ryszard Kukliński za współpracę z CIA i przekazanie Amerykanom planów stanu wojennego był wrogiem numer jeden nie tylko Sowietów, ale także ich podwładnych w Polsce. Komunistyczni wojskowi (i nie tylko oni) uważali go za zdrajcę. „Jeżeli pułkownik Ryszard Kukliński jest bohaterem, to kim my jesteśmy?” — pytał po rehabilitacji płk. Kuklińskiego Wojciech Jaruzelski. Dla ludzi związanych z Moskwą zarówno Kukliński, jak i prof. Szaniawski byli zdrajcami Układu Warszawskiego, sowieckich towarzyszy i PRL.

* * *

Był rok 1989. Mijały miesiące zbliżające PRL do upadku. A Józef Szaniawski wciąż siedział w więzieniu. Był Okrągły Stół, czerwcowe wybory, Gazeta Wyborcza, premier Mazowiecki, Wiadomości zamiast Dziennika Telewizyjnego a on dalej siedział. Do 18 grudnia 1989 r. Słyszał wrzawę wolności, ale z za krat. Tych miesięcy niewoli nie wybaczył nowej nomenklaturze do końca życia — napisał Filip Frąckowiak, syn prof. Szaniawskiego, w książce *Józef Szaniawski, ostatni więzień polityczny PRL*.



Prof. Józef Szaniawski kilkanaście minut przed wypadkiem w Tatrach 4 września 2012 r.



Śmigłowiec Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego z ratownikami
tuż przed lądowaniem na miejscu, gdzie nastąpiła śmierć prof. Józefa
Szaniawskiego



Podejście do miejsca wypadku ratowników



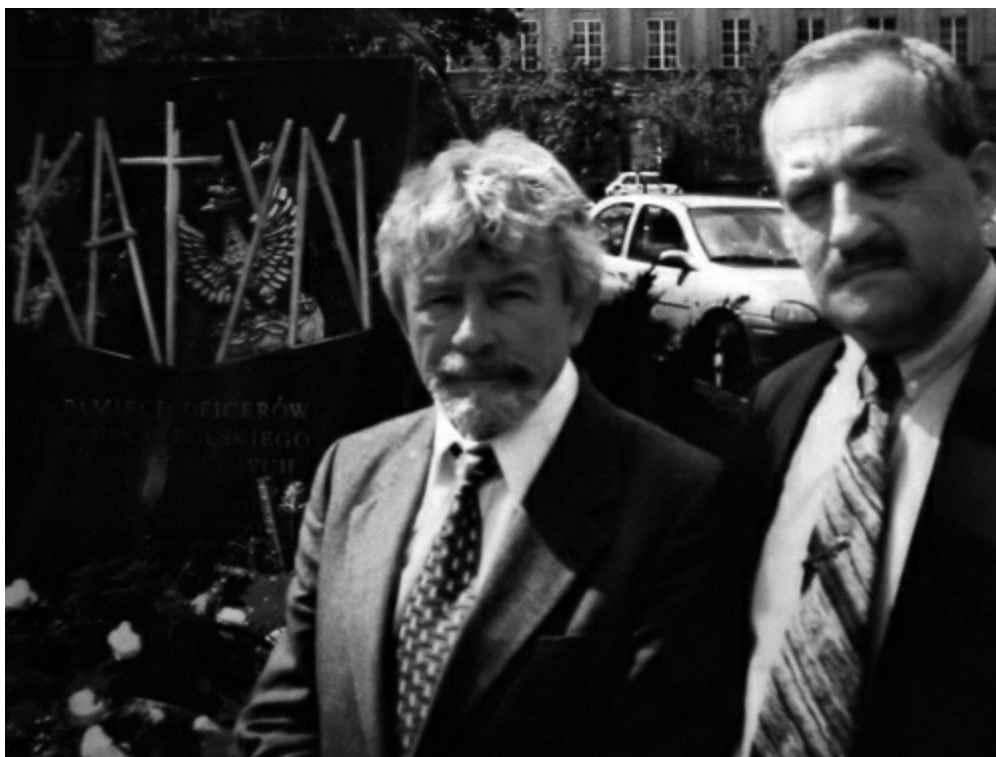
Targi Książki 2002. Od lewej: Władimir Bukowski, Wiktor Suwowrow, prof. Józef Szaniawski, płk Ryszard Kukliński



Zdjęcie i autografy „Czterech muszkieterów”



Ostatnie zdjęcie prof. Józefa Szaniawskiego i płk. Ryszarda Kuklińskiego zrobione przed śmiercią płk. Kuklińskiego



Prof. Józef Szaniawski, płk Ryszard Kukliński 6 maja 1998 r. na odsłonięciu Pomnika
Katyńskiego na warszawskiej Starówce

PROKURATURA REJONOWA
ul. Gimnazjalna 13 B
34-500 ZAKOPANE
Ds. 1909/12

POSTANOWIENIE o umorzeniu śledztwa

Zakopane, dnia 16 listopada 2012 r.
Mirostław Kozak – prokurator Prokuratury Rejonowej w Zakopanem w sprawie
sygn. Ds. 1909/12 dot. nieumyślnego spowodowania śmierci Józefa Szaniawskiego –
tj. o przest. z art. 155 kk

- na podstawie art. 17 § 1 pkt. 2 i 322 § 1 kpk

postanowił

umorzyć śledztwo:

I. w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci Józefa Szaniawskiego w dniu 4
września 2012 r. w Tatrach Wysokich na szlaku prowadzącym z przełęczy Zawrat w
kierunku Świnicy– tj. o przest. z art. 155 kk
– wobec braku znamion czynu zabronionego

UZASADNIENIE

W dniu 04 września 2012 r. Komenda Powiatowa Policji w Zakopanem została
poinformowana o wypadku w Tatrach Wysokich na szlaku prowadzącym z
przełęczy Zawrat w kierunku Świnicy, na skutek którego śmierć poniósł mężczyzna.
W przedmiotowej sprawie zostało wszczęte i przeprowadzone postępowanie
przygotowawcze, w toku którego na podstawie zebranego materiału dowodowego
ustalono następujący stan faktyczny.

Funkcjonariusze KPP w Zakopanem w dniu 04 września 2012 r. otrzymali
informację o wypadku śmiertelnym w górach. Udali się niezwłocznie do Szpitala,
gdzie został przewieziony śmigłowcem mężczyzna, który uległ śmiertelnemu
wypadkowi na szlaku w Tatrach Wysokich pomiędzy Świnicą a Zawratem. Podczas
zabezpieczenia zwłok ujawniono przy denacie plecak z zawartością różnych
przedmiotów, w tym, dowodu osobistego wskazującego na to, że zmarłym był Józef
Szaniawski. Następnego dnia tj. 05 września 2012 r. zwłoki denata okazano synowi
Józefa Szaniawskiego – Filipowi Frąckowiakowi, który rozpoznał w nich ojca. Ze
wstępnej relacji ratowników TOPRu wynikało, że najprawdopodobniej do zgonu
doszło w wyniku poślizgnięcia lub zasłabnięcia mężczyzny. W toku śledztwa
przesłuchano świadków, którzy znajdowali się w okolicach miejsca, w którym
doszło do tragedii. Z ich relacji wynika, że Józef Szaniawski po szlaku poruszał się
samotnie. Był zmęczony schodzeniem, głośno oddychał – sapał, był czerwony na
twarzy. W pewnym momencie jeden ze świadków – Marta Małek zauważyła, że

Postanowienie Prokuratury Rejonowej w Zakopanem o umorzeniu śledztwa w sprawie wypadku prof. Józefa Szaniawskiego

2

Józef Szaniawski przewraca się na kamienie, które osunęły się pod jego nogami. Próbował chwycić się trawy, jednak zleciał w dół. Spadał w przepaść ok. 20-30 metrów a w locie koziołkował. Kilka osób, które były najbliżej pokrzywdzonego zeszły, aby udzielić mu pomocy. Po kilku minutach na miejsce przyleciał helikopter, a ratownicy którzy nim przylecieli, zaczęli udzielać mu pomocy. Z relacji świadków wynika, że do upadku Józefa Szaniawskiego na pewno nie przyczyniły się osoby trzecie.

Celem ustalenia, co było bezpośrednią przyczyną zgonu, zasięgnięto opinii Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie celem przeprowadzenia sądowo-lekarskich oględzin i sekcji zwłok Józefa Szaniawskiego. W protokole sekcyjnym z dnia 25 września 2012 r. czytamy, że uwzględniając wyniki sekcji zwłok oraz badań pomocniczych przyjąć należy, iż przyczyną zejścia śmiertelnego Józefa Szaniawskiego były obrażenia wielonarządowe z wykrwawieniem. Obrażenia powyższe powstały od zadziałania narzędzia twardego, tępego, a nic nie sprzeciwia się przyjęciu, iż powstały przy upadku z wysokości na twarde podłoże. Badanie krwi i moczu na zawartość alkoholu wypadło z wynikiem ujemnym.

Biorąc powyższe okoliczności pod uwagę należy stwierdzić, że brak jest jakichkolwiek dowodów na to, aby stwierdzić, że do śmierci Józefa Szaniawskiego przyczyniły się osoby trzecie. Zdarzenie to, mając na względzie dowody zebrane w sprawie w postaci zeznań świadków oraz protokołu sekcyjnego było nieszczęśliwym wypadkiem, który skutkowałam śmiercią Józefa Szaniawskiego.

Mając na uwadze powyższe ustalenia w niniejszej sprawie postanowiono umorzyć przedmiotowe śledztwo, postanawiając jak na wstępie.

PROKURATOR
mgr Mirosław Kozak

Pouczenie:

1. Stronom procesowym przysługuje prawo przejrzenia akt sprawy i złożenia zażalenia na powyższe postanowienie do sądu właściwego do rozpoznania sprawy w pierwszej instancji (art. 306 § 1 kpk, art. 325a § 2 kpk oraz art. 465 § 1 i 2 kpk i art. 329 § 1 kpk). Sąd może utrzymać w mocy zaskarżone postanowienie lub uchylić je i przekazać sprawę prokuratorowi celem wyjaśnienia wskazanych okoliczności bądź przeprowadzenia wskazanych czynności (art. 330 § 1 kpk).

Jeżeli prokurator nadal nie znajdzie podstaw do wniesienia aktu oskarżenia, wyda ponownie postanowienie o umorzeniu śledztwa lub dochodzenia. W takim wypadku pokrzywdzony, który wykorzystał uprawnienia przewidziane w art. 306 § 1 kpk, może wnieść akt oskarżenia do sądu w terminie miesiąca od daty doręczenia zawiadomienia o postanowieniu (art. 330 § 2 kpk, art. 55 § 1 kpk). Akt oskarżenia powinien spełniać wymogi określone w art. 55 § 2 kpk. Inny pokrzywdzony tym samym czynem może aż do rozpoczęcia przewodu sądowego na rozprawie głównej przyłączyć się do postępowania (art. 55 § 3 kpk).

W sprawach z oskarżenia prywatnego zażalenie na postanowienie prokuratora o umorzeniu postępowania przygotowawczego rozpoznaje prokurator nadrzędny, jeżeli postanowienie zapadło z uwagi na brak interesu społecznego w ściganiu z urzędu sprawcy (art. 465 § 2a kpk).

2. Na rozstrzygnięcie co do dowodów rzeczowych zażalenie przysługuje podejrzанemu, pokrzywdzonemu oraz osobie, od której odebrano te przedmioty lub która zgłosiła do nich roszczenie (art. 323 § 2 kpk).

3. Zażalenie na powyższe postanowienie wnosi się za pośrednictwem prokuratora, który wydał postanowienie.

Termin do wniesienia zażalenia wynosi 7 dni od daty doręczenia odpisu postanowienia i jest zawity. Zażalenie wniesione po upływie tego terminu jest bezskuteczne (art. 122 § 1 i 2 i art. 460 kpk).

Zarządzenie:

1. Stosownie do art. 100 §2, 305 §4 i 325a kpk doręczyć odpis postanowienia:
- pokrzywdzonemu: Filip Frąckowiak

MK/ies

21 LIS. 2012

Wpł. Pbr

PROKURATOR
mgr Mirosław Kozak

Postanowienie Prokuratury Rejonowej w Zakopanem o umorzeniu śledztwa w sprawie wypadku prof. Józefa Szaniawskiego

Józef Szaniawski od 1986 r. odsiadywał ośmioletni wyrok za szpiegostwo.

W styczniu br. W Warszawskim Sądzie Rejonowym odbyła się rozprawa przeciwko Józefowi Szaniawskiemu, ur. w 1944 r., historykowi sztuki i nauczycielowi, kontraktowemu pracownikowi PAP, zam. Warszawa.

Wymieniony był oskarżony o to, że w latach 1974—1985 przekazał pracownikowi RWE [Radia Wolna Europa — red.] W.[iktorowi] Trościanko i J. [anuszowi] Płaczkowi — w ocenie Sądu kadrowym pracownikom CIA — różne własne opracowania na temat sytuacji społeczno-politycznej w Polsce, w tym charakterystyki osób pełniących kierownicze funkcje w aparacie partyjnym i państwowym, informacje o stosunkach polsko-radzieckich. Ponadto zamierzał przekazać dane o stacjonujących w naszym kraju [jednostkach] AR [Armii Radzieckiej — red.] oraz o działaniach i rozbudowie sił MO i SB.

Informacje powyższe J. Szaniawski przekazywał telefonicznie, korespondencyjnie i osobiście podczas corocznych wakacyjnych pobytów w Berlinie Zachodnim. Za współpracę z wywiadem amerykańskim J. Szaniawski otrzymał około 5 tys. DM [marek niemieckich — red.].

Sąd uznał Szaniawskiego winnym zarzuconego mu czynu i skazał go z art. 124 par. 1 na 10 lat pozbawienia wolności. Termin rozprawy rewizyjnej wyznaczono na 17 bm. Sprawa zrealizowana została przez WSW [Wojskową Służbę Wewnętrzną — red.] — pisał w *Informacji dot. skazanego za szpiegostwo J. Szaniawskiego* dyrektor Departamentu II (kontrwywiad) płk Janusz Sereda, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Moskwy.

Jak informował 11 kwietnia 2004 r. w tygodniku „Wprost” dr Antoni Dudek w artykule *Gorbaczow pod stołem*, w styczniu 1987 r. odbyła się w Warszawie narada zastępców szefów wywiadów wojskowych państw Układu Warszawskiego.

Po niej — co podkreślano w dokumentach Zarządu II Sztabu Generalnego

WP — „Główny Zarząd Wywiadu Armii Radzieckiej zaczął po raz pierwszy w historii wzajemnych stosunków przekazywać Polakom materiały na zasadzie równego partnerstwa”. W kwietniu został podpisany plan rozwoju współpracy na lata 1987—1991 między zajmującymi się kontrwywiadem Departamentem II MSW oraz Zarządem IV KGB. Pułkownik Janusz Sereda i generał lejtnant Jurij Storożew deklarowali w nim m.in. ścisłą koordynację działań w „rozpracowaniu obiektów wzajemnego zainteresowania” oraz „organizacji gier operacyjnych i podstawiania [ludzi] celem przenikania do sieci agenturalnej przeciwnika”.

Nic dziwnego, że Departament II interesował się sprawą Józefa Szaniawskiego, chociaż realizowała ją WSW, czyli wojskowa bezpieka. Sowieci byli na bieżąco informowani o wszystkich sprawach szpiegowskich, w szczególności o tych, w których pojawiało się CIA. Współpracujący z KGB Sereda musiał na bieżąco wiedzieć (zwłaszcza po ucieczce płk. Kuklińskiego), czego dotyczą sprawy, w których za szpiegostwo zostali skazani polscy obywatele.

Józef Szaniawski odwołał się od wyroku skazującego — 18 kwietnia 1986 r. Sąd Najwyższy w Izbie Wojskowej złagodził mu karę do 8 lat więzienia.

Sprawę Józefa Szaniawskiego, której nadano kryptonim „Wulkan”, prowadził Zarząd III Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej.

W tym czasie w ścisłym kierownictwie III Zarządu WSW był płk Aleksander Lichocki, który został oskarżony w „aferze marszałkowej”. To on proponował Bronisławowi Komorowskiemu zakup tajnego aneksu do „Raportu z weryfikacji WSI”, którym to aneksem był zainteresowany Komorowski. Lichocki miał także proponować pozytywną weryfikację oficerom WSI po rozwiązaniu tych służb. Kluczowym świadkiem w procesie, w którym został oskarżony Lichocki, był płk Leszek Tobiasz — zmarł podczas tańca w Zwoleniu tuż po północy 11 lutego, na imprezie integracyjnej pracowników Mazowieckiej Wojewódzkiej Komendy OHP, na którą przyjechał autokarem razem z kilkudziesięcioma osobami. Płk Tobiasz dwa tygodnie później miał złożyć zeznania przed sądem, miało także dojść do jego konfrontacji z Bronisławem Komorowskim.

W 1990 r. wymiar sprawiedliwości ponownie zajął się Józefem Szaniawskim.

Po uwzględnieniu rewizji nadzwyczajnej Prokuratora Generalnego wniesionej na korzyść oskarżonego Sąd Najwyższy w Izbie Wojskowej wyrokiem z dnia 3 października 1990 r. zmienił poprzednie orzeczenie i uniewinnił Józefa Szaniawskiego od przypisywanego mu przestępstwa [chodzi o zarzut szpiegostwa — red.] — czytamy w postanowieniu SN z 11 lutego 1992 r.

Taka decyzja nie zaskakuje, jeśli się weźmie pod uwagę, że przewodniczącym składu sędziowskiego był płk Stanisław Kosmał, który w latach 80. wydawał wyroki skazujące opozycjonistów, zaś sędzią sprawozdawcą płk Edward Matwijów, figurujący w archiwach IPN jako tajny współpracownik komunistycznej bezpieki.

Sąd Najwyższy utrzymał wówczas w mocy postanowienie Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie z 20 grudnia 1991 r., który to sąd zasądził na rzecz Józefa Szaniawskiego mniejszą kwotę zadośćuczynienia oraz odszkodowania za niesłuszne aresztowanie, niż domagał się prof. Szaniawski oraz jego pełnomocnik mec. Piotr Dewiński. Obydwaj wskazywali m.in., że w trakcie rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu profesora w 1986 r. oficerowie Wojskowej Służby Wewnętrznej zabrali blisko 28 tysięcy dolarów. Tych pieniędzy Józef Szaniawski nigdy nie odzyskał i nie wiadomo, co się z nimi stało.

* * *

Prof. Józef Szaniawski od początku lat 90. znalazł się na celowniku Wojskowych Służb Informacyjnych powstałych w 1991 r. po połączeniu Wojskowej Służby Wewnętrznej oraz Zarządu II Sztabu Generalnego. Do „nowej” służby trafili ludzie, którzy rozpracowywali zarówno płk. Kuklińskiego, jak i Józefa Szaniawskiego. W 1991 r. WSI prowadziły inwigilację prawicy, m.in. zbierając informacje na temat spotkań konserwatywnych polityków.

Mniej więcej w tym samym czasie dwóch młodych oficerów WSI — por. Piotr

Polaszczyk i kmdr por. K.[nazwisko w aktach Komisji Weryfikacyjnej] — nawiązało kontakty z środowiskiem cywilnych polityków (...). Kontakty te mogły spełniać rolę sondażową, zmierzając do określenia nastawienia tych polityków do ewentualnych zmian w wojsku i WSI. Wiedzę na temat tych spotkań posiadali przełożeni obu oficerów. K. meldował o spotkaniach z politykami prawicy swojemu szefowi, płk. M. [arkowi] Czaplińskiemu. K. po raz pierwszy skontaktował się z politykami prawicy jesienią 1991 r., gdy por. Polaszczyk zaproponował mu udział w spotkaniu towarzyskim z mec. Janem Olszewskim i dr. Wojciechem Włodarczykiem. Spotkanie to zapoczątkowało wiele innych — z osobami o prawicowej orientacji politycznej i z dostojnikami kościelnymi. Oficerowie spotykali się z J. Parysem w prywatnym mieszkaniu, ale by porozmawiać, wychodzili na spacer do parku. Oprócz J.[ana] Parysa w spotkaniach uczestniczyli m.in.: Józef Szaniawski, bp Sławoj Leszek Głódź, płk Franciszek Sznajder (zdaniem K. to on mógł być pośrednikiem przy nawiązaniu kontaktów z J. Parysem), płk Józef Pawelec (poseł na Sejm RP w latach 1991—1993 i jeden z założycieli stowarzyszenia „Viritim”) oraz Leszek Moczulski (spotkanie z nim zostało zorganizowane po wyborach w 1991 r., gdy był wymieniany jako kandydat na Ministra ON; inicjatorem spotkania był płk Pawelec, a odbyło się ono w jego mieszkaniu w Nadarzynie). Rozmawiano o zmianach zachodzących w kraju i w siłach zbrojnych (także w WSI), o stosunku młodszej kadry oficerskiej do tych zmian i o nastrojach panujących w kadrze. K. ocenił, że kontakty por. Polaszczyka z politykami prawicy z lat 1991—1993 mogły być inspirowane przez wysokich rangą byłych oficerów Szefostwa WSW: płk. Aleksandra Lichockiego (ostatniego szefa Zarządu I Szefostwa WSW) oraz płk. Marka Wolnego (ostatniego szefa Oddział II w Zarządzie III, a wcześniej szefa Oddziału III w Zarządzie I Szefostwa WSW) — czytamy w „Raporcie z weryfikacji WSI”.

Antoni Macierewicz, minister spraw wewnętrznych w rządzie Jana Olszewskiego, podkreśla, że Józef Szaniawski na początku lat 90. opublikował w „Kulisach” (dodatku do „Expressu Wieczornego”) listę nazwisk żołnierzy Wojskowej Służby Wewnętrznej oraz Zarządu II Sztabu Generalnego szkolonych w Moskwie.

Zdaniem Macierewicza ukazanie się w druku tej listy było ogromną zasługą

prof. Szaniawskiego dla Polski — pokazała ona faktyczny związek służb wojskowych III RP z Rosją.

O rozpracowywaniu prof. Szaniawskiego przez WSI (żołnierze tej służby błędnie piszą Jerzy Szaniawski zamiast Józef) świadczy m.in. notatka dotycząca ujawniania informacji o Wojskowych Służbach Informacyjnych w środkach masowego przekazu, która została opublikowana w „Raporcie z weryfikacji WSI”, a którą 18 sierpnia 1992 r. sporządził Star Officer Oddziału Bezpieczeństwa WSI ppłk Ryszard Lonca. Pismo wraz z planem działania WSI podpisał płk Janusz Bogusz, szef Oddziału IV WSI.

Od początku 1992 r. w środkach masowego przekazu pojawiły się informacje o Wojskowych Służbach Informacyjnych. Informacje takie ukazały się głównie w dzienniku „Nowy Świat”, „Ekspres Wieczorny” i ostatnio w dwóch rozpowszechnionych numerach czasopism „Honor i Ojczyzna”.

Artykuły o WSI zamieszczane w czasopismach mają wspólne cele, a mianowicie:

1. Ukazanie WSI jako organizacji skompromitowanej, nomenklaturowej, zdradzieckiej i nie służącej interesom Polski.
2. Lansowanie opinii, że WSI są strukturą niekompetentną, zdegenerowaną i niezdolną do działań wywiadowczych i kontrwywiadowczych.
3. Wykazanie, że WSI są agendą służb specjalnych b. ZSRR.
4. Pokazanie, że kolejni szefowie WSI są ludźmi każdorazowo skompromitowanymi i karierowiczami.
5. Stawianie zarzutu, że WSI są na usługach Urzędu Prezydenta, a występują przeciwko rządowi.
6. Inspirowanie do generalnych zmian personalnych i organizacyjnych w WSI.
7. Próba i usiłowanie wywołania waśni i wzajemnych oskarżeń między służbą wywiadu i kontrwywiadu.

Wiodącym autorem artykułów o WSI jest Jerzy SZANIAWSKI [chodzi oczywiście o Józefa Szaniawskiego — red.]. (...) Analiza treści informacji i styl ich redagowania wskazuje na to, że niejako propagandowym konsultantem tekstów jest Jerzy Szaniawski, a źródłem tych danych są osoby lub osoba uplasowana w WSI, była do

niedawna w WSI, która zna z autopsji dane wewnętrzne o WSI i przekazuje je bezpośrednio lub pośrednio autorom bądź redakcji. (...)

Autorzy artykułów, ukazując obraz „skompromitowanych WSI”, domagają się dokonania zmian pod hasłem dekomunizacji tych służb. Dalsze „ataki” prasowe na WSI przy wykorzystaniu prawdziwych lub fałszywych informacji w istotny sposób mogą podważyć autorytet i wiarygodność WSI. Odcinając źródła informacji dla środków przekazu związanych ze skrajnie prawicowym ugrupowaniem stanie się szansą nie tylko niedopuszczenie do szkalowania WSI, ale też szansą zabezpieczenia przed przenikaniem informacji niejawnych poza WSI — czytamy w notatce płk. Loncy.

W piśmie znalazł się także opis działań operacyjnych, które później podjęły WSI: przede wszystkim chodziło o inwigilację redakcji, w których ukazywały się te artykuły; WSI inwigilowały także prof. Szaniawskiego. Jak ujawnili autorzy „Raportu z weryfikacji WSI”,

prowadzona była aktywna penetracja ich środowiska z wykorzystaniem OZI, wśród których m.in. źródło o pseudonimie „REDAKTOR”, mające bezpośrednie kontakty z red. Józefem [w dokumentach WSI nazywanym też błędnie Jerzym] Szaniawskim (...). Wśród osób, odnośnie których WSI aktywnie zbierały informacje, byli m.in. Janusz Szpotański oraz Janina Łukasik-Mikłasz i Paweł Mikłasz z Fundacji „Myśl”, Józef Szaniawski i ppłk rez. Stanisław Dronicz. W zainteresowaniu WSI znaleźli również sympatycy i członkowie „VIRITIM” (m.in. Czesław Bielecki, Wojciech Bogaczyk, Henryk Czarnecki, płk rez. Ryszard Dorf, kpt. Damian Jakubowski, Romuald Szeremietiew i Piotr Woyciechowski). Zainteresowanie to przekraczało zwykłe ramy osłony kontrwywiadowczej Sił Zbrojnych RP — podkreślili autorzy „Raportu z weryfikacji WSI”.

Prof. Józef Szaniawski znał i rozumiał zagrożenie płynące ze strony ludzi sowieckiej Rosji. Nie było przypadkiem, że wśród jego znajomych znaleźli się m.in. Wiktor Suworow (Władimir Bogdanowicz Riezun, były oficer armii sowieckiej i oficer wywiadu wojskowego GRU; w 1978 r. uciekł z placówki w Genewie do Anglii) oraz Władimir Bukowski (rosyjski dysydent, pisarz i

obrońca praw człowieka w ZSRS; spędził łącznie 12 lat w sowieckich więzieniach, obozach karnych i zakładach psychiatrycznych; deportowany w ZSRS na Zachód w ramach wymiany za sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chile Luisa Corvalána).

Prof. Szaniawski mówił o tych zagrożeniach publicznie m.in. na antenie Radia Maryja i Telewizji Trwam.

Pytany w marcu 2012 r. przez portal pomniksmolensk.pl, co myślał, gdy dowiedział się o katastrofie smoleńskiej i co uważa obecnie, Józef Szaniawski stwierdził:

Myślę dokładnie to samo. Dla mnie nie budziło żadnych wątpliwości, że to był zamach. Dzisiaj, prawie dwa lata po tej tragedii narodowej, jestem coraz bardziej przekonany, że to był zamach (...), z tego, co robią Rosjanie, z tych matactw i otwartych kłamstw widać, że to nie była przypadkowa katastrofa — mówił prof. Szaniawski.

W katastrofie zginęło wielu jego przyjaciół, m.in. Stefan Melak, który razem ze swoim bratem Arkadiuszem uczestniczył w budowie Pomnika Katyńskiego na warszawskiej Starówce. Pomnik powstał z inicjatywy płk. Ryszarda Kuklińskiego, Józefa Szaniawskiego i dziennikarzy polonijnych Krystyny Skoczylas, Andrzeja Czumy i Marka Kulisiewicza.

* * *

Józef Szaniawski wyjechał do Zakopanego 1 września 2012 r., by odebrać samochód, który zepsuł się kilka tygodni wcześniej na zakopiance — drodze łączącej Kraków ze stolicą Tatr. Planował spotkanie w związku z pomnikiem płk. Ryszarda Kuklińskiego, który miał stanąć przed dworcem PKP w Krakowie, chciał też pochodzić po górach, które bardzo dobrze znał.

W poniedziałek odebrał samochód z Białki Tatrzańskiej, pojechał do Kuźnic, a stamtąd przeszedł na Czerwone Wierchy.

Kolejną wycieczkę zaplanował na wtorek 4 września. Pojechał pierwszym

kursem kolejki z Kuźnic na Kasprowy Wierch, a następnie szlakiem poszedł w kierunku Świnicy. O godzinie 9.30 do ojca zadzwonił jego syn Filip Frąckowiak.

Jestem na Świnicy, jest pięknie. Chyba jestem dziś tu pierwszy. Jest naprawdę mało ludzi. Wcześniej była mgła poniżej szczytów, tak że nie widać, co na dole, ale powyżej pięknie — powiedział do syna.

Prof. Szaniawski mówił, że kieruje się w stronę Hali Gąsienicowej i że czuje się doskonale.

O tym, że pogoda była bardzo dobra, świadczą zdjęcia robione o tej porze w Tatrach, relacje ratowników TOPR, a także akta śledztwa w sprawie wypadku prof. Szaniawskiego. Tymczasem w dniu wypadku ogólnopolskie media podały, że w Tatrach była bardzo zła pogoda.

67-letni dziennikarz (prof. Józef Szaniawski) spadł ze szlaku z Zawratu na Świnicę. Prawdopodobnie nie było świadków samego wypadku, natomiast przypadkowi turyści, którzy zawiadomili TOPR, widzieli już tylko spadające ciało mężczyzny. Nie wiadomo więc, czy Szaniawski zasłabł, czy może potknął się, idąc szlakiem. Mężczyzna spadł z rejonu trawersu Niebieskiej Turni do Dolinki pod Kołem z wysokości około 50 metrów. **Ratownicy na miejsce wypadku dolecieli śmigłowcem mimo kiepskiej pogody** i bardzo niskiego pułapu chmur, który zresztą dwukrotnie uniemożliwił poderwanie maszyny. Udało się to dopiero za trzecim razem — podało 4 września 2012 r. radio RMF FM.

„W czasie tego wypadku pogoda była dobra, skały były suche, nie padał deszcz, nie było wyładowań atmosferycznych. Z tego, co sobie przypominam, to bezpośrednio przed wypadkiem nie słyszałem żadnych odgłosów spadających kamieni w tym rejonie” — zeznał Filip W., taternik, który telefonicznie powiadomił ratowników TOPR o wypadku. Zeznał on również, że po wypadku słyszał szum spadających kamieni.

Józef Szaniawski spadł około 50 metrów w dół w okolicach Niebieskiej Turni. Nie w przepaść, lecz toczył się w dół po kamienisto-trawiastym podłożu, jak stwierdzili ratownicy TOPR, w łatwym terenie.

Naoczny świadek upadku Marta M. zeznała:

W dniu 4 września 2012 r. wchodziłam ze znajomymi od przełęczy Zawrat na Świnicę. W miejscu, gdzie zaczynają się łańcuchy, minęliśmy mężczyznę z wyglądu ok. 60 lat [Józef Szaniawski miał 68 lat — red.], normalnej budowy ciała. Ten mężczyzna z mojego punktu widzenia był zmęczony chodzeniem. On, mijając się ze mną, głośno oddychał, był czerwony na twarzy. Dodaję, że ja wchodziłam, a ten mężczyzna schodził. Po około 10—15 metrach obejrzałam się za siebie, aby sprawdzić, czy idą za nami znajomi. Wtedy zobaczyłam, jak na odcinku płaskiej powierzchni mężczyzna, którego wcześniej mijalam, przewraca się na kamieniach, które obsunęły się pod jego stopami. Próbował chwycić się trawy, jednak zleciał w dół. To był ułamek sekundy. Spadł w przepaść około 20—30 metrów. Widziałam, jak spadał, w locie koziółkował, ale nie widziałam, jak uderzył. Trzy osoby, które były najbliżej poszkodowanego, zeszły, by udzielić mu pomocy. Ja nie znam tych osób. Ze względu na duży i jednostronny ruch na szlaku nie mogłam zejść do tego mężczyzny. Ktoś powiadomił TOPR, który w przeciągu 10 minut przybył na miejsce i zaczął udzielać pomocy. Po około 30 minutach, gdy schodziłam ze szczytu, nadal trwała akcja reanimacyjna. Wyglądało na to, że ten mężczyzna szedł sam. Ruch na szlaku był dość duży, obok niego byli ludzie w odległości około 2 metrów. Do tego upadku na pewno nie przyczyniły się osoby trzecie.

Towarzyszący jej Mateusz Ś. zeznał, że nie był bezpośrednim świadkiem, jak prof. Szaniawski upada.

Widziałem już, jak spada w dół i leży na kamieniach. Widziałem, mijając go, że był zmęczony, ciężko oddychał. Nie wiem, w jakiej odległości był od innych turystów, ale na pewno bezpośrednio przy nim nie było żadnych osób, dlatego pomyślałem, że jest sam. Jak już wspominałem, ja momentu wypadku nie widziałem, odwróciłem się dopiero, jak usłyszałem krzyk, że człowiek leci. Wówczas się obejrzałem i zobaczyłem, jak spada w dół. Nie udzielałem pomocy panu Szaniawskiemu, jednak byłem w pobliżu do momentu, aż przyleciał helikopter ratowniczy. Ja nie wiem, czy do upadku przyczyniły się osoby trzecie, bo tego nie widziałem, ale słyszałem

rozmowy, że ten człowiek poślizgnął się na kamieniach i stracił równowagę. Być może przyczyniło się do tego wyczerpanie fizyczne — czytamy w zeznaniach Mateusza Ś.

Ciało prof. Szaniawskiego zostało przewiezione 4 września do zakopiańskiego szpitala, a dzień później miejscowa prokuratura wszczęła śledztwo „w sprawie nagłego zgonu Józefa Szaniawskiego”.

Przesłuchany w tym samym dniu syn profesora Filip Frąckowiak wnioskował o przeprowadzenie sekcji zwłok, która odbyła się dwa dni po wypadku, 6 września, w Krakowie.

Nie stwierdzono zawartości alkoholu w organizmie profesora; na ciele miały liczne, poważne wielonarządowe obrażenia, które przyczyniły się do śmierci, jak stwierdził anatomopatolog.

Najprawdopodobniej w momencie upadku prof. Szaniawski stracił przytomność. Gdyby spadając, był przytomny, miałby rany wewnątrz dłoni: instynktownie łapałby się kamieni, tymczasem jego dłonie nie miały obrażeń.

Tylko jeden świadek, Marta M., widziała moment upadku, którego nie widział towarzyszący jej chłopak.

16 listopada 2012 r. prokuratura umorzyła śledztwo — prowadzący je prok. Mirosław Kozak stwierdził, że

brak jest jakichkolwiek dowodów na to, aby stwierdzić, że do śmierci Józefa Szaniawskiego przyczyniły się osoby trzecie. Zdarzenie to, mając na uwadze dowody zebrane w sprawie w postaci zeznań świadków oraz protokołu sekcyjnego było nieszczęśliwym wypadkiem, który skutkował śmiercią Józefa Szaniawskiego.

Po śmierci profesora okazało się, że z jego mieszkania zniknął rewolwer Smith & Wesson, na który Józef Szaniawski miał pozwolenie. Została jedynie pusta kabura. Zaginięcie pistoletu zgłosił na policję Filip Frąckowiak, który też na własną rękę zaczął szukać zaginionej broni. Ani policja, ani syn profesora nie odnaleźli pistoletu — do dziś nie wiadomo, co się z nim stało.

* * *

Kilka miesięcy po śmierci Józefa Szaniawskiego do siedziby stworzonej przez niego Izby Pamięci płk. Ryszarda Kuklińskiego przyszła przesyłka, która zawierała zdjęcia zrobione podczas wyprawy Józefa Szaniawskiego 4 września 2012 r. Do Izby Pamięci wysłano także płytę z filmem, na którym widać prof. Szaniawskiego, gdy był jeszcze w Zakopanem. Na zdjęciach i filmie został udokumentowany ostatni pobyt prof. Szaniawskiego w górach. Nie wiadomo, kto to zrobił — nadawcy przesyłek nie podpisali się na nich.

ROZDZIAŁ 9 JAN KULCZYK

Oligarcha III RP

18 lipca 2003, Wiedeń, restauracja Nikis. Trwa spotkanie Jana Kulczyka z byłym rezydentem KGB w Polsce Władimirem Ałganowem. Przez cztery godziny biznesmeni rozmawiają na temat prywatyzacji polskiego rynku paliwowego. Nikt wówczas nie przypuszcza, że 12 lat później, 29 lipca 2015, Jan Kulczyk niespodziewanie umrze w publicznym wiedeńskim szpitalu Allgemeinen Krankenhaus (AKH).

Nagły zgon Jana Kulczyka kilkanaście godzin po operacji był pierwszą informacją we wszystkich mediach. Według portalu Gazeta.pl biznesmen, który do wiedeńskiego szpitala trafił 17 lipca 2015 r., zmarł po „drobnym zabiegu kardiologicznym”, zaś radio RMF podało, że bezpośrednią przyczyną śmierci był zator żylny-płuczny. Z kolei agencja AFP napisała, że Kulczyk „został przewieziony do wiedeńskiego szpitala, by przejść nowatorskie badania nowotworowe po operacji prostaty w Nowym Jorku, której poddał się przed rokiem”, zaznaczając, że był on 418. najbogatszym człowiekiem na świecie.

Według informacji ujawnionych przez austriacki dziennik „Heute” przyczyną śmierci biznesmena był zator spowodowany najprawdopodobniej tym, że przed operacją nie podano leku antyzatorowego.

Jan Kulczyk nie przeszedł — jak wcześniej informowano — drobnego zabiegu kardiologicznego — lecz operacja była elementem terapii anynowotworowej; dwa lata temu zdiagnozowano u niego raka prostaty. Biznesmen miał być operowany w Nowym Jorku, przeszedł także nowatorski

zabieg niszczenia komórek nowotworowych.

Kolejny zabieg wyznaczono na lipiec 2015 r. — była to limfadenektomia, podczas której pobiera się fragmenty węzłów chłonnych do badania histopatologicznego, które to badanie pozwala na ujawnienie ewentualnych nowych ognisk choroby.

Operacja w wiedeńskim szpitalu była wykonywana pod kierownictwem Shahrokha Shariata, szefa oddziału urologii szpitala uniwersyteckiego w Wiedniu (Shariat jest także onkologiem zatrudnionym m.in. w prestiżowym nowojorskim Weill Cornell Medical Center).

W czasie operacji miało dojść do uszkodzenia jednej z tętnic biodrowych, dlatego konieczna była konsultacja chirurga naczyniowego, a przewidziany na 90 minut zabieg trwał aż 6 godzin. Choć pacjent miał opuścić klinikę tego samego dnia, spędził tam blisko tydzień — napisał dziennik „Heute”.

Pytany przez dziennikarzy o szczegóły operacji oraz o śmierć Jana Kulczyka dr Shariat odmówił rozmowy na ten temat, powołując się na tajemnicę lekarską.

Z oficjalnych danych wynika, że w chwili śmierci Jan Kulczyk był właścicielem przedsiębiorstwa Kulczyk Holding, z siedzibą w Warszawie, i międzynarodowej grupy inwestycyjnej Kulczyk Investments, z siedzibą w Luksemburgu oraz biurami w Dubaju, Londynie i Kijowie, a cały jego majątek był szacowany na około 15 mld zł.

Kariera Jana Kulczyka pokazuje, jak świetnie w III RP odnaleźli się ludzie, którzy swoje biznesowe kariery zaczęli w PRL.

W Instytucie Pamięci Narodowej zachowały się dokumenty dotyczące Jana Kulczyka, z których wynika, że pod koniec lat 80. był on obiektem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa, która zwróciła uwagę na młodego, mającego kontakty z komunistyczną władzą biznesmena.

W „Notatce służbowej dotyczącej dr. Jana Kulczyka — koordynatora konsorcjum firm rolniczych RFN” podpisanej „Rewal” czytamy:

Zgodnie z decyzją firm RFN, które podpisały umowę o współpracy konsorcjów firm rolniczych PRL i RFN w styczniu br., koordynatorem tej współpracy ze strony RFN został dr Jan Kulczyk. Reprezentuje jako udziałowiec AN POL (...) DG Bank. Ojciec jego znany jest w Misji [Wojskowej] w Berlinie Zach. Przebywający na paszporcie konsularnym Jan Kulczyk lat 43 [nie wiadomo dlaczego, ale wiek podano błędnie — Jan Kulczyk miał wówczas 38 lat — red.] towarzyszył cały czas wizyty min. S. Zięby w RFN od 3 do 7 bm. [Stanisław Zięba w latach 1983—1985 był ministrem rolnictwa i gospodarki żywnościowej w rządzie Wojciecha Jaruzelskiego, a od 1985 do 1988 r. był ministrem rolnictwa, leśnictwa i gospodarki żywnościowej w rządzie Zbigniewa Messnera — red.]. Wzbudził jego zainteresowanie zwłaszcza jego status. Jan Kulczyk wykorzystywany jest przez RFN do kontraktowych kontaktów w PRL i ZSRR (od 7 do 14 bm. przebywał na rozmowach w Moskwie). Kieruję do Waszego pionu kolejną notatkę w tej sprawie, prosząc o sprawdzenie ww. odnośnie: Status, na jakim przebywa w Berlinie Zach. Czy pozostaje w zainteresowaniu operacyjnym czy należy rozpocząć rozpracowanie. O ile jest związany z Zarządem II [chodzi o Zarząd II Sztabu Generalnego — wywiad wojskowy PRL — red.]. Istnieją trudności protokolarne związane z jego osobą. Jako obywatel „prawdopodobnie” też RFN zam. w Berlinie Zach. reprezentuje firmy RFN w umowie z PRL. (...) Osobiście nawiązałem z nim kontakt dwa razy.

Nie wiadomo, do kogo notatka była kierowana ani też w jakiej służbie specjalnej był „Rewal” — wiadomo, że została sporządzona w Kolonii 16 lipca 1988 r. przeciw „wrogiej działalności określonych elementów”.

Więcej informacji na temat Jana Kulczyka znajduje się w notatce informacyjnej dotyczącej figuranta „Klod” (taki kryptonim nadano Janowi Kulczykowi) z 9 maja 1988 r., sporządzonej w Berlinie, podpisanej przez „Koryna”.

Z „Klodem” znam się od około dziesięciu lat, poznając go za pośrednictwem jego ojca znanego mi wcześniej jako aktywnego działacza polonijnego na terenie Berlina Zachodniego. Z tytułu mojej dotychczasowej znajomości wyrażającej się spotkaniami na płaszczyźnie oficjalnej (oficjalne przyjęcia), okazjonalnej i towarzysko-prywatnej

posiadam rozpoznanie osoby „Kloda” w stopniu pozwalającym na jego scharakteryzowanie. „Klod” działalność zawodową rozpoczął po uzyskaniu tytułu naukowego dr. prawa na Uniwersytecie Poznańskim. Najpierw był wprowadzany przez ojca w sferę działalności handlowo-gospodarczej w ramach jego prowadzonych firm. Po uzyskaniu niezbędnych doświadczeń handlowo-gospodarczych zaczął pod kontrolą ojca prowadzić samodzielną działalność. (...) Reprezentuje poglądy polityczno-społeczne trwałości ustroju socjalistycznego w kraju.

(...) Przedstawia się jako człowiek o patriotycznym poczuciu i żywo interesujący się wszelkimi zjawiskami społeczno-politycznymi w kraju. W dyskusjach prywatnych wskazuje błędy i wypaczenia w działalności gospodarczej czynników rządowych jako podłoże kryzysów społecznych. Jednocześnie negatywnie odnosi się do opozycyjnej działalności ugrupowań postsolidarnościowych, traktując to jako wrogą działalność określonych elementów politycznych. W swych wypowiedziach nie ukrywa faktu, iż o swoich spostrzeżeniach w kwestii stosunków gospodarczych kraj—zagranica informuje kompetentne osoby z kręgów rządowych PRL. Robi wrażenie, jakoby pozostawał w kontakcie z kimś znaczącym z resortu MSW i Służby Bezpieczeństwa. Do Służby Bezpieczeństwa odnosi się z przyjaznym i lojalnym uznaniem (...). Utrzymuje kontakty z Misją Wojskową PRL w Berlinie Zach. w zasadzie na wszystkich szczeblach hierarchicznych. Pozostaje w dobrych układach z szefem Misji gen. Z[ygmuntem] Zielińskim, z radcą handlowym i pozostałym personelem BRH, z radcą konsularnym i niektórymi emerytowanymi pracownikami Wydziału Konsularnego. Uczestniczy w oficjalnych imprezach organizowanych przez Misję oraz przez Polonijny Klub Handlowców i Przemysłowców Berpol w Berlinie Zach., którego jest znaczącym członkiem — czytamy w notatce „Koryna”.

Janowi Kulczykowi w biznesowej karierze pomógł ojciec, Henryk Kulczyk. Ten żołnierz Armii Krajowej bez problemu w latach 50. uzyskał paszport i w 1956 r. na stałe wyjechał do Berlina Zachodniego, gdzie zaczął tworzyć podwaliny rodzinnej fortuny. Po latach okazało się, że — jak wynika z dokumentów służb specjalnych PRL, Henryk Kulczyk został zarejestrowany przez SB w 1961 r., a w latach 70. przekazany na nieformalny kontakt Departamentu I MSW. Według dokumentów IPN Henryk Kulczyk przekazał

służbom specjalnym PRL pisemne informacje m.in. na temat środowiska działających w Niemczech polskich przedsiębiorców.

W Berlinie Zachodnim Henryk Kulczyk prowadził firmę Aussenhandel GmbH, zajmującą się importem z Polski Ludowej runa leśnego, jagód, grzybów oraz eksportem maszyn rolniczych z Niemiec Zachodnich.

Utrzymujący doskonałe kontakty z Misją Wojskową PRL Henryk Kulczyk mógł liczyć na wsparcie władz PRL. Z wzajemnością — po wprowadzeniu stanu wojennego przedstawiciele Polsko-Polonijnej Izby Przemysłowo-Handlowej Inter-Polcom, w której władzach zasiadali zarówno Henryk, jak i Jan Kulczyk, poparli gen. Jaruzelskiego i będący na usługach jego junty PRON (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego).

Jak pisał w „Gazecie Polskiej” Piotr Lisiewicz, podczas zjazdu Izby w czasie stanu wojennego w 1982 r. Henryk Kulczyk w specjalnym przemówieniu, zwracając się do przedstawicieli PZPR-owskiej władzy, głośno protestował przeciwko zachodnim sankcjom nałożonym na juntę Jaruzelskiego:

Nigdy bardziej niż dziś nie czuliśmy się związani z Macierzą w potrzebie i zdeterminowani na przyjęcie jej z taką pomocą gospodarczą, na jaką nas stać. (...) Uważamy się bowiem za takich samych Polaków, jak wy panowie tutaj. Te postawy nakazywały wam tu siedzącym Polakom — z Australii, USA, Anglii, Kanady i z Polski — podejmować rezolucje przeciwko restrykcjom gospodarczym, podjętym przeciwko Polsce w pobudkach politycznych.

Kilka miesięcy później Henryk Kulczyk został osobiście odznaczony przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

W lutym 2013 r., po śmierci Henryka Kulczyka, na stronie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którym kierował wówczas Radosław Sikorski, ukazało się wspomnienie, w którym przedstawiono go m.in. jako twórcę i wieloletniego prezesa Klubu Polonijnych Kupców i Przemysłowców w Niemczech i Berlinie Zachodnim. O jego poparciu komunistycznego reżimu nie napisano nic.

W latach 80. Jan Kulczyk przy różnych okazjach podkreślał współpracę Izby

z PRON: „W odnowicielskim ruchu społecznym, jakim jest Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, widzimy potężnego sprzymierzeńca”.

W momencie przejścia PRL w III RP na wniosek płk. Henryka Jasika „zaniechano prowadzenia sprawy” Jana Kulczyka. Co ciekawe, w spisie akt MSW jako rok założenia sprawy Jana Kulczyka przez Wydział VIII Departamentu I MSW (wywiad) widnieje rok 1989, chociaż w wykazie dokumentów są notatki sporządzone przez funkcjonariuszy tego wydziału w 1988 r.

W lutym 1989 r. zastępca dyrektora Departamentu I MSW ppłk Henryk Jasik wysłał pismo do zastępcy szefa poznańskiej Służby Bezpieczeństwa płk. Zenona Dryndy, w którym czytamy:

W nawiązaniu do pisma i dokonanej rejestracji ob. PRL Kulczyka Jana przez Inspektorat I WUSW w Poznaniu uprzejmie proszę o nadesłanie kompleksowej notatki dot. jego kontaktów z naszą służbą oraz ewentualnie posiadanych materiałów do wglądu.

Rok później, w marcu 1990 r., w MSW sporządzono notatkę końcową dotyczącą sprawy „Kłod” i „Kłoda” — chodziło o siostrę Jana Kulczyka Marię.

„KŁOD” i „KŁODA” znaleźli się w zainteresowaniu naszego pionu w styczniu 1989 r. Oboje z racji prowadzenia działalności gospodarczo-handlowej utrzymywali liczne kontakty z przedstawicielami kół biznesu RFN, a także z politykami gospodarczymi tego kraju. Na wniosek Dyr. Dep. I MSW płk. H. Jasika zaniechano prowadzenia sprawy. W związku z powyższym sprawa kwalifikuje się do złożenia w Archiwum Dep. I MSW — napisano w notatce końcowej, którą zatwierdził mjr Paweł Łysiak.

Co ciekawe, Henryk Jasik w 1980 r. pracował w rezydenturze w Kolonii — oficjalnie był zastępcą *attaché* Biura Radcy Handlowego przy ambasadzie PRL, a właśnie z BRH miał doskonałe kontakty Jan Kulczyk.

W kwietniu 1990 r., miesiąc o zamknięciu przez Departament I MSW teczki Jana Kulczyka, rozwiązano Służbę Bezpieczeństwa, a szef komunistycznego wywiadu Henryk Jasik został szefem wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Jego przełożonym był wówczas Andrzej Milczanowski, który najpierw był zastępcą Krzysztofa Kozłowskiego, szefa UOP, a od sierpnia 1990 do stycznia 1992 r. — szefem UOP. To właśnie za czasów urzędowania Milczanowskiego Jan Kulczyk zrobił swój pierwszy wielki interes — MSW zamówiło bez otwartego przetargu w firmie Kulczyka trzy tysiące samochodów za 150 mln zł dla policji i UOP. Jan Kulczyk był wówczas oficjalnym dealerem Volkswagena w Polsce. W UOP pracował wówczas znajomy Jana Kulczyka jeszcze z czasów poznańskich. Był nim Gromosław Czempiński, który po odejściu z UOP znalazł zatrudnienie w firmie Jana Kulczyka.

Nie było w tym nic dziwnego — obydwaj panowie znali się jeszcze z czasów PRL, gdy pochodzący z Poznania Czempiński, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, pracował w komunistycznym wywiadzie, którego obiektem zainteresowania był m.in. Jan Kulczyk.

„Urodzony tuż po wojnie — 12 października 1945 r. — chłopak ukończył w 1970 r. studia Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Poznaniu. Wtedy zwróciły na niego uwagę służby” — pisał w 2011 r. tygodnik „Newsweek”, przedstawiając sylwetkę gen. Czempińskiego. Prawda jest natomiast taka, że pochodzący z resortowej rodziny Czempiński sam się zgłosił do służb specjalnych PRL. Podtrzymał w ten sposób rodzinną tradycję: jego ojciec Mieczysław Czempiński, działacz PPR, a później PZPR, zgłosił się na ochotnika do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Jak podkreślali przełożeni — wybitny pracownik operacyjny zwalczający wrogie siły Polski Ludowej był pasjonatem lotnictwa (zamiłowanie to udzieliło się później starszemu synowi Gromosławowi). W opiniach służbowych podkreślano, że Mieczysław Czempiński zasłużył się w „zwalczaniu band reakcyjnego podziemia”.

Kariera Gromosława Czempińskiego w UOP zaczęła się wraz z narodzinami III RP. Najpierw był zastępcą szefa Zarządu Wywiadu UOP, a w listopadzie 1993 r., w rządzie Waldemara Pawlaka, został szefem Urzędu Ochrony Państwa. Odszedł z UOP po tym, jak Lech Wałęsa przegrał z Aleksandrem

Kwaśniewskim wyścig do Pałacu Prezydenckiego. Istotnym obciążeniem dla Czempińskiego była afera „Olina” — w grudniu 1995 r. Andrzej Milczanowski oskarżył z trybuny sejmowej urzędującego premiera Józefa Oleksego o współpracę z rezydentami KGB w Polsce: Władimirem Ałganowem i Grigorijem Jakimiszynem. Mówiąc o aferze, Milczanowski powoływał się na materiały UOP, którym kierował Czempiński. Później okazało się, że Oleksy nie był agentem o pseudonimie „Olin” — w efekcie pracujący przy operacji funkcjonariusze UOP przeszli w stan spoczynku.

* * *

Gromosław Czempiński po odejściu z UOP natychmiast znalazł swoje miejsce w biznesie — rozpoczął współpracę z Janem Kulczykiem.

Pan Kulczyk mówił, czy w takim razie nie podjąłbym się pracy u niego. Myślę, że pierwsza taka rozmowa mogła być na przełomie 1996/1997. No i po pewnym czasie rozpocząłem pracę, znaczy, w spółce, bo nie wyobrażałem sobie, że będę bezpośrednio pracował u pana Kulczyka, to znaczy, że on będzie mi płacił. I stworzyłem z kolegą firmę pod nazwą Mobitel, którą żeśmy po prostu — telekomunikacyjną firmę — którą żeśmy próbowali rozbudować na rynku polskim

— tak o początkach biznesowej współpracy mówił przed Komisją Śledczą ds. PKN Orlen Gromosław Czempiński. Jan Kulczyk publicznie przyznawał, że jednym z powodów współpracy z Czempińskim były jego rozległe znajomości. Jednak obecność byłego szpiega nie ustrzegła Jana Kulczyka przed kompromitacją, czyli udziałem w aferze Orlenu.

Gdy wybuchła afera, nic nie wskazywało na to, że jest w nią zamieszany jeden z najbogatszych Polaków. Sprawa zaczęła się w kwietniu 2004 r. po wywiadzie, którego Wiesław Kaczmarek, były minister skarbu, udzielił „Gazecie Wyborczej”. Ujawnił w nim, że prawdziwym celem zatrzymania 7 lutego 2002 r. szefa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego przez UOP była chęć jego odwołania i zablokowania kontraktu na dostawy ropy. Po wywiadzie rozpoczęła

się prawdziwa burza, która zakończyła się powstaniem komisji śledczej. Nikt z postronnych obserwatorów ani też zasiadający w komisji posłowie nie spodziewali się, że prawdziwe sensacje dopiero na nich czekają.

We wrześniu 2004 r. okazało się, że w lipcu 2003 doszło do spotkania Kulczyka z Ałganowem. Rosjanin przez całe lata funkcjonował w Polsce najpierw jako szpieg ZSRS, a później Rosji (z Polski wyjechał po wybuchu afery „Olina”). W latach 90. Ałganow oficjalnie był zatrudniony w Polmarcku, firmie Aleksandra Żagła i Andrzeja Kuny — polskich biznesmenów na stałe mieszkających w Wiedniu.

Jak zeznał przed komisją Żagiel, w spotkaniu, na które Kulczyk przyleciał swoim prywatnym samolotem, wzięli udział Andrzej Kuna, Aleksander Żagiel, Jan Kulczyk, Władimir Ałganow i Marek Modecki — doradca Kulczyka.

Wybrano Wiedeń, ponieważ Ałganow, mimo że oficjalnie reprezentował rosyjski koncern Rao Jes, zostałby w Polsce zatrzymany. Wiedeń był bezpieczny, tym bardziej że to miasto od lat uchodziło za przyjazne szpiegom.

To tutaj swoje firmy tworzyli agenci i funkcjonariusze komunistycznej bezpieki, to właśnie Wiedeń był wygodny dla różnego rodzaju interesów.

Nic więc dziwnego, że Ałganow czuł się tam jak ryba w wodzie: przez lata pracował jako rezydent sowieckiego wywiadu.

Żagiel powiedział też, że przygotowanie spotkania trwało wiele miesięcy, a jego promotorem był były premier Rosji Anatolij Czubajs. Dodał, że rozmowa miała dotyczyć tranzytu energii elektrycznej z Rosji przez Polskę.

Później okazało się, że w sprawie spotkania powstały notatki Agencji Wywiadu, które zostały odtajnione w październiku 2004 r., w trakcie prac komisji ds. PKN Orlen. Z notatek służb specjalnych w sprawie spotkania Kulczyk—Ałganow wynika, że Rosjanin miał pretensje o nieudaną prywatyzację Rafinerii Gdańskiej. W notatce oficera AW dwa razy pojawiają się odniesienia do ówczesnego prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Jak ujawniło radio RMF, szef Agencji Wywiadu Andrzej Ananicz odtajnił notatkę byłego szefa AW Zbigniewa Siemiątkowskiego oraz drugą, sporządzoną przez oficera AW. Opisują one spotkanie biznesmena Jana Kulczyka z rosyjskim szpiegiem Władimirem Ałganowem. W notatce AW według Ałganowa wejście Rosjan do

RG miało się odbyć poprzez Rotch Energy i Łukoila, co zostało wcześniej uzgodnione z byłym ministrem skarbu Wiesławem Kaczmakiem, który otrzymał za to korzyść finansową.

Notatki potwierdzają, że spotkanie w Wiedniu Kulczyk—Ałganow organizowali Aleksander Żagiel i Andrzej Kuna, mający polskie i austriackie obywatelstwo, znajomi Ałganowa. Były dwa spotkania — biznesowe i wieczorne, w tym drugim Kulczyk nie wziął udziału.

Pojawiają się też nowe fakty i nowe nazwiska. Jan Kulczyk powiedział Agencji Wywiadu, że kiedy Rosjanie próbowali przejąć Rafinerię Gdańską, w tych rozmowach pośredniczył Gromosław Czempiński, który odpowiadał za kontakty z Łukoilem. Jego spór z Kulczykiem dotyczył miliona dolarów, których Czempiński żądał za pomoc w prywatyzacji Telekomunikacji Polskiej.

O nieudaną prywatyzację Rafinerii Gdańskiej pretensje mieli zaś Rosjanie.

Władimir Ałganow miał powiedzieć podczas rozmowy z Janem Kulczykiem, że minister skarbu Wiesław Kaczmarek i szef Nafty Polskiej Maciej Gierej przyjęli od Rosjan 5 mln dolarów łapówki za pomoc w prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej. Kulczyk o rewelacjach Ałganowa poinformował szefa Agencji Wywiadu Zbigniewa Siemiątkowskiego, a ten sporządził w sprawie tajną notatkę i wysłał ją do najważniejszych osób w państwie. Z odtajnionych notatek wynikało, że Kulczyk miał nie wprost powoływać się na poparcie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, używając w rozmowie sformułowania „pierwszy” — według nieoficjalnych informacji biznesmen miał mieć pełnomocnictwo Kwaśniewskiego do rozmów. Rosyjski szpieg nie wierzył jednak, by Kwaśniewski miał realne możliwości wpłynięcia na decyzje w sprawie prywatyzacji Rafinerii Gdańskiej.

Wydawać by się mogło, że skandal związany ze spotkaniem Kulczyka z rosyjskim szpiegiem zmiecie biznesmena z życia publicznego. Tak się jednak nie stało. Wprawdzie w czasie rządów PiS-u w latach 2005—2007 o Kulczyku było cicho, ale z nową energią powrócił, gdy do władzy doszła Platforma Obywatelska.

Nie zaszkodził mu również skandal związany m.in. z korupcją przy prywatyzacji Telekomunikacji Polskiej SA. W czerwcu 2012 r. zarzuty

korupcyjne usłyszeli członkowie zarządu Kulczyk Holding Jan W. i Wojciech J. Jan W. miał wręczyć milion złotych łapówki George'owi S. — doradcy przy prywatyzacji TP SA.

Wcześniej — w listopadzie 2011 — zarzuty w śledztwie usłyszał Gromosław Czempiński. Został on zatrzymany 22 listopada 2011 r. przez funkcjonariuszy CBA, a po przesłuchaniu zwolniony za kaucją w związku z podejrzeniem przyjęcia korzyści majątkowej w kwocie 1 mln 400 tys. euro podczas prywatyzacji firm STOEN SA.

Postawienie zarzutów Czempińskiemu i czterem innym osobom w sprawie korupcji przy prywatyzacji STOEN-u i PLL LOT było możliwe dzięki otrzymanym ze Szwajcarii materiałom dotyczącym ich kont i przepływających przez nie pieniędzy.

Jan Kulczyk podczas rządów Platformy Obywatelskiej radził sobie doskonale.

Ekipa Donalda Tuska to liberałowie, którzy chcą być częścią międzynarodowego i europejskiego systemu ekonomicznego. To po prostu okazja dla wszystkich inwestorów — mówił w 2008 r. Jan Kulczyk w wywiadzie dla „Financial Times”.

Za czasów rządów Donalda Tuska dla interesów Jana Kulczyka nastąpiły złote czasy. A potwierdzają to nagrania w aferze taśmowej.

W czerwcu 2015 r., miesiąc przed śmiercią oligarchy, okazało się, że wszystko wskazuje na to, że będzie on głównym bohaterem afery. Z ujawnionych przez tygodniki „Wprost” oraz „Do Rzeczy” akt śledztwa dotyczącego afery taśmowej wynikało, że politycy szczególnie dbali o interesy najbogatszego Polaka Jana Kulczyka. Kluczowe dla sprawy okazały się zeznania Konrada L. — kelnera z restauracji Amber Room w klubie Polskiej Rady Biznesu, gdzie nagrano Kulczyka.

Podczas wizyty Donalda Tuska w RPA interesy Kulczyka miały być istotnym elementem rządowej misji gospodarczej. Jak stwierdził Konrad L., „wyjazd miał przysporzyć korzyści Kulczykowi, co niekoniecznie było zbieżne z interesem RP”.

W 2013 r. Jan Kulczyk dzięki Donaldowi Tuskowi mógł rozwinąć swoje interesy w Nigerii, jednak jedną z najlepszych inwestycji biznesmena był zakup w 2014 r. kontrolnego pakietu akcji CIECH-u — chemicznego giganta, którego właścicielem był Skarb Państwa.

Firmę tę, po długim procesie prywatyzacyjnym, w czerwcu 2014 r. przejął Kulczyk. „Liczymy na to, że transakcja pozwoli spółce dynamicznie się rozwijać, z korzyścią dla akcjonariuszy” — ogłaszał oficjalnie wiceminister Tamborski. Po ujawnieniu nagrań rozmów okazało się, że wcześniej na temat CIECH-u Tamborski rozmawiał przy obiedzie z Kulczykiem. Podobnie jak Paweł Graś, były rzecznik rządu Donalda Tuska, a później minister w jego kancelarii. Interesami najbogatszego Polaka zajmował się także Radosław Sikorski, ówczesny szef MSZ. Z ujawnionej notatki Centralnego Biura Śledczego wynika, że Sikorski oferował mu swoje usługi także jako przyszły... unijny komisarz!

Radosław Sikorski podczas tej rozmowy wyraża swoją przychylność propozycjom Kulczyka oraz dodatkowo wiąże z tymi planami własne plany, tj. zamierza zostać unijnym komisarzem ds. energetyki — aby mógł czuwać nad tymi inwestycjami i mieć z tego korzyści — czytamy w notatce Konrada L.

Według materiałów śledztwa doradzać Kulczykowi w interesach miał sam szef NIK Krzysztof Kwiatkowski. „Przedstawiciele Ministerstwa Skarbu Państwa mogli przyjąć korzyść majątkową od pełnomocnika Jana Kulczyka — Piotra Wawrzynowicza w związku z korzystnym dla spółki KI CHEMISTRY z/s w Luksemburgu przeprowadzeniem transakcji zbycia 51 proc. akcji CIECH SA” — wynikało z notatki sporządzonej na podstawie rozmowy ze źródłem CBA.

Według dziennikarza śledczego Cezarego Gmyza nagrana została także rozmowa Donalda Tuska z Janem Kulczykiem. Zdaniem publicysty dotyczyła ona spółki Polenergia i interesów Kulczyka na Ukrainie. Spółka biznesmena, Polenergia, skorzystałaby na popieranym przez Tuska projekcie powołania unii energetycznej z Ukrainą: biznesmen był zainteresowany budową połączeń gazowych z Ukrainą.

Lista nagranych rozmów Jana Kulczyka w Amber Room jest imponująca.

Z Leszkiem Millerem, byłym premierem, szefem Sojuszu Lewicy Demokratycznej, biznesmen rozmawiał na temat prywatyzacji CIECH-u, spółki działającej w branży chemicznej, a także o pomysle wykorzystania Lecha Wałęsy przy promowaniu interesów Kulczyka w Afryce.

Z Radosławem Sikorskim — o interesach na Ukrainie i możliwości objęcia przez Sikorskiego funkcji unijnego komisarza ds. energetyki. Z Pawłem Grasiem rozmowa toczyła się wokół prywatyzacji CIECH-u.

Kulczyk rozmawiał także z Janem Krzysztofem Bieleckim, szefem Rady Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku, i z Krzysztofem Kwiatkowskim, prezesem NIK-u. Rozmowa dotyczyła interesów Kulczyka na Ukrainie. Kulczyk prosił o pomoc, bo „przypuszczał, że jedna z osób, z którą dawniej współpracował”, szkodzi mu w interesach na Ukrainie.

Według nieoficjalnych informacji politycy Platformy Obywatelskiej najbardziej obawiali się ujawnienia rozmów z Janem Kulczykiem. Czy to oznacza, że nie wszystko zostało opisane przez media? Wiele wskazuje, że tak. Co ciekawe, afera taśmowa była jedną z niewielu spraw, której skutków nie udało się Kulczykowi zminimalizować. Niektóre jego rozmowy przedostały się do mediów i nic nie było w stanie powstrzymać ich publikacji.

Kilka miesięcy przed śmiercią Jan Kulczyk chciał robić interesy na Ukrainie i kontynuować budowę gazociągu Bernau—Szczecin. Pod koniec 2012 r. Aleksander Gudzuwaty, potentat w handlu gazem i właściciel firmy Bartimpex, która miała znaczące udziały w EuRoPol Gazie, odsprzedał Kulczykowi prawa do gazociągu Bernau—Szczecin. Odcinek gazociągu jamalskiego (którym jest transportowany rosyjski gaz na teren Niemiec) nazywany „peremyczką” miał biec z Białorusi na Słowację i pomijać Ukrainę. Takie rozwiązanie budziło sprzeciw nie tylko Kijowa, ale także poprzedniego polskiego rządu. Polacy obawiali się bowiem zostać narzędziem rosyjskiej polityki przeciw Ukrainie.

Sprawa „peremyczki” wróciła w czasie rządów Donalda Tuska, gdy okazało się, że w kwietniu 2013 r. memorandum w sprawie oceny możliwości budowy gazociągu Baernau—Szczecin podpisały w Sankt Petersburgu Gazprom Eksport i polsko-rosyjski firma EuRoPol Gaz (w której udziały ma m.in. Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo i Gazprom), właściciel polskiego odcinka

gazociągu jamalskiego. Gdy media ujawniły memorandum i wybuchł skandal, premier polskiego rządu Donald Tusk stwierdził, że nic nie wiedział o podpisanym w Rosji dokumencie.

Pod wpływem opinii publicznej zdymisjonował ministra skarbu Mikołaja Budzanowskiego, który nadzorował PGNiG i który — co ciekawe — nic nie wiedział o memorandum. Z kolei Rada Nadzorcza PGNiG z powodu utraty zaufania odwołała prezes tej spółki Grażynę Piotrowską-Oliwę i jej zastępcę Radosława Dudzińskiego, którzy wiedzieli o przygotowaniach do memorandum, ale nie powiadomili o tym przedstawicieli polskiego rządu.

Każdy, kto interesował się na tej sali problemem tzw. peremyczki, czyli połączenia gazowego, które miało omijać Ukrainę, pamięta także zdarzenia, z którymi związane są niektóre osoby pojawiające się w kontekście afery podsłuchowej — mówił w czerwcu 2014 r. w Sejmie premier Donald Tusk podczas swojego wystąpienia w sprawie afery podsłuchowej.

Cztery miesiące później — w październiku 2014 r. — okazało się, że Dudziński pracuje w kontrolowanej przez Jana Kulczyka firmie Polenergia, mającej zrealizować „peremyczkę”, tyle że na nowych zasadach, które będą korzystne dla Ukrainy.

Na konferencji Baltic Business Forum w Świnoujściu Radosław Dudziński przedstawił koncepcję „korytarza gazowego Zachód—Wschód”, który miałby połączyć Ukrainę z gazociągami Unii Europejskiej. Według tej koncepcji na Ukrainie byłby wybudowany gazociąg od magazynów gazu do granicy z Polską. Z kolei polski gazociąg połączyłyby niemieckie sieci gazowe w okolicach Berlina przez granicę polsko-niemiecką z polską siecią gazową w okolicach Świnoujścia. Po tych deklaracjach podniosły się głosy (pisała o tym m.in. „Gazeta Wyborcza”), że „plany Kulczyka stoją w sprzeczności z polskim prawem”, „Kulczyk jest jedynie właścicielem projektu Bernau—Szczecin, a nie ma koncesji na jego uruchomienie”.

W Moskwie plany nowego wykorzystania „peremyczki” wywołały wściekłość — ten pomysł wręcz potraktowano jako pomoc Ukrainie kosztem

Rosji.

Kolejnym pomysłem Jana Kulczyka uderzającym w Rosję było kupowanie taniego prądu z Ukrainy, co oznaczało wzmocnienie polskiego górnictwa przy jednoczesnym zmarginalizowaniu importu rosyjskiego węgla na teren Polski.

Projekt Kulczyka polegał na tym, żeby wykorzystać ukraińskie elektrownie, które są zagrożone zamknięciem, gdyż kopalnie węgla kamiennego dostarczające węgiel znajdują się głównie w Donbasie, czyli na terenach, które chce przejąć Rosja i które są w strefie jej wpływów. Do ukraińskich elektrowni biznesmen chciał eksportować zakupiony w polskich kopalniach węgiel i w zamian kupować tani prąd z Ukrainy.

Byłoby to możliwe po przerobieniu tych elektrowni, by mogły spalać polski węgiel, bo dotychczas wykorzystywały one antracyt — odmianę węgla kamiennego charakteryzującą się najwyższą wartością energetyczną ze spalania.

Gdyby pomysł Kulczyka został wprowadzony w życie, on sam osiągnąłby gigantyczne zyski, korzyści odniosłoby również państwo. Polska zyskałaby setki milionów dolarów oszczędności, ominęłaby narzucone nam przez UE normy dwutlenku węgla, natomiast Ukraina utrzymałaby elektrownie, miejsca pracy i odcięłaby się w kolejnym obszarze gospodarki od Rosji.

Jan Kulczyk nie krył się ze swoimi pomysłami w sprawie Ukrainy, co potwierdził redaktor naczelny „Gazety Polskiej” Tomasz Sakiewicz, który zetknął się z biznesmenem w trakcie prowadzenia negocjacji sądowych.

Sprawa dotyczyła ukazujących się w „GP” tekstów na temat kupna przez firmę Jana Kulczyka od Skarbu Państwa CIECH-u — polskiego potentata w branży chemicznej. Biznesmen przekonywał, że chodzi mu nie tylko w własne interesy, ale także o polską rację stanu i jako przykład podał właśnie projekt dotyczący ukraińskich elektrowni — relacjonował Sakiewicz.

Jaki był ostateczny cel działań Jana Kulczyka, można się bez trudu domyślić, śledząc jego całą biznesową karierę. Wszystkie interesy, które prowadził z udziałem polskiego państwa, kończyły się z zyskiem dla

biznesmena a ze stratą dla polskiego interesu — wystarczy chociażby przywołać prywatyzację Telekomunikacji Polskiej. Jan Kulczyk w swojej działalności kierował się przede wszystkim pomnażaniem swojego stanu posiadania.

* * *

5 sierpnia 2015 r. w Poznaniu odbył się pogrzeb Jana Kulczyka. Żegnali go m.in. Lech Wałęsa oraz Aleksander Kwaśniewski wraz z małżonką. Na cmentarzu Jeżyckim pojawiła się także pierwsza dama Anna Komorowska, były komisarz KE Janusz Lewandowski, kompozytor Jan A.P. Kaczmarek, były prezydent Poznania Ryszard Grobelny, Krzysztof Penderecki, Jan Englert, byli premierzy Jerzy Buzek i Waldemar Pawlak, były minister sprawiedliwości Zbigniew Cwiągalski. Specjalny list napisał ustępujący prezydent Bronisław Komorowski, nazywając Kulczyka „jednym z największych wizjonerów polskiej przedsiębiorczości, hojnym mecenasem kultury i ambasadorem sukcesu polskich przemian”.

Po raz ostatni politycy pokazali, w jakiej zażyłości byli z najbogatszym Polakiem. Człowiekiem, który mimo ogromnego stanu posiadania zmarł w państwowej wiedeńskiej klinice. Pojawiające się po jego śmierci informacje sprawiły, że powraca pytanie: co naprawdę stało się w wiedeńskim szpitalu? I być może nigdy nie poznamy całej prawdy o śmierci biznesmena, którego domeną była działalność w branży energetycznej.

Bibliografia

Atomowy szpieg. Ryszard Kukliński i wojna wywiadów. Sławomir Cenckiewicz. Wydawnictwo Zysk i S-ka. Poznań 2014

„Biała księga ws. katastrofy smoleńskiej” — opracowanie pod kierunkiem Antoniego Macierewicza, czerwiec 2011

Cień tajnych służb. Dorota Kania. Wydawnictwo M. Kraków 2013

Długie ramię Moskwy. Sławomir Cenckiewicz. Wydawnictwo Zysk i S-ka. Poznań 2011

„Do Rzeczy”

„Focus Historia”

„Gazeta Polska”

„Gazeta Wyborcza”

„Głos Wielkopolski”

Józef Szaniawski. Ostatni więzień polityczny PRL. Filip Frąckowiak. Wydawnictwo Ex Libris. Warszawa 2014

Polsat

Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy. Piotr Gontarczyk. Wydawnictwo Fronda. Warszawa 2006

Radio Maryja

Radio Zet

Raport Zespołu Ekspertów Niezależnych: „Dlaczego musiało dojść do katastrofy smoleńskiej” autorstwa Przemysława Guły, Marcina Gomoły, Sławomira Petelickiego, Krzysztofa Rybińskiego, Waldemara Skrzypczaka

Raport Zespołu Parlamentarnego ds. Zbadania Przyczyn Katastrofy TU-154M z 10 kwietnia 2010 pod kierownictwem Antoniego Macierewicza z 2012 r.

„Raport z Weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych” — opracowany

przez członków komisji weryfikacyjnej pod kierownictwem Antoniego Macierewicza — luty 2007

Raport z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych

Resortowe dzieci. Media. Dorota Kania, Jerzy Targalski, Maciej Marosz.
Wydawnictwo Fronda. Warszawa 2013

Resortowe dzieci. Służby. Dorota Kania, Jerzy Targalski, Maciej Marosz.
Wydawnictwo Fronda. Warszawa 2014

„Rzeczpospolita”

Słynne fortuny III RP. Przemysław Słowiński. Videograf II. Katowice 2009

„Spotkania”

Telewizja Trwam

TVP 1

TVP Info

TVN

TVN24

„Uważam Rze”

„Wprost”

„W Sieci”

„Życie”

„Życie Warszawy”

Internet

telewizjarepublika.pl

www.abw.gov.pl

www.bip.ipn.gov.pl

www.dziennik.pl

www.fronda.pl

www.gazeta.pl

www.glos.pl

www.ipn.gov.pl

www.kgp.gov.pl

www.msw.gov.pl

www.naszdziennik.pl

www.niezalezna.pl

www.onet.pl

www.pb.pl

www.pis.org.pl

www.polskatimes.pl

www.pomniksmolenski.pl

www.radiomaryja.pl

www.radiozet.pl

www.rebelya.pl

www.rp.pl

www.salon24.pl

www.sejm.gov.pl

www.tvn24.pl

www.tvp.info

www.wp.pl

www.wpolityce.pl

www.wyborcza.pl

A

Abucewicz-Pena Małgorzata 212
Adamczyk Wiktor 286, 287
Adamski Anatol 79
Adwent Filip 200—206
Adwent Helena 200
Adwent Jeanne 203
Adwent Maria 200
Adwent Stanisław 200
Ałganow Władimir 327, 338—341
Ananicz Andrzej 341
Anodina Tatiana 253
Arabski Tomasz 298

B

Bagsik Bogusław 209, 286—288
Balcerowicz Leszek 65, 74, 83, 89
Barcik Stanisław 61
Bardonowa Wiesława 24, 26
Barłowski Tadeusz 86
Baszniak Krzysztof 85
Benedyk Michał 231, 233
Bentkowski Aleksander 151
Berman Jakub 145
Białek Maciej 24, 26
Biela Adam 217

Bielecki Czesław 296, 318
Bielecki Jan Krzysztof 65, 83, 345
Biernacki Marek 294
Bierut Bolesław 145
Błasik Andrzej 266
Bogaczyk Wojciech 318
Bogusz Janusz 316
Bogutyn Jan 166
Bondaryk Krzysztof 239, 241, 242, 246
Boniuk Jan 74, 76
Borowiak Krzysztof 248
Borowicz Aleksander 79
Branach Zbigniew 64
Brandys Tadeusz 63
Brochwicz Wojciech 294, 296
Brodacka-Falzmann Izabela 81, 89, 90, 110
Budziński Jan 96, 97, 99, 105—107, 109
Bugajski Andrzej 210—212
Bukowski Władimir 305, 319
Buła Edmund 234
Bush George 63
Buzek Jerzy 194, 211, 294, 350

C

Cenckiewicz Sławomir 70, 133, 150, 234, 238, 291, 292, 302
Chechłacz Robert 47
Chim Janina 71, 74, 76, 77, 114
Chmielewski Jarosław 163

Chmielewski Waldemar 30
Chojnacki Adolf 36
Chojnowski Jan 39
Chronowski Andrzej 210
Chrzanowski Wiesław 62
Churska Barbara 182—184
Ciastoń Władysław 7, 147
Cichocki Jacek 191, 192, 197
Cichy Andrzej 79
Ciećko Jacek 54
Ciełuszecki Mirosław 196—198
Cimoszewicz Włodzimierz 197, 198, 293
Ciosek Stanisław 165
Cypel Marian 239, 240
Czapliński Marek 314
Czarnecki Henryk 318
Czempiński Gromosław 87, 128, 129, 166, 300, 336—339, 341—343
Czempiński Mieczysław 337
Czubajs Anatolij 340
Czubiński Lucjan 52
Czuchnowski Wojciech 246
Czuma Andrzej 320

Ć

Ćwiąkałski Zbigniew 350

D

Dakowski Mirosław 95
Daniłowski Zenon 85
Dewiński Piotr 313
Dębiec Adam 87
Dmowski Fabian 291
Dorf Ryszard 318
Dorosz Andrzej 68
Dronicz Stanisław 318
Drynda Zenon 335
Dudek Antoni 331
Dudziński Radosław 347, 348
Dukaczewski Marek 229
Dybowski Marcin 91, 92, 94—96, 204
Dyda Janusz 23
Dydycz Antoni Pacyfik 239
Dykowski Antoni 42
Dziedziczak Jan 125
Dzierżyński Jerzy 66
Dzikowski Waldy 125

E

Ebbinghaus Irena 76
Englert Jan 350

F

Falzmann Izabela zob. Izabela Brodacka-Falzmann
Falzmann Michał 65, 67, 78, 81, 83, 84, 86—90, 109, 110, 119

Faust Andrzej 23
Fedorowicz Andrzej 284
Fiedler Arkady 125
Fijoł Radosław 203—209
Fonfara Wiktor 23, 24, 26, 113
Fonkowicz Ewa 185
Fonkowicz Jerzy 175—186
Frankowski Edward 217
Frąckowiak Filip 303, 320, 324, 325

G

Gaca Janina 72
Gaca Zdzisław 71
Gajos Bogusław 156
Gawronik Aleksander 121, 122, 130—140
Gąsiorowski Andrzej 286—288
Giejsztor Aleksander 151
Gierej Maciej 341
Gierek Edward 148
Giertych Roman 212—214
Glapiński Adam 114, 118
Glemp Józef 233
Głowacki Stanisław 248
Głódź Sławoj Leszek 239, 315
Gmyz Cezary 345
Gołębiowski Witold 43
Gomoła Marcin 258, 297
Gomułka Władysław 145, 172

Gorbaczow Michaił 148, 279, 284, 311
Goszczyński Zbigniew 156
Górski Tomasz 125
Grabiński Andrzej 18, 25, 61, 71
Graś Paweł 241, 242, 294, 298, 344, 345
Grinin Władimir 235
Grobelny Ryszard 350
Grochmalski Piotr 131
Grochowska-Szmitkowska Ewa 185
Grupiński Rafał 125
Gryglewski Janusz 97, 195
Gudzowaty Aleksander 346
Guła Przemysław 258, 297
Gursztyn Kazimierz 42
Gut Henryk 231
Gzyra Zygmunt 67

H

Habik Mirosław 180
Hańczara Witkar 195
Harczuk Przemysław 217
Hatka Witold 212
Hausner Jerzy 191, 192
Horoszko Lech 91, 92, 94—96
Hrynkiewicz Bogusław 173, 175
Hunia Maciej 191
Huszcza Wiesław 80
Hutyra Bolesław 212—217

Hutyra Tomasz 214

I

Indrzejczyk Roman 8

Iwanowski-Pineiro Cliff Janusz 112—115, 118, 119

J

Jachowicz Jerzy 49, 53—55, 60, 64, 164

Jachowicz Maria 64

Jakimiszyn Grigorij 338

Jakubowski Damian 318

Jaroszewicz Alfred 146

Jaroszewicz Jan 153

Jaroszewicz Piotr 141—152, 154—156, 161, 172, 176, 181

Jaroszyński Piotr 217

Jaruzelski Wojciech 85, 149, 163, 179, 279, 303, 330, 333, 334

Jasik Henryk 128—130, 335, 336

Jasiński Jerzy 37, 38

Jastrzębski Artur 173

Jaworski Lucjan 230, 234, 235

Jędrzejewska Sidonia 125

Józefczyk Mieczysław 55

K

Kaczmarek Filip 125

Kaczmarek Jan Andrzej Paweł 350

Kaczmarek Janusz 209
Kaczmarek Wiesław 339, 341
Kaczyński Jarosław 111, 114, 120, 245
Kaczyński Lech 6, 27, 40, 64, 11—114, 116, 117, 211, 235, 244—246, 253
Kaleta Piotr 126
Kaliski Sylwester 150, 151
Kalwas Janusz 75
Karczmarewicz Jacek 23
Karłowicz Waław 18
Karos Zdzisław 47, 48
Karp Marek 189—200
Karpińska Barbara 185
Kaszuba Ryszard 23
Kąkiel Teresa 68
Kędzia Andrzej 23
Kijek Iwona 185
Kiszczak Czesław 17, 24, 47, 50, 53, 163, 179, 288
Klemba Jerzy 112, 113
Knoff Kazimierz 122
Kociołek Stanisław 152
Koczewski Waldemar 84
Kołodko Grzegorz 166
Komornicki Krzysztof 76
Komorowska Anna 350
Komorowski Bronisław 230—244, 246—249, 260, 299, 312, 350
Konstanciak Wiesław 10
Kopeć Aleksander 148
Koper Piotr 163

Kosmal Stanisław 313
Kosmaty Piotr 130
Kostikow Piotr 143
Kott Bogusław 79
Kowaleczko Rafał 253, 255, 261, 267
Kownacki Piotr 75, 108
Kozak Mirosław 324
Koziej Stanisław 244
Kozłowski Krzysztof 287, 336
Kraczkowski Maks 126
Krasnowolski Andrzej 65, 66, 84, 101
Krasowski Edmund 42, 56
Krasucki Witold 112
Krauze Ryszard 295, 296
Krawczyk Bożena 88
Krawczyk Leszek 133
Krąpiec Mieczysław 217
Król Zdzisław 18, 22, 25
Kryże Andrzej 77
Krzynówek Urszula 185
Kublik Agnieszka 246, 261, 266
Kuciński Ryszard 184
Kukliński Bogdan 303
Kukliński Ryszard 301—303, 305, 307, 312, 314, 320, 325
Kukliński Waldemar 302
Kulczyk Henryk 333, 334
Kulczyk Jan 122, 130 327—331, 333—346, 348—350
Kulczyk Maria 335

Kulesza Witold 7
Kulisiewicz Marek 320
Kulka Zenon 60, 61
Kuna Andrzej 339, 341
Kupecki Waław 173
Kuroń Jacek 164
Kwapiszewski Lesław 161
Kwaśniak Grzegorz 62
Kwaśniewski Aleksander 79, 286, 296, 337, 340, 342, 350
Kwiatkowski Krzysztof 344, 345
Kwiatkowski Robert 112

L

Lackorzyński Leszek 42
Lamparska Joanna 164
Larecki Jan 73
Lawina Anatol 65, 66, 68, 75, 84, 90, 110, 111, 113—118
Lechowicz Włodzimierz 145, 146
Lepper Andrzej 184, 230
Lesiak Jan 164, 165
Letkiewicz-Madejska Małgorzata 185
Lewandowski Andrzej 106, 107
Lewandowski Janusz 350
Lichocki Aleksander 234, 312, 315
Lićwinko Antoni 40
Lipińska Olga 112
Lipiński Dariusz 126
Lis Tomasz 298

Lisiewicz Piotr 333
Lonca Ryszard 316, 318
Luliński Stanisław 22

Ł

Łasiewicz Waclaw 38
Łętowska Ewa 33
Łoziński Włodzimierz 149
Łuczuk Piotr 217
Łukasik-Mikłasz Janina 318, 359
Łukaszenka Aleksander 195, 197
Łukowska Hanna 87, 88
Łybacka Krystyna 126
Łysiak Paweł 336

M

Machnicka Alina Maria 9—13
Macierewicz Antoni 26, 91, 95, 238, 239, 245, 246, 257, 268, 306, 315
Mackiewicz Marek 229, 230
Majewski Lech 250, 260, 261
Malicki Andrzej zob. Sławomir Petelicki
Marczuk Sławomir 74
Margas Czesław 160
Marszałek Anna 247
Matwijów Edward 313
Mazowiecki Tadeusz 50, 233, 234, 236, 279, 285, 303
Mazurek Wojciech 62, 63

Melak Andrzej 17
Melak Arkadiusz 18
Melak Stefan 18, 320
Messner Zbigniew 330
Michalski Bogusław 61, 126
Michnik Adam 164
Midura Józef 42
Mikłasz Paweł 318
Milczanowski Andrzej 336, 338
Miller Jerzy 254, 261
Miller Leszek 76, 79, 80, 156, 196, 345
Miodowicz Konstanty 191, 92
Misiąg Wojciech 74, 83
Misztal Roman 71
Moczulski Leszek 315
Moćko Marian 210—212
Modecki Marek 340
Modrzejewski Andrzej 339
Mołotow Wiaczesław 171
Morawiecki Kornel 87—89
Morawski Rafał 200
Muś Remigiusz 251—254, 256—265, 267—273
Myszak Wojciech 82

N

Napiórkowski Jerzy 82
Nawrocki Grzegorz 112
Niedzielak Piotr 20

Niedzielak Stefan 5, 6, 10, 15—27, 30, 35, 36

Nowak Przemysław 273

Nowak Stanisław 151

Nowek Zbigniew 196

O

Okrzesik Janusz 234

Olawa Zbigniew 76

Olchowik Jerzy 38

Olechowski Andrzej 79, 86, 87, 294

Oleksy Józef 164, 165, 338

Oliwa Włodzimierz 178, 347

Olszewski Jan 18, 25, 26, 91, 95, 135, 217, 246, 314, 315

Onyszkiewicz Janusz 244

Orciuch Dariusz 62

Orzeł Józef 91

Osek Józef 71

P

Pacek Bogusław 266

Paetz Juliusz 235

Pająk Robert 97

Paluch Janusz 231—233

Pałubicki Janusz 294

Pańko Urszula 97, 107—109

Pańko Walerian 65, 66, 75, 83, 88, 96—99, 106, 107, 109

Parys Jan 314

Paskudzki Kazimierz 147
Patruszewikołaj 195
Pawelec Józef 315
Pawlak Waldemar 85, 337, 350
Pawlik Alicja 185
Pawluczenkow Dmitrij 195
Penderecki Krzysztof 350
Petelicki Mirosław 289
Petelicki Sławomir 129, 258, 275—283, 286—300
Pezda Janusz 166
Pękala Leszek 30
Piecuch Henryk 161, 162
Piesiewicz Krzysztof 294
Pietruszka Adam 32
Pietrzak Leszek 237
Pikiel Leonard 42
Piotrowski Andrzej Wiktor 112
Piotrowski Grzegorz 30
Pitus Wiktor 79
Piwnik Barbara 76
Plusnin Paweł 267
Płaczek Janusz 310
Płatek Zenon 7
Pochanke Justyna 71
Pochanke Renata 71, 72
Podsibirski Władysław 164—167
Pol Jan 23, 26
Polaszczyk Piotr 314, 315

Polko Roman 200, 294
Popiełuszko Jerzy 7, 21, 22, 30—32, 42, 87, 292
Popiełuszko Marianna 30
Pora Ryszard 23
Pożoga Władysław 290
Prokopienko Anatol 177
Protasiuk Arkadiusz 266, 267
Przemysław Grzegorz 64, 292
Przywieczerski Dariusz 71, 76—79, 81
Pudysz Zbigniew 24
Putin Władimir 194—197
Pytlakowski Piotr 112

R

Racki Józef 126
Radzikowski Andrzej 23
Rakowski Mieczysław 9, 65, 66, 69, 79, 80, 214
Raszeja Stefan 61
Rayzacher Maciej 230—233
Rączkowski Stanisław 83
Rembisz Włodzimierz 197
Reszka Grzegorz 243, 244
Richter Andreas 163
Riezun Władimir zob. Wiktor Suworow
Rokita Jan Maria 7, 8, 36, 37, 50, 52, 62, 63, 191, 192, 198
Roliński Bohdan 149
Romaszewska Zofia 8
Romaszewski Zbigniew 8, 34

Ronc Małgorzata 105
Rosati Dariusz 72, 74, 89
Rostkowski Jerzy 161
Rotnicka Jadwiga 126
Rozłubirski Edwin 287, 288
Różycki Henryk 15
Rybiński Krzysztof 258, 297
Rydlewski Grzegorz 293
Rydzik Tadeusz 217, 221
Rymsza Teresa 148, 152

S

Sadowski Zdzisław 74
Sakiewicz Tomasz 349
Sarewicz Zdzisław 71, 288
Sawicki Janusz 68—70, 74, 76, 83, 86
Schellenberg Walter 142
Sekula Ireneusz 136
Sereda Janusz 311, 312
Seremet Andrzej 125, 126
Shahrokh Shariat 328
Siemiątkowski Zbigniew 40, 129, 196, 340, 341
Sienkiewicz Bartłomiej 191
Sikorski Radosław 279, 334, 344, 345
Siła-Nowicki Władysław 5, 6
Siwicki Florian 234
Siwiec Marek 80
Skrzypczak Waldemar 258, 297

Sławeta Mirosław 124, 128
Sokołowski Jarosław 138
Solorz Zygmunt 81
Solska Alicja 143, 148, 153, 155
Solska Hanna 153
Sowińska Stanisława 145
Spychalski Marian 145, 146, 172, 173, 175—179
Staniszewski Janusz 79
Staniszkis Jadwiga 85
Starszak Hipolit 9—13
Staszak Marek 229
Stec Stanisław 126
Stec Tadeusz 141, 142, 156—162, 164, 165, 167—170, 176
Stefański Marek 295
Steinhoff Janusz 194
Stochaj Stefan 181
Stokarska Jadwiga 217
Storożew Jurij 311
Stroba Jerzy 140
Strzałkowski Ryszard 185
Strzembosz Adam 48, 302
Stupek Lech 38
Stypułkowski Cezary 86
Suchowolec Stanisław 5, 6, 10, 27—40
Sulatycki Zbigniew 217
Sulka Kazimierz 35, 36
Sumliński Wojciech 238
Suworow Wiktor 319

Szaniawski Józef 301—305, 307—325
Szczęśniak Leszek 152
Szczygło Aleksander 244
Szeremietiew Romuald 318
Szmajdziński Jerzy 80
Szpotański Janusz 318
Szydłowska Bożena 126
Szymański Konrad 126
Szynalski Piotr 80

Ś

Ścios Aleksander 270
Śmietanko Andrzej 85
Śnieżko Stefan 127
Świątek Maciej 200
Świeciński Józef 148, 149
Świerczewski Karol 149
Świtalski Mariusz 122, 138

T

Taylor Jacek 42, 48, 50, 56
Tobiasz Leszek 189, 229, 230, 234—240, 242, 243, 312
Tołwiński Stanisław 79
Tomaszewska Alicja 185
Tomaszewski Janusz 294
Tomczak Jacek 126
Trościanko Wiktor 310

Trznadel Jacek 217
Turowski Tomasz 235
Tusk Donald 126, 254, 297, 298, 343—347
Tylewicz Jacek 128

U

Ułanowska Joanna 62
Urban Jerzy 9—13, 30, 43, 80, 138

W

Wałęsa Lech 114, 134, 135, 243, 337, 345, 350
Wassermann Zbigniew 6, 191, 199
Waśko Piotr 126
Wawrzyniak Czesław 71
Widzyk Jerzy 294
Wieczorkiewicz Paweł 150
Wilczek Mieczysław 79, 80
Wiśniewski Adam 54, 55
Witko Krzysztof 204
Witkowski Andrzej 6, 7
Witkowski Zbigniew 97
Włodarczyk Bogdan 107
Włodarczyk Ryszard 23
Włodarczyk Wojciech 314
Włodarski Stanisław 58
Wojciechowski Janusz 59, 60
Wojciechowski Mirosław 71, 150

Wolny Marek 315
Wołoszyn Jan 74
Wosztyl Artur 253—255, 261, 266—268
Woyciechowski Piotr 238, 291, 292, 318
Wójcicki Jerzy 235
Wójtowicz Grzegorz 74, 76
Wróblewski Andrzej 69, 74

Z

Zacharenka Jurij 195
Zakrzewska Jadwiga 238, 240
Zalewski Andrzej 61, 118
Zalewski Jerzy 89
Zalewski Maciej 116
Zaporowski Janusz 97
Zarówny Marcin 158, 170
Zbiegniewski Jerzy 83
Zhuk Siergiej 190, 193
Zieliński Marek 126
Zieliński Tadeusz 124
Zieliński Zygmunt 332
Ziembiński Wojciech 18, 20, 21
Zięba Stanisław 330
Ziętara Edmund 124, 127
Ziętara Jarosław 121—131, 137—140
Zimowski Jerzy 127
Zwiefka Tadeusz 126
Zych Irena 56

Zych Sylwester 5, 6, 34, 35, 41, 43—48, 52, 53, 57, 59—61, 63, 64, 126

Ż

Żagiel Aleksander 339

Żelichowski Stanisław 165, 166

Żemek Grzegorz 68, 71, 74—76, 77, 83, 113, 114, 118

Żukow Jurij 149

Żulińska Aneta 253